

PIETRO GERBER, BOHATER *DOMU GŁOSÓW*,
NA TROPIE NOWEJ MROCZNEJ ZAGADKI

DONATO CARRISI

DOM BEZ WSPOMNIENIŃ



ALBATROS

DONATO CARRISI

DOM BEZ WSPOMNIEŃ

Z włoskiego przełożyła
ANNA OSMÓLSKA-MĘTRAK

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

POJEDYNEK, KTÓRY PODEJMIE, ZAPROWADZI GO NA PRÓG PIEKŁA.

W lesie zostaje odnaleziony dwunastoletni Nico, który przed ósmioma miesiącami zaginął razem z matką. Na pierwszy rzut oka nic mu nie dolega... poza tym, że milczy. Bezsilna policja zwraca się do florenckiego psychologa Pietra Gerbera, który stosuje w terapii hipnozę. Tylko on może przeniknąć do umysłu dziecka.

Udaje mu się to już na pierwszej sesji – chłopiec nie tylko zaczyna mówić, ale też przyznaje się do zabicia matki. Dla prokuratury zamyka to sprawę. Lecz nie dla Gerbera, który wie, że to nie Nico do niego przemawia i nie swoją historię opowiada.

Żeby odkryć prawdę, Gerber będzie musiał spełnić trzy warunki postawione przez kogoś, kto potrafi manipulować ludzką świadomością, tworzyć fałszywe wspomnienia i kontrolować umysły: hipnotyzera takiego jak on sam. Tylko lepszego w swoim fachu, na tyle dobrego, by zawsze wyprzedzać go o krok.

DONATO CARRISI

Włoski pisarz, scenarzysta i dramaturg. Absolwent prawa specjalizujący się w kryminologii. Od 1991 r. współpracuje z telewizją RAI. Jest autorem scenariuszy do kilku bardzo popularnych we Włoszech seriali.

Powieść **Zaklinacz** (2009 r.), debiut literacki Carrisiego, przyniosła mu niesamowity sukces: tłumaczenia na 20 języków, milion sprzedanych egzemplarzy, wysokie i długo utrzymujące się pozycje na włoskich i światowych listach bestsellerów, nagrodę Bancarella oraz nominację do prestiżowej francuskiej Prix des lecteurs.

Kolejne powieści – **Trybunał dusz** i **Hipoteza zła** – ugruntowały wysoką pozycję pisarza wśród autorów kryminałów na całym świecie.

Carrisi zekranizował trzy swoje powieści; napisał scenariusze i był reżyserem. Za film **Dziewczyna we mgle**, w którym wystąpili Toni Servillo i Jean Reno, otrzymał w 2018 r. nagrodę Włoskiej Akademii Filmowej – odpowiednik amerykańskiego Oscara – za debiut reżyserski. Toni Servillo zagrał również, razem z Dustinem Hoffmanem, w drugiej produkcji Carrisiego, **W labiryncie**. Najnowszy film, **Jestem otchłanią**, będzie miał polską premierę w 2023 r.

donatocarrisi.it

Tego autora

Mila Vasquez

ZAKLINACZ

HIPOTEZA ZŁA

W LABIRYNCIE

GRA ZAKLINACZA

Paenitentiaria Apostolica

TRYBUNAŁ DUSZ

ŁOWCA CIENI

WŁADCA CIEMNOŚCI

Pietro Gerber

DOM GŁOSÓW

DOM BEZ WSPOMNIEŃ

DZIEWCZYNA WE MGLE

JESTEM OTCHŁANIĄ

Tytuł oryginału:
LA CASA SENZA RICORDI

Copyright © Donato Carrisi 2021
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023
Polish translation copyright © Anna Osmólska-Mętrak 2023

Redakcja: Joanna Kumaszevska
Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

Zdjęcie na okładce: Magdalena Russocka/Arcangel (*fotel i okno*); Gurgen Bakhshetyan/Shutterstock (*widok za oknem*)

ISBN 978-83-6775-753-9

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Aneta Vidal-Pudzisz

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52
53
54
55

Nota autora

Podziękowania

*Dla Antonia i Vittoria,
moich synów, źródła mojego prawdziwego talentu*

Posterunek karabinierów
Straż Leśna
BARBERINO DEL MUGELLO

Do K.A. Legionu
Komendy Karabinierów Toskanii – FLORENCJA
(Do Komendy Międzyregionalnej Karabinierów PODGORA)

Przedmiot: Zawiadomienie o zniknięciu (nr akt 66263707070VR).

Dnia 7 czerwca 2020 r. – około godziny 06.23 – para wycieczkowiczów, dzwoniąc pod nr 112, zgłosiła pojazd porzucony w lesie w miejscowości Valle dell’Inferno.

Wysłany patrol na szesnastym kilometrze drogi lokalnej 477 rzeczywiście natknął się na fiata pandę (nr rejestr.: CR990FR) w kolorze ciemnoróżowym. Pojazd, zaparkowany na poboczu jezdni, przy pasie prowadzącym w kierunku Passo della Sambuca, miał otwarte drzwi i bagażnik. Tylna lewa opona wyglądała na przebitą. Leżące na asfalcie koło zapasowe i wsunięty pod podwozie lewarek wskazywały na próbę wymiany opony przez kierowcę, najwyraźniej przerwana albo nieudana.

We wnętrzu auta znaleziono wiele rzeczy osobistych należących prawdopodobnie do kobiety i dziecka, między innymi ubrania, koce i inne przedmioty pozwalające uznać, że rzeczonego pojazd był jedynym miejscem ich zamieszkania.

Po sprawdzeniu dowodu rejestracyjnego stwierdzono, że pojazd z czwartej ręki został nabyty w 2017 r. przez Mirbanę Xhuljetę Laci zwaną Mirą, urodzoną w Albanii, lat 44. Kobieta przebywa we Włoszech od prawie czterech lat i w przeszłości pracowała jako opiekunka u kilku rodzin w okolicy Mugello, a ostatnio zajmowała się dorywczo sprzątniem w domach i pracą na zmywaku w pizzerii. Kobieta przebywała we Włoszech z dwunastoletnim synem o imieniu Nikolin, zwanym Nico.

Ubóstwo, z jakim borykała się ta rodzina, było znane opiece społecznej, również z powodu powtarzającego się nieprzestrzegania obowiązku szkolnego przez syna.

Na to, że w pojeździe znajdowała się właśnie ta dwójka, wskazuje również fakt, że po raz ostatni widziano ich o godz. 18.00 poprzedniego dnia na stacji benzynowej TotalErg w pobliżu Piedimonte, gdy kupowali kanapki w automacie z przekąskami.

Od tamtej pory nie udało się ustalić nic nowego na temat matki i syna.

W oczekiwaniu na aktualizację prosi się o przekazanie informacji wszystkim jednostkom terenowym.

1

23 lutego 2021

W tamten czwartek hodowczyni koni znowu obudziła się w swoim łóżku nagle, po prostu otwierając szeroko oczy. I znowu w pierwszym odruchu odwróciła się do szafki nocnej, na której stał budzik, i przekonała się, że jest 3.47.

Być może powinna dociekać, z jakiego powodu już od kilku tygodni budzi się zawsze co do minuty o tej samej porze. Z jednej strony była przekonana, że istnieje jakaś przyczyna, dla której ta powtarzająca się liczba wyznacza rytm jej starości. Z drugiej – wolała tego nie zgłębiać, bo była przeświadczona, że niektóre pytania należy pozostawić bez odpowiedzi, zwłaszcza w pewnym wieku. Może to wynikać z przesądu albo ze zwykłej ostrożności; w przeciwnym razie już po chwili zaczęlibyśmy się zastanawiać nad innymi rzeczami, o wiele istotniejszymi. Na przykład nad sensem życia albo nad tym, co się dokładnie dzieje, kiedy człowiek umrze. W wieku osiemdziesięciu dwóch lat lepiej unikać pewnych kwestii. Również dlatego, że starzy ludzie, choć nie chcą tego przyznać, znają już wszystkie odpowiedzi.

Tak więc tajemnica godziny 3.47 miała towarzyszyć hodowczyni koni przez cały czas, który jej pozostał, i kobieta była pewna, że dzień, kiedy jej wewnętrzny zegar pomyli się choć o minutę, będzie dniem, gdy już się nie obudzi.

Z powodu bezsenności udawało jej się przespać góra cztery do pięciu godzin w ciągu nocy. Szkoda, że tak nie było, gdy miała dwadzieścia lat. Teraz miała do

dyspozycji o wiele więcej minut i prawie nic, czym mogłaby je wypełnić. A każdy stary człowiek wie, że nawet jeśli sekundy płyną z lekkością, to minuty są ciężkie jak kamienie. Dlatego starość to nieustanna walka między czasem upływającym w stronę tego, co nieuchronne, i czasem, który nigdy nie mija. Zanim minie połowa dnia, kobieta skończy obrządzać konie. Reszta będzie tylko szykowaniem się na nudę wieczności.

Ale nie miała wyboru.

Dlatego, jak każdego poranka, wstała, wsunęła zmęczone stopy w kalosze, narzuciła zieloną kurtkę, głowę osłoniła filcowym kapeluszem, a do kieszonki wsunęła cygaro Toscano Classico. Przed wyjściem z domu posłała pocałunek mężowi na czarno-białej fotografii ślubnej stojącej w gablotce i rozpałała ogień w żeliwnym piecyku, żeby po powrocie zastała przyjemne ciepło.

Uruchomiła łądę niwę, żeby silnik diesla zdążył się rozgrzać, po czym poszła po swoje dwa setery zamknięte za ogrodzeniem między manezem a stajniami, wpuściła je do samochodu i ruszyła w kierunku Passo della Sambuca i rezerwatu przyrody.

Wolno zmieniła bieg z drugiego na trzeci, bo niebieska łąda przywykła do delikatnego traktowania. Nie potrzebowała nowego auta, bo przecież sama nie była już „nowa” i na pewno czułaby się z nim śmiesznie. Tak samo jak nie chciała nigdy drugiego męża, nawet wtedy, kiedy ten pierwszy postanowił wyprzedzić ją w drodze do mroku zaświatów. Pewne rzeczy trudno wyjaśnić i do takich właśnie należało to porównanie między terenówką z 1977 roku i jedynym mężczyzną jej życia. A przecież w obydwu przypadkach chodziło o uczucie i wierność. Za każdym razem, gdy siadała za kierownicą, przypominała sobie z dumą komplementy urzędnika Wydziału Komunikacji przy odnawianiu jej prawa jazdy. Wzrok i refleks doskonałe. A te dwie rzeczy są też trochę sekretem dobrego małżeństwa: pozostawać zawsze uważnym i być przygotowanym na nieprzewidziane sytuacje. Bo, jak uczyła ją mama, najgorsze spotyka wszystkich.

Dotarła w pobliże polany pośród bukowego lasu, skąd rozwidlały się ścieżki prowadzące do potoku Rovigo i do wąwozu znanego jako Valle dell’Inferno. Po

zaparkowaniu wypuściła psy i pozwoliła, by obwąchały teren. Sama tymczasem wyjęła z kieszonki cygaro, przełamała i włożyła połowę do ust. Zapalenie go w lesie nie byłoby ostrożne, ale lubiła przeżuwać tytoń.

Nie wiedziała, dlaczego ostatnio ciągle tu przyjeżdżała. Mogła wybierać inne – ładniejsze – miejsca. Ale stało się to niemal nawykiem, wraz z pobudką o 3.47.

Może wolała ten las, bo kiedyś przychodziła tu z mężem na polowania. Właśnie to ich połączyło, polowania i miłość do koni. Hodowczyni odziedziczyła tę pasję po ojcu, który spłodziwszy same córki, wychował ją jak chłopaka. Nikt nie wyobrażał sobie, że pewnego dnia wyjdzie za mąż. A jednak tak się stało. Po śmierci męża obiecała sobie, że będzie kontynuować polowania, ale dubeltówki były teraz zaplombowane i pod kluczem, odkąd nastoletnie wnuki naskoczyły na nią, kiedy pojawiła się na obiedzie bożonarodzeniowym z dwiema pięknymi białymi kuropatwami. Miała ochotę opowiedzieć im, jak w wieku dwunastu lat wzięła udział w nagonce na dziki, co było dla niej niczym rytuał inicjacyjny. Właśnie na polowaniach nauczyła się szanować przyrodę i zwierzęta. I chciała jeszcze dodać, że choć oni w mieście kochają psy i koty, nie przeszkadza im to jeść mięso z supermarketu. Ale w końcu wróciła tego dnia do domu, upokorzona i przybita, wiedząc, że ta rodzinna tradycja odejdzie wraz z nią.

Seterów nie dało się jednak zaplombować jak strzelby! W jakiś sposób trzeba było pozwolić się wyżyć biednym zwierzacom. Istniało bowiem ryzyko, że dadzą się ponieść, co często zdarza się psom myśliwskim: szaleją, gdy nie mają czego szukać. Właśnie dlatego hodowczyni koni udawała się codziennie w to miejsce i pozwalała psom ganiać swobodnie, by dać im iluzję, że przynajmniej one mają jeszcze jakiś cel. Jak zawsze przesunęła językiem cygaro w kącik ust, po czym gwizdnęła krótko i stanowczo.

Na tę komendę dwa setery wystrzeliły jednocześnie jak z procy i zniknęły w zaroślach.

Po kilku sekundach ucichł też odgłos ich biegu między gałęziami i szelest bukowych liści. Brakowało jeszcze trochę do wschodu słońca, ale powietrze zaczynało się nagrzewać i zagęszczało się już w mgiełkę połyskującej skraplającej

się rosy, tak jakby przyroda zwiastowała dzień. Pewna zmyślność natury, pewne detale zawsze zadziwiały kobietę; w grobie będzie jej brakowało tych drobnych doskonałości świata. Odetchnęła głęboko powietrzem pachnącym żywicą i wilgotną ziemią, zrobiła dwa kroki w bok i pozwoliła sobie na głośne pierdnięcie, bo jedną z korzyści płynących ze starości była właśnie możliwość profanowania świętości Stworzenia. Cieszyła się niewzruszonym spokojem tego nieruchomego czasu, nie dbając o to, ile takich chwil jeszcze jej zostało, kiedy uderzyło ją coś, czego nigdy wcześniej nie doznała.

Wrażenie, że nie jest sama.

Nie było to podejrzenie, ale pewność. Nie wiedziała, skąd się wzięło to przeczucie. Trwało tylko krótką chwilę i zanim zdążyła je sobie w pełni uzmysłwić, usłyszała w oddali psy i spojrzała w kierunku, w którym pobiegły.

Szczekały jak obłąkane.

Początkowo myślała, że wytropiły nieostroznego lisa, który opuścił norę, żeby zaopatrzyć się w żywność. Ale w takim przypadku powinna już je widzieć, jak pojawiają się rozzuchwalone ze zdobyczą w zębach.

Tymczasem dwa setery, o dziwo, nie wracały.

By je przywołać, włożyła do ust dwa palce i gwizdnęła, głośno i długo. Nic z tego: wciąż wściekle ujadają. Kobieta zrozumiała, że próbują przyciągnąć jej uwagę.

Pojęła też, że w lesie jest coś, co je zatrzymuje.

Nie ociągając się dłużej, wróciła do łady i wyjęła ze schowka latarkę, po czym zaczęła przedzierać się przez gęstwiny.

Torowała sobie drogę dłońmi stwardniałymi od odcisków; gałąź zadrapała ją w policzek, ale kobieta nawet tego nie zauważyła, bo słyszała szczekanie ukochanych zwierząt i ogarnął ją niepokój w związku z przeczuciem, jakie miała

chwilę wcześniej. Modliła się do Boga, w którego nigdy nie wierzyła, żeby jej obawy były bezpodstawne, wywołane fantazją podsycaną strachem związanym z jej wiekiem.

Oświetlając drogę przed sobą, zdołała rozpoznać w plątaninie zarośli cienie psów, które kręciły się rozgorączkowane wokół jednego miejsca, jakby schwytały coś w pułapkę. Gdy znalazła się w odpowiedniej odległości, skierowała latarkę w ich stronę.

Ich łupem był chłopiec.

Kobieta zatrzymała się gwałtownie i kapelusz spadł jej z głowy. Przyjrzała się dziecku uważnie. Mógł mieć jedenaście albo dwanaście lat i siedział niewzruszony. Przy każdym oddechu z jego ust wydobywały się kłęby pary, za którą można było dostrzec długą blond czuprynę z grzywką, a pod nią dwie nieobecne źrenice o barwie mroźnego błękitu. Miał niemal przezroczystą, cienką jak bibułka skórę, która pozwalała domyślać się skrywających się pod nią żył. Wyglądał, jakby zrobiono go z wosku. Miał na sobie zimowe ubranie, ale obejmował ramionami klatkę piersiową i trząśł się z zimna. Jego oczy odbijały światło latarki. Było w nich coś dziwnego. Po chwili zrozumiała.

Nie mrugał.

Kobieta już nigdy nie zapomni tego spojrzenia. Najbardziej logiczne pytanie, jakie należało sobie postawić, brzmiało: co chłopiec robi sam w lesie nad ranem? Ale choć nie miało to większego sensu, zrozumiała nagle, że boi się odpowiedzi. Zapytała więc:

– Zabłądziłeś?

Woskowy chłopiec wciąż się w nią wpatrywał, niemo i bez wyrazu.

– Jak masz na imię?

Żadnej reakcji.

Tymczasem psy nie przestawały go oszczekiwać. Kobieta gwizdnęła energicznie, by przywołać je do porządku, ale nie zareagowały. Spróbowała jeszcze raz, lecz nadal ignorowały jej komendy. Jedyne wytłumaczenie, jakie przyszło jej

do głowy, to że się boją. Bardziej logiczna byłaby sytuacja odwrotna – że chłopiec boi się ich. Scena wydawała się nierealna, bo dziecko wyglądało na absolutnie niegroźne.

– Basta! – wrzasnęła w końcu, zbliżyła się do jednego z seterów i uderzyła go lekko w pysk. Wycofał się za jej nogi, a drugi poszedł w jego ślady. Dygotały. Żeby je uspokoić, wyjęła z kieszeni kurtki kilka kawałków suszonej słoniny i podała zwierzętom. – Zabiorę cię do mojego domu i stamtąd kogoś zawiadomimy, dobrze? – powiedziała do chłopca. Nie miała ze sobą komórki, ponieważ i tak nie było tu zasięgu.

Jej propozycja nie doczekała się odpowiedzi.

– Pewnie jesteś głodny – rzuciła.

Tym razem, nie czekając na reakcję, schyliła się po kapelusz, otrzepała go spokojnie z ziemi, po czym odwróciła się i ruszyła w drogę powrotną. Liczyła na to, że sztuczka zadziała, bo nie miała innego pomysłu na rozwiązanie tej sytuacji. I szczerze mówiąc, cała ta historia ją też zaczynała przerażać. Po chwili usłyszała za sobą kroki i zrozumiała, że dziecko za nią podąża.

Psy były wciąż pobudzone.

Przez całą drogę do gospodarstwa chłopiec nie wypowiedział ani słowa. Wydawał się dziwnie spokojny, niewzruszony. Jakby nie był człowiekiem. Przybył z innego świata, nie było wątpliwości. Kiedy dotarli do domu, przyglądała mu się, jak siedząc po turecku na podłodze przed rozpalonym kominkiem, je w ciszy chleb i pije mleko, i przypomniała sobie to, co poczuła, zanim go zobaczyła: że nie jest sama. I pomyślała, że ten chłopiec jest śmiercią.

Tak, śmierć przechadzała się po lasach Mugello i przybrała postać dziecka.

To właśnie ona w ciągu ostatnich tygodni robiła jej codzienną pobudkę o 3.47, by przygotować ją na to spotkanie. I to śmierć nakłoniła ją, by udała się

w wyznaczone miejsce w Valle dell'Inferno.

Śmierć tam na nią czekała, a ona zaprosiła ją do swojego domu. I już wkrótce, po skończonym posiłku, śmierć się odezwie i powie jej niewinnym głosem to, czego żaden człowiek nie chciałby nigdy usłyszeć.

Że nadeszła jego chwila.

Kobieta zadzwoniła pod 112 i podczas gorączkowego oczekiwania, aż ktoś uwolni ją od tej niepokojącej istoty, szukała pocieszenia w spojrzeniu zmarłego męża na zdjęciu ślubnym stojącym w gablotce. On wiedziałby, co zrobić. W tym samym momencie, jakby doznała objawienia, o czymś sobie przypomniała. Nie była pewna, ale w tych stronach przez jakiś czas o tym mówiono.

Wyszła do znajdującej się na zewnątrz domu toalety, w której na ziemi obok muszli leżał stos starych lokalnych gazet. Grzebała w nich, aż natrafiła na egzemplarz dziennika z początku lata poprzedniego roku. Była zaskoczona swoją pamięcią, bo właśnie w tej gazecie znalazła to, czego szukała. Zastanawiała się przez chwilę i nagle myśl, że ten chłopiec ma coś wspólnego ze śmiercią, nie wydała się tak dziwaczna.

Był tylko jeden sposób, by odkryć, czy się myli. Poszła do milczącego gościa z wycinkiem z gazety w ręce.

– Nico? – zwróciła się do niego obojętnym tonem.

Chłopiec przerwał jedzenie. Po czym spojrzał na nią uważnie.

2

– Mam jeszcze piasek przyklejony do stóp – oznajmiła Lavinia. – Może powinnam je opłukać przed wejściem do domu, teraz wszędzie go poroznoszę.

– Nic nie szkodzi – rzucił Pietro Gerber, psycholog dziecięcy.

– Mam nadzieję, że nałożyłam wystarczająco dużo kremu przeciwsłonecznego, bo w ubiegłym roku okropnie się poparzyłam – powiedziała dziewczynka.

– Wszystko jest w porządku – zapewnił ją i próbując złagodzić jej niepokój, zwrócił uwagę na coś innego. – Popływałaś sobie?

– O tak – potwierdziła z zadowoleniem. – Dopłynęłam aż do boi.

Był to jeden z powodów, dla których zabrał ją nad morze; wiedział, że pływanie działa na nią kojąco.

– Dlaczego tu jesteśmy? – zapytała podejrzliwie.

– Bo to ważne, żeby zacząć od początku...

Lavinia zastanowiła się nad jego słowami.

– Zacząć od początku – powtórzyła.

– Nigdy wcześniej nie byłem w twoim pokoju – ciągnął, by nie stracić wątku.

Rozejrzała się dookoła.

– Dawniej to był pokój mamy, kiedy była w moim wieku. Zostawiłam wszystko na swoim miejscu, niczego nie dotykałam.

– Dlaczego?

– Bo wiedziałam, że jej na tym zależało, i niepokoiłam się, że mogłoby być jej przykro, gdybym zaczęła wieszać tu swoje plakaty albo zdejmować jej rzeczy

z półek. Na przykład kolekcję muszli.

– Opowiedz mi coś o tym domu, zgoda?

Lavinia przez chwilę się zastanawiała.

– To willa babci, ona w dzieciństwie też przyjeżdżała do Forte... Ten dom zbudował chyba jej tata, który konstruował statki.

– Więc jest bardzo stary.

– Tak, zdaje mi się, że jest jakaś nazwa na określenie szyb z dużymi kolorowymi kwiatami i ścian pomalowanych w rośliny pnące. Babcia zawsze mi o tym mówiła...

– Chcesz powiedzieć, że jest w stylu secesyjnym.

– O właśnie! Miałam to na końcu języka! – Uśmiechnęła się i na jej policzkach pojawiły się dołeczki.

– Od jak dawna cię tu nie było? – zapytał psycholog.

Dziewczynka zmieniła jednak temat.

– Dużo było dziś ludzi nad morzem – powiedziała. – Plaża Annetta była pełna rodzin z dziećmi. Jeden chłopiec budował zamek z piasku przy naszym parasolu.

Gerber uznał, że może dla Lavinii jest jeszcze za wcześnie, by zmierzyć się z prawdziwym powodem ich obecności w tym miejscu, postanowił więc się do niej dostosować.

– Ładnie ci w tym turkusowym kostiumie.

– Naprawdę? – zapytała, zadowolona z pochlebstwa.

– Naprawdę.

– Szczerze mówiąc, gdyby pan nie nalegał, nigdy bym go nie włożyła. Wstydziłam się trochę, bo powinnam zrzucić co najmniej parę kilo. Widzi pan te wałeczki tłuszczu?

– A ja myślę, że jest dla ciebie doskonały, wiesz?

Lavinia miała czternaście lat i powodem, dla którego matka wysłała ją na leczenie do Pietra Gerbera, było to, że dziewczynka zaczęła postrzegać siebie w sposób, który nie miał nic wspólnego z rzeczywistością. Koścista kruszyna

ważąca ledwie trzydzieści kilogramów. Psycholog nie miał jednak pewności, czy terapia działa. Podczas niezliczonych sesji dostrzegł u niej barierę, którą sama zbudowała. Stopniowo udało mu się do niej zbliżyć. Bariera utworzona z wyobrazonego tłuszczu była jej niezbędna do obrony przed dojmującym cierpieniem. Ale jednocześnie blokowała dostęp całej reszcie, w tym pożywieniu, które było konieczne do przeżycia. Złamanie tej bariery wywołałoby katastrofę. Zamiast ją likwidować, Gerber chciał, żeby Lavinia zobaczyła, co jest po drugiej stronie.

To, co czekało na nią po drugiej stronie, nie miało być jednak przyjemne.

W tej chwili głównym problemem doktora Gerbera było to, że dziewczynka okazała się oporna na hipnozę. Dlatego poprosił matkę pacjentki o zgodę na zabranie jej do domu nad morzem, gdzie Lavinia – zgodnie z tym, co mówiła – spędziła kilka z najpiękniejszych momentów swojego krótkiego jeszcze życia.

– Kto śpi w pokoju obok? – zapytał.

– Po prawej stronie jest nowy pokój mamy – odpowiedziała natychmiast dziewczynka.

– A co jest po lewej?

Lavinia spochmurniała.

– Nic, nic tam nie ma – odparła pospiesznie. – Ten pokój jest pusty.

– Jesteś pewna? – nalegał Gerber. – Dlaczego nie pójdziemy sprawdzić?

Dziewczynka zastanawiała się przez chwilę.

– Nie mam teraz ochoty – rzuciła w końcu.

– No już, daj mi rękę. Będę ci towarzyszył, zrobimy to razem. Nie wydaje mi się to trudne...

– Dobrze – zgodziła się nieśmiało.

Dla Gerbera było to ważne osiągnięcie. Pozwolił, żeby to ona go prowadziła, sam szedł za nią.

– Zamknięte – stwierdziła Lavinia, gdy tylko stanęli przed drzwiami.

– Ale w zamku jest klucz, widzisz? – zachęcił ją psycholog.

Nie zdecydowała się jednak, żeby go przekręcić.

– O co chodzi? – zapytał, choć znał odpowiedź. To, co mieli przed sobą, nie było po prostu drzwiami, ale granicą. Zakazany pokój. Gdyby Lavinia weszła do środka, jej życie zmieniłoby się na zawsze. A nie była na to gotowa. Jeszcze nie.

Odezwała się tonem niemal gniewnym:

– A tam w środku co się stanie? Spróbuje mnie pan zahipnotyzować, jak kiedyś? Może użyje pan jakiejś nowej sztuczki...

– Już ci wyjaśniłem, jak to działa: ja nie mam tej mocy, to ty decydujesz. Jeśli ty tego nie chcesz, nie mogę wejść do twojej głowy.

Jej oddech przyspieszył. Wpatrywała się w zamknięte drzwi. Gerber to widział.

– Nie chcę tu dłużej być, chodźmy stąd – oświadczyła stanowczo.

– Prędzej czy później będziesz musiała otworzyć te drzwi, Lavinio. Ty też zdajesz sobie z tego sprawę.

– Nie dziś, nie teraz.

Ale Gerber nalegał.

– Co jest w tym pokoju? I dlaczego tak cię przeraża?

– Nie tym razem, proszę. – Jej ton stał się teraz błagalny.

– Nic nie może ci się stać, jesteś tu ze mną – próbował dodać jej odwagi.

Dziewczynka chwilę milczała, po czym zapytała:

– Czy to prawda, że nazywają pana „usypiaczem dzieci”?

– Tak – przyznał.

– Skąd mogę wiedzieć, że to, co zamierza mi pan zrobić, nie będzie bolało?

Chciała wiedzieć, czy może mu zaufać. Był to duży krok naprzód.

– Zdradzę ci sekret, zgoda?

– Dobrze – odparła trochę bardziej rozluźniona.

– Jaki dzisiaj dzień?

To pytanie ją zaskoczyło.

– Nie jestem pewna... – bąknęła zakłopotana. – Ale zdaje mi się, że jest luty.

– Owszem – potwierdził. – I nie uważasz za dziwne, że w lutym jest tak gorąco, że kąpałaś się w morzu?

– To prawda, tak – zgodziła się dziewczynka. Potem nagle zrozumiała. – My nie jesteśmy w willi w Forte dei Marmi... Jesteśmy w mojej głowie...

Gerber nic nie odpowiedział.

– To niemożliwe – rzuciła z niedowierzaniem. – Wszystko jest takie... realne.

– W tym momencie twój umysł jest najbezpieczniejszym miejscem na ziemi, Lavinio. Uwierz mi, tu nie może ci się stać nic złego.

– Właśnie to miał pan na myśli, mówiąc, że musimy zacząć od początku?

– Tak.

– Nie podoba mi się tu... nie podoba mi się ten początek. – Dziewczynka zaczęła mieć duszności, wpadać w stan hiperwentylacji. – Chcę już iść, jak się stąd wychodzi?

Niestety, eksperyment nie przynosił pożądanego efektu i Gerber nie mógł jej zmusić do pozostania.

– Zgoda, jak chcesz – powiedział spokojnym tonem. – Teraz usłyszysz dźwięki, nie musisz się ich bać.

– Słyszę.

Były to regularne metaliczne uderzenia. Wciąż pozostawały w tle, tyle że w pewnym momencie utonęły w podświadomości Lavinii wraz z postrzeganiem rzeczywistości.

– Policzymy razem do tyłu, od dziesięciu... Jesteś gotowa?

– Tak.

3

Zanim odliczanie się skończyło, Lavinia już otworzyła oczy. Przestała kołysać się na bujanym fotelu i rozejrzała się wokół z zagubioną miną. Gabinet na poddaszu. Biblioteka. Zabawki rozrzucone na czerwonym dywanie. Rozpalony kominek. Belki na sklepieniu. Szare światło deszczowego popołudnia przenikające przez zaciągnięte zasłony; przez szparę można było dostrzec w oddali piazza della Signoria.

Gerber wyciągnął rękę w stronę stolika, obok którego siedział, i wyłączył elektroniczny metronom. Pulsowanie, które wyciągnęło ich na powierzchnię niczym lina płetwonurka, ucichło, ustępując miejsca odgłosowi trzaskającego ognia.

– Nie wstawaj, jeszcze nie – przestrzegł, by uniknęła zawrotów głowy. – Jak się czujesz?

– Dobrze... Tak, wszystko w porządku – odparła, jakby chciała o tym przekonać również siebie. Po czym, wciąż jeszcze odchyłona na oparcie fotela, odwróciła się w stronę psychologa i przez dłuższą chwilę zdawało się, jakby uważnie mu się przyglądała. Jasnopomarańczowy sweter, okulary i zmierzwione włosy. Może chciała się przekonać, czy jest rzeczywisty. – Jak to się stało? – zapytała. – Nawet się nie zorientowałam...

Po raz pierwszy Lavinia całkowicie poddała się hipnozie.

– Właśnie to było ważne: żebyś się nie zorientowała – powiedział Gerber. – Ale to się nie stało dzisiaj, potrzeba było czasu. Zrobiłaś wszystko sama: każda sesja

była kolejnym krokiem.

– A teraz co będzie? – zapytała z obawą.

– Zobaczyłaś drzwi. Prędzej czy później znajdziesz siłę, by je otworzyć – zapewnił ją psycholog, podnosząc się z fotela, żeby pójść odsłonić okno; za zmatowiałymi od wilgoci szybami Florencja bawiła się w chowanego.

– A jeśli miałyby się to nigdy nie zdarzyć?

Gerber nie chciał sobie zadawać takiego pytania, bo jeśli Lavinia nie znalazłaby odwagi i nie nacisnęła klamki, przez resztę życia nie pozbyłaby się wrogiej istoty mieszkającej za progiem.

– Coś wymyślimy – uspokoił ją, unikając w ten sposób udzielenia odpowiedzi.

Lavinia spojrzała na zegar.

– Zaraz przyjdzie po mnie mama, może już czeka na dole. Mam pływanie, a potem muszę odrobić lekcje.

Zauważył, że w jednej chwili dziewczynka odzyskała pogodny nastrój. Dzieci mają niewiarygodną moc, swoistą zdolność do „samonaprawy”. Ale nie zawsze to działa, czasem jest tylko pozorne. Wyciągnął rękę i pomógł Lavinii wstać. Jej dłoń wydała mu się leciutka niczym balon, który ma za chwilę unieść się w powietrze.

– Widzimy się w czwartek po szkole, zgoda?

Skinęła głową, po czym włożyła kurtkę, którą zostawiła na wieszaku, podniosła z podłogi plecak z książkami i ruszyła z uśmiechem w stronę wyjścia.

– Do widzenia, panie doktorze.

Patrzył, jak pacjentka wchodzi do korytarza i mija drzwi pomieszczenia naprzeciwko. Lavinia nie wiedziała, że również w życiu jej terapeuty jest zamknięty pokój. Gerber unikał wchodzenia do gabinetu pana B.; w ciągu ostatnich pięciu lat nie znalazł w sobie nawet siły, by go opróżnić albo przeznaczyć na coś innego. Wyrzekł się ojca, ale po jego śmierci zostawił wszystko bez zmian.

– Weź jabłko z koszyka! – krzyknął za dziewczynką, słysząc, jak biegnie w stronę wyjścia. W przedpokoju były zawsze świeże owoce dla małych pacjentów.

– Dobrze! – rzuciła Lavinia.

Gdy zapadła cisza i wiedział, że został sam, usiadł znowu w swoim fotelu Eames Lounge z czarnej skóry z wykończeniem z palisandru. Mebel już do tego stopnia dostosował się do jego kształtów, że nikt inny nie uważał go za wygodny. Wziął wieczne pióro i czarny notes przeznaczony dla przypadku Lavinii i zaczął pisać.

Sesja z 23 lutego 2021

Uwagi

Po prawie trzech miesiącach terapii Lavinii nastąpił postęp: pozwoliła, bym poprowadził ją do znajomego otoczenia, gdzie czuje się bezpiecznie.

Jednocześnie pokazuje, że nie jest jeszcze gotowa; pewnie jakaś część jej osobowości upiera się przy odsuwaniu od siebie ważnego fragmentu przeszłości. Unikanie wspomnienia nie jest już jednak owocem kompromisu z samą sobą, by iść dalej — stało się prawdziwym ćwiczeniem na przetrwanie.

W tej sytuacji, choć może to być ryzykowne dla jej kruchej psychiki, niezbędne jest kontynuowanie tej drogi i uprzedzanie wypadków.

Zamieszkujący w niej upiór prędzej czy później da odczuć swoją obecność.

Gerber zamknął notes, ale nie wstał z fotela. Instynktownie podniósł wzrok na czerwoną lampkę na suficie, dokładnie naprzeciw miejsca, w którym siedział. Włączało się ją przyciskiem tego samego koloru, umieszczonym na jednej ze ścian przedpokoju. Umowa z pacjentami była taka, że po przyjściu nie byli zmuszeni rozpoczynać terapii od razu. Mogli poczekać przed gabinetem, a gdy poczuli się gotowi, wystarczyło nacisnąć ten guzik i Gerber po nich wychodził.

Ale sesja z Lavinia była ostatnią tego dnia.

Doktor Gerber zostawił sobie wolny czas w kalendarzu, by napisać artykuł do czasopisma psychologicznego, poczuł jednak, że nie ma na to zupełnie ochoty. Chciał tylko wrócić do domu, przynieść kwiaty dla Silvii i spędzić wieczór, bawiąc się w walki dinozaurów z trzyipółletnim synkiem Markiem. Na dywanie przed nim

leżały porozrzucone zabawki, kredki i kolorowe książeczki, ale te służyły tworzeniu iluzji, że gabinet jest bezpiecznym miejscem dla dziecka. Często jednak takim nie był.

Właśnie tu wielu małych pacjentów spotykało swoje demony.

Podniósł się z fotela, pokrzepiony decyzją pójścia do domu, i otworzył biblioteczkę w miejscu, gdzie w anonimowych czarnych okładkach ustawione były równo notesy, w których zapisywał obserwacje z sesji z pacjentami.

Umieścił tam zeszyt z notatkami dotyczącymi Lavinii.

Za chwilę upewni się, czy wszystkie światła na poddaszu są zgaszone, ale najpierw, po zamknięciu biblioteczki, poszedł stłumić ogień w kominku: byłoby nieostrożnie zostawić płomień w pomieszczeniu pełnym drewnianych belek. A wiele razy w roztargnieniu o tym zapominał. Dziwak, powiedziałaaby Silvia. Rozrzucając pogrzebaczem żarzące się polana, Gerber przypominał sobie wszystkie sytuacje, kiedy upomnienia żony zapobiegły różnym tarapatom, w które mógł się wpakować. Wydało mu się, że znów słyszy otwierane i zamykane drzwi wejściowe.

– Lavinia? – zapytał, sądząc, że dziewczynka czegoś zapomniała i wróciła.

Nikt nie odpowiedział.

Wiatr, uznał i znów zajął się kominkiem. Przypominał sobie, że na rogu ulicy jest kwaciarnia, i pomyślał, że może wieczorem, po kolacji i położeniu Marca spać, on i Silvia będą mogli obejrzeć razem jakiś stary film i poprzytulać się na kanapie. Rozproszył go jednak cichy czerwony błysk, który na ułamek sekundy pojawił się w jego polu widzenia.

Odwrócił się do lampki pod sufitem. Błyśnięcie się nie powtórzyło. Ale teraz nie mogło chodzić o wiatr.

Wstał i otrzepał ręce z zamiarem sprawdzenia, co się dzieje.

Wyszedł do przedpokoju: był pusty. Zdeterminowany, by rozwiązać zagadkę, ruszył do korytarza. Skręcił za rogiem, ale tam też nikogo nie było. Czerwony przycisk przeznaczony dla pacjentów wpatrywał się w niego niczym nieruchome

oko wystające ze ściany. Podszedł do drzwi wychodzących na klatkę schodową, otworzył je szeroko i sprawdził na zewnątrz, lecz tam też ani żywej duszy. Instynktownie spodziewał się, że usłyszy przynajmniej odgłos kroków na schodach. Tymczasem nic. Wychylił się przez balustradę, ale w panującym niżej mroku nie zdołał niczego dostrzec.

– Kto tam jest? – zapytał pośród ciszy ostrożnym tonem, jakby liczył na to, że w ewentualnym intruzie odezwie się nieodparta potrzeba udzielenia mu odpowiedzi. Jego głos odbił się echem w próżni; Gerber zdał sobie sprawę, że serce bije mu jak wystraszonemu dziecku, i trochę się tego zawstydził.

Wrócił na poddasze i zamknął drzwi, upewniając się, że tym razem są dobrze zatrzaśnięte. Rozbawiony, pokręcił głową. Pomyślał, że to umysł spletał mu figla. A ileż to razy musiał upominać swoich małych pacjentów, by nie wierzyli we wszystko, co widzą? Te omamy były skutkiem sesji z Lavinia, ponieważ hipnotyzer często w pewnym stopniu również jest zaangażowany w trans. W chwili, gdy miał już wracać do gabinetu, jego spojrzenie padło przypadkowo na stojący w przedpokoju koszyk z jabłkami. Zbliżył się, by zrozumieć, czy również to, co teraz ma przed oczami, jest wytworem jego wyobraźni. Kiedy wziął do ręki jabłko leżące na stercie pozostałych, zrozumiał, że wzrok go jednak nie myli.

Ktoś wbił w owoc igłę, z której zwisała długa niebieska nitka.

4

Choć była dopiero piąta po południu, nad Florencją zapadł już zimowy mrok, pełną między zaułkami i ulicami historycznego centrum niczym połyskująca czarna ślina.

Kiedy w starym trenczu Burberry szedł z bukietem żółtych tulipanów via dei Calzaiuoli, pod drobnymi kroplami mżawki, Pietro Gerber nie był w stanie opędzić się od myśli o wbitej w jabłko igle z niebieską nitką. Upór racjonalnego człowieka odmawiał choćby rozważenia możliwości, że ten gest, nieodpowiedzialny i groźny, mógł mieć jakiś związek z dziwnym wrażeniem, że usłyszał kogoś, kto wszedł na poddasze i szybko je opuścił.

Nie, chodziło na pewno o coś innego.

Jabłka były świeże, kupił je w małym warzywniaku i sam ułożył rano w koszyku. Nie było tam żadnych igieł; co do tego miał pewność. Jedynym wytłumaczeniem mógł być żart któregoś z małych pacjentów albo – gorzej – świadome działanie dorosłego opiekuna. Zaczął analizować kolejne sesje, które odbyły się tego dnia w gabinecie. Od razu wykluczył Filippa, bo chłopiec miał zaledwie pięć lat i był tak uległy, że nie zdołałby zaplanować podobnej akcji. Możliwym podejrzanym był ojciec Filippa; niedawno stracił pracę i wydawał się bardzo zestresowany. Po chwili Gerber przypomniał sobie jednak, że mężczyzna powierzył mu syna i natychmiast wyszedł, nie wchodząc nawet do środka, bo chciał skorzystać z wolnego czasu, by pozajątwiać jakieś sprawy. Camilla nie miała czasu zatrzymać się w przedpokoju – Gerber odebrał ją na klatce schodowej, a po

sesji odprowadził na dół, gdzie czekała na nią babcia, która z powodu artrozy miała trudności z pokonywaniem schodów. Dziesięcioletni Martin przyszedł sam; to mógł być on, lecz Gerber odrzucił to przypuszczenie, ponieważ chłopiec pozostawał jeszcze w bolesnej fazie przepracowywania żałoby po śmierci obojga rodziców w wypadku samochodowym. No i na koniec Lavinia. Ale jej również raczej nie brał pod uwagę; miała bardziej skłonność do krzywdzenia samej siebie niż innych.

Te dzieci przychodziły do niego, by pokonać traumę, zaburzenia zachowania, żywienia albo nastroju. Życie wystawiło je już na ciężkie próby, a nie posiadały jeszcze narzędzi, by stawić czoło egzystencjalnym pułapkom. Pietro Gerber dobrze wiedział, że dla zrozpaczonych rodziców albo krewnych terapia hipnozą często była ostatnią deską ratunku. Dlatego teraz konieczność spojrzenia na kruchych i nieszczęśliwych pacjentów w tym nowym świetle wprawiała go w pewne zakłopotanie.

Jedynym pocieszeniem było to, że – dzięki Bogu – wychodząc z gabinetu, nikt nie wziął z koszyka jabłka z igłą. Zamiast się jej pozbyć, wpiął igłę w kołnierz płaszcza; chciał ją pokazać Silvii i uzyskać jej opinię. Zamierzał zostawić tam igłę jako memento, dopóki nie rozwiąże zagadki. Tak czy owak, zrozumiał już, że będzie musiał zawsze zamykać na klucz drzwi wejściowe na poddasze, gdy będzie przebywać w gabinecie.

Kiedy tak próbował złagodzić swój niepokój, skręcił w via dell'Oche, gdzie za sprawą urbanistycznego żartu zdawało się, że echo odbija trzepotanie gęsich skrzydeł, ptaków, które dały nazwę tej ulicy, bo w dawnych czasach w dzień Wszystkich Świętych odbywał się tam gęsi targ. Minąwszy czternastowieczny pałac i średniowieczną wieżę, która należała do rodu Visdominich, skręcił w via dello Studio, gdzie od 1860 roku ma siedzibę sklep Pegna. Początkowo była to fabryka produktów chemicznych, która z czasem zaczęła proponować swojej klienteli również produkty spożywcze. Tak więc obok sklepu, w którym można było kupić kleje i farby, ulokowano wkrótce drugi, gdzie sprzedawano delikatesy wszelkiego rodzaju. Pietro Gerber przychodził tu w dzieciństwie z panem B.

i zdarzało się, że ojciec kupował воск do polerowania ram obrazów, a potem wracali do domu z torebką cennych cukierków z likierem różanym.

Mijając sklep, Gerber pomyślał, że na pewno znajdzie w środku coś, co sprawi Silvii przyjemność jako dodatek do kwiatów.

Kupił tackę z szynką z sieneńskiej wieprzowiny i dojrzewającym w słomie pecorino. Sprawi prawdziwą niespodziankę żonie, gdy wróci do domu wcześniej niż zwykle, obładowany niespodziewanymi podarunkami. Otworzą do tego butelkę Brunello.

Zapowiadał się idealny wieczór.

Gerber był przekonany, że tego typu miłe gesty są konieczne, by ożywiać nawet dobre małżeństwo. Jak wszystkie pary, przez prawie pięć lat on i Silvia mieli lepsze i gorsze dni, ale nie zdarzyło się nic, czego nie dałoby się naprawić. Aż do „przypadku Hall”. Nadali tej sprawie taką nazwę, jakby chcieli zachować bezpieczny dystans do wydarzeń, które zagroziły ich związkowi. Gerber oddalił się wtedy od żony i synka, ale tylko po to, by chronić ich przed natarczywością tajemniczej pacjentki, jedynej dorosłej osoby, jaką kiedykolwiek miał pod opieką. Na szczęście Silvia okazała się bardziej dojrzała i odpowiedzialna od niego i dzięki swojej dalekowzroczności i sile woli przejęła kontrolę nad kryzysem, nie pozwalając, by ich związek się rozpadł.

Kiedy tego wieczoru przekroczył próg mieszkania z najlepszymi intencjami, przed jego oczami roztoczył się niespodziewany widok.

Przy wejściu stał wazon z żółtymi tulipanami identycznymi jak te, które trzymał.

Gdy zastanawiał się, jak to możliwe, przyjął go chłód domu i nieprzenikniona cisza. Ogarnęło go nagłe poczucie otaczającej pustki. Opadły go wątpliwości, od których aż się zachwiał. Dlaczego nikogo nie ma? Gdzie się podziali? Co się stało? Po czym z niemym krzykiem wyłoniło się z mroku widmo gorzkiej rzeczywistości.

Po tym, jak kazał im się wyprowadzić, Silvia i Marco nie wrócili już do domu.

5

Wyparcie wspomnienia jest bardzo niebezpieczną techniką autohipnozy. Przede wszystkim dlatego, że w gruncie rzeczy chodzi tylko o środek tymczasowy.

Codziennie rano przed wyjściem z domu Pietro Gerber poddawał się kilku ćwiczeniom na oddalenie problemów: poprzez oddech można wyćwiczyć umysł w odsuwaniu przyczyny cierpienia i spychaniu jej w najdalszy zakamarek umysłu. Nie zawsze to działało. Był to jednak jedyny znany mu sposób, by nie sięgnąć po leki psychotropowe albo antydepresanty, co nie pozwoliłoby mu kontynuować z pożytkiem pracy z pacjentami.

To ja przyniosłem te kwiaty, które są w wazonie. Poprzedniego wieczoru, przypomniał sobie.

Po czym ruszył w głąb mieszkania z freskami na sklepieniach, mieszczącego się w starej kamienicy w historycznym centrum. Kiedy przemierzał w ciemności puste pokoje, dalszy ciąg rzeczywistej historii wynurzał się w jego wnętrzu kawałek po kawałku. Silvia przeprowadziła się do Livorno, wystąpiła o rozwód, dostała go i żyła teraz z nowym partnerem. Jej stosunki z byłym mężem były pełne szacunku, ale ograniczone do minimum. Sąd orzekł, że Gerber może zabierać syna do siebie na dwa weekendy w miesiącu, lecz po kilku próbach, gdy chłopiec okazał wyraźną niechęć do przebywania z ojcem w starym domu we Florencji, ten w porozumieniu z ekszöną zdecydował się na składanie synowi niedzielnych wizyt.

Przyczyną wszystkiego była Hanna Hall.

Wraz z pojawieniem się tej kobiety życie Pietra Gerbera roztrzaskało się na kawałki. To była prawdziwa eksplozja, ale w zwolnionym tempie, tak że mógł śledzić chwilę po chwili to, co działo się wokół niego, lecz nie mógł tego powstrzymać. A najgorsze, że Hanna Hall zniknęła, zanim Gerber mógł uzyskać od niej wszystkie odpowiedzi. Został z całą serią nierozstrzygniętych kwestii, które go prześladowały.

Konsekwencją eksplozji było roztrzaskane życie i ponure osamotnienie.

Pozbył się tulipanów, wyrzucając je do śmieci, i otworzył butelkę wina. Wziął tackę z szynką i serem, po czym osunął się wykończony na kanapę w salonie i włączył odtwarzacz.

Silvia kupiła kiedyś starą kamerę wideo na targu z używanymi rzeczami i wbiła sobie do głowy, że ich rodzinne wspomnienia będą miały taką samą ziarnistość i takie samo światło jak w czasach, gdy ona i Pietro byli dziećmi, czyli w latach dziewięćdziesiątych. Kasetę wideo z rodzinnymi nagraniami, którą miał kiedyś dostać Marco, ostatecznie została u jego ojca jako jedyna pamiątka po tym, co wydawało się wielką miłością.

Gerber oglądał ją każdego wieczoru. Bez dźwięku, bo wtedy mniej bolało.

Niecałe czterdzieści pięć minut różnych fragmentów: przyjęcia urodzinowe, kilka niedzielnych wycieczek, wakacje nad morzem, jedno Boże Narodzenie. Ocalone przed upływem czasu, zanim kamera nieodwracalnie się popsuła, a wraz z nią cała reszta.

Ktoś inny uznałby oglądanie tego filmu za dającą się uniknąć torturę. Włączając taśmę, Gerber nie gonił już za niemożliwym do zrealizowania pragnieniem, by wszystko było znów jak kiedyś. Wciąż szukał w tych kadrach jakiegoś szczegółu, który mu umknął, wskazówki, która zasygnalizowałaby coś, co nie zadziało: popełnionego błędu, rysy zapowiadającej zawalenie się budowli.

Tak jakby można było jeszcze naprawić te rzeczy, ale tylko w przeszłości, jakby posiadał magiczną formułę na odwrócenie czasu.

Pietro Gerber znał przyczynę fiaska swojego małżeństwa, tyle tylko, że nie znajdowała się ona na tym wideo, i dobrze o tym wiedział, choć nie chciał tego przyznać.

Dlatego zadowoliliby się ostrzeżeniem osób, które uśmiechały się na ekranie. Chciałby uprzedzić siebie, Silvię i Marca o tym, co ma nastąpić; w ten sposób mogliby ocaleć i nie utracić szczęścia.

Zacząć od początku. Czy nie to właśnie mówił zawsze małym pacjentom? Ledwie kilka godzin wcześniej wskazał Lavinii konieczność cofnięcia się w czasie. Sam jednak nie miał na to odwagi i kiedy stosując autohipnozę, przewijał swoją pamięć niczym taśmę w kasecie wideo, zatrzymywał się zawsze na chwilę przed tym, jak wszystko zaczynało się walić.

Bo tym, co chciałby przeżywać w nieskończoność, nie była przeszłość, ale ten konkretny moment. Kiedy wszystko było jeszcze doskonałe.

Zjadł szynkę i ser ze wzrokiem zagubionym w ekranie telewizora i pozwalał, żeby alkohol powoli łagodził udrękę, tak by oglądanie nagrania stało się do zniesienia. Znowu myślał o wszystkich tych chwilach, gdy siedząc w tym samym miejscu, czekał, aż Silvia wróci z pokoju śpiącego Marca. Jej kroki zbliżające się w półmroku korytarza, jej pojawienie się w progu. Często przyciągał ją do siebie pod byle pretekstem i kochali się właśnie tu, między poduszkami na kanapie. Pospiesznie, w obawie, że synek obudzi się i im przerwie. W tym momencie wyobraził sobie, że odsuwa jej włosy z karku, wtulając twarz w ciepłą szyję, i że długo ją całuje. Widział żonę, jak odchyła głowę i jednocześnie przymyka oczy, poddając się jego czułości. Wyobraził sobie, jak rozpina jej bluzkę i pieści piersi. I poczuł jej dłoń wsuwającą się do jego spodni i masującą go, jej tchnienie mieszające się z jego oddechem. Ale kiedy w tej fantazji Silvia odwróciła się, by poszukać jego warg, to nie była już ona.

To była Hanna.

Nawet teraz nieznajoma, która przybyła z innego świata i innego czasu, była w stanie wdrzeć się w jego intymną przestrzeń. A on nie mógł nic zrobić; był bezsilny, we władaniu czarów, które zabrały już większą część jego życia. Ale może chciał się tak czuć, unicestwiony w uścisku tej dziwnej istoty o dwóch głowach, dwóch tożsamościach. Bo Silvia wyłaniała się z twarzy Hanny, a Hanna z twarzy Silvii: w tym śnie na jawie obie kobiety nieustannie się wymieniały, jak w nieudanym eksperymencie klonowania.

W ten kusicielski koszmar wdarł się ostry dzwonek domofonu.

Nagle Gerber wyrwał się z oszołomienia winem i seksem. Było po dziesiątej. Kto to mógł być o tej porze?

Wyłączył odtwarzacz i z kieliszkiem w ręce poszedł otworzyć drzwi. Stał naprzeciw dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach. Wystarczył mu jeden rzut oka, by wiedzieć, że to karabinierzy w cywilu. Tylko oni wiązali krawaty w taki sposób, jakby ciągle byli w mundurze.

- W czym mogę pomóc? – zapytał, gdy pokazali mu legitymacje służbowe.
- Powinien pan z nami pójść, doktorze.
- Nigdzie nie pójde, dopóki nie powiecie, o co chodzi.
- Przysłała nas sędzia Baldi, chce pana widzieć.

Stara przyjaciółka w przeszłości często do niego dzwoniła w imieniu sądu dla nieletnich. Ale po sprawie Hall zerwał kontakty również z Baldi. Nigdy jednak nie wzywała go o tak późnej porze, wysyłając na dodatek po niego ludzi.

Musiało się wydarzyć coś poważnego.

– To zwykła formalność – rzucił jeden z karabinierów. Najwyraźniej kłamał, by przewyciężyć jego niezdecydowanie. – Sędzia potrzebuje konsultacji.

Gerber wiedział, że nie ma co się upierać, ale przypomniał sobie z drżeniem, że również w przypadku Hall wszystko zaczęło się od całkiem normalnego telefonu.

– Wezmę płaszcz i nowy notes – powiedział w końcu.

Wszystko, byle tylko uciec przed spotkaniem z upiorami i złymi wspomnieniami.

Pobrano z exsites.pl

6

Kroki karabinierów w cywilu, którzy szli przed nim, odbijały się echem na opustoszałych ulicach, w poplątanych zaułkach historycznego centrum. Przeszli w milczeniu krótką trasę dzielącą ich od jedynej anonimowej kamienicy pośród wspaniałych czternastowiecznych budowli stojących przy via della Scala.

Siedziba sądu dla nieletnich na przestrzeni wieków przechodziła różne koleje losu.

Na początku mieściło się tam schronisko dla sierot, nieślubnych dzieci, porzuconych noworodków. Prowadzący je zakon miał za zadanie przyjmować je, ale też ukrywać przed oczami tych, którzy uważali ich przyjście na świat za boskie niedopatrzenie. Mówiło się, że mury są grube, żeby na zewnątrz nie dało się słyszeć, co się dzieje w środku. Mimo że teraz w tym miejscu dbano o sprawiedliwość dla najmłodszych, wciąż czuło się niepokojącą obecność przeszłości, jak również przytłumiony lament, który – jak mawiano – był efektem architektury budowli, ujawniającym się w chwilach, gdy ta wystawiona była na podmuchy tramontany. Zdaniem innych chodziło o płacz dzieci przechowywany wciąż przez kamienie.

Pietro Gerber nie był tam jeszcze nigdy po zachodzie słońca.

Karabinierzy towarzyszyli mu do marmurowych stopni prowadzących na wyższe piętra. W połowie schodów czekała na niego Anita Baldi. Wyprostowana w ciemnym kostiumie, z włosami upiętymi w siwy kok. Choć osiągnęła wiek

emerytalny, wciąż prosiła o przedłużenie swojej służby. Zresztą zwierzchnicy byli bardzo zadowoleni, że w dalszym ciągu pracuje.

Była nie tylko najbardziej doświadczona w kwestiach dotyczących dzieci. Była po prostu najlepsza.

Widząc jej zaniepokojoną minę, Gerber zdał sobie sprawę, że nie chodzi o zwykłą formalność, jak mu powiedziano, i że jego zadanie tej nocy będzie zdecydowanie wykraczać poza zwykłą konsultację.

Chwilę potem sędzia wprowadziła go do swojego gabinetu na pierwszym piętrze. Ścianę za jej biurkiem pokrywał dziwny fresk sięgający aż do sufitu. Przedstawiał fragment piekła. W okresie późnego średniowiecza pomieszczenie to służyło jako sala porodowa dla prostytutek i niezamężnych dziewcząt. W ramach pokuty ciężarne zmuszone były wpatrywać się w tę scenę w trakcie wydawania na świat owocu swojego grzechu. Ale teraz to dzieło, które wyszło spod nieznanej ręki, było niemal całkowicie zasłonięte przez ogromny kolaż rysunków podarowanych sędzi przez dzieci, które na przestrzeni lat przewinęły się przez to miejsce. Gerberowi kojarzyły się one zawsze z darami wotywnymi, które wierni zostawiają w kościołach w ramach podziękii za otrzymaną łaskę. Bo choć ta odważna kobieta, Anita Baldi, nie była świętą, to ocaliła wiele istnień.

Nie rozpoczęła spotkania od grzecznościowych formułek, komentarzy na temat jego sytuacji rodzinnej czy ogólnie prywatnego życia ani od uwag dotyczących jego zmęczonego wyglądu. A przecież nie widzieli się od ponad półtora roku. Sędzia ograniczyła się do jednego pytania:

– Jak się masz?

– Dobrze.

Ta krótka odpowiedź była dla niej wystarczająca, może dlatego, że Anita Baldi nie miała wyboru – musiała zdać się na jego pomoc. Przedstawiła mu pokrótce sprawę.

Znaleziono chłopca.

Tego dnia o świcie znalazła go sędziwa hodowczyni koni, która wyprowadzała psy na spacer w lasach Mugello. Małoletni miał na imię Nikolin i razem z matką zaginął osiem miesięcy temu. Złapali gumę w samochodzie, w którym mieszkali, odkąd zostali wyeksmitowani. Do zdarzenia doszło na jedynej przechodzącej przez rezerwat przyrody asfaltowej szosie, która w pewnym miejscu rozwidła się w mniejsze bite drogi i wąskie ścieżki.

– Nie wiadomo, co robili na tym pustkowiu – zakończyła Baldi.

Gerber z trudem przypominał sobie zdjęcie z gazet przedstawiające stare auto wypchane rzeczami, porzucone na poboczu jezdni, z kołem leżącym na ziemi i otwartymi drzwiami. Miało to miejsce w pierwszych dniach czerwca.

– I co się mogło wydarzyć po tym, jak złapali gumę? – zapytał.

– Według analizy śledczych istniały dwie hipotezy, obie bardzo wiarygodne. Pierwsza, bardziej dramatyczna, zakładała, że matka i syn zaczęli krążyć nierozważnie po okolicy w poszukiwaniu pomocy i w końcu zgubili się w lesie... Bardziej logiczne byłoby cofnięcie się asfaltową drogą, ale może zaskoczyła ich ciemność i stracili orientację, trudno powiedzieć.

– Ale gdyby tak się to potoczyło, po tylu miesiącach obydwójce już by nie żyli – zauważył Gerber. – A druga teoria?

– Bardziej uspokajająca: przejeżdżający przypadkowo kierowca. Dobry samarytanin, który zabiera ich do samochodu i zostawia nie wiadomo gdzie. Kobieta i dziecko przywykli do życia z dnia na dzień, dlatego znikają z radarów opieki społecznej. Spodziewano się, że w każdej chwili mogli się pojawić w jakiejś innej części Włoch. Albo że jeszcze się trochę powłóczyli i po prostu wrócili do Albanii. Zwłaszcza że kobieta nie miała tu przyszłości, chwytiała marne i źle opłacane prace.

– Co pani nie pasuje w tej drugiej hipotezie?

– Wprawdzie w prasie pisano o tym tylko zaraz po znalezieniu samochodu, ale na poziomie lokalnym sporo o tym mówiono...

– A w kolejnych miesiącach nie zgłosił się żaden dobry samarytanin z informacją, że podwiózł gdzieś kobietę i chłopca, których wszyscy szukali – dokończył za sędzie. – Teraz pojawienie się dziecka wprowadziło zamieszanie, więc domyślałam się, że powstała trzecia hipoteza, prawda? – W końcu zrozumiał powód zaniepokojenia Baldi.

– Otóż to. Nazwaliśmy ją „tajemniczym wariantem” i chciałabym, żebyś go zweryfikował.

– Czyli? – zapytał zaintrygowany.

– Chłopiec nie mówi – wyjaśniła sędzia, przysiadając na starym biurku z drewna orzechowego. – Ani słowa, choć reaguje na swoje imię. Nie miał ze sobą dokumentów, ale jego tożsamość nie budzi wątpliwości: odpowiada opisom dwóch pracownic socjalnych, które sprawowały nadzór nad matką i synem przed ich zniknięciem. Ale jeśli chcemy coś zrozumieć, musimy pytać jego, bo jest zbyt wiele znaków zapytania. – Zaczęła wyliczać: – Co dokładnie stało się tamtego dnia w czerwcu? Gdzie się podziała matka? I przede wszystkim: gdzie chłopiec był przez te kilka miesięcy?

– I ja miałbym go odblokować? – Gerber zajmował się już takimi przypadkami. Pamiętał pięcioletnią dziewczynkę, która pewnego dnia zamknęła się w niewytłumaczalnej niemocie i pod wpływem hipnozy ujawniła, że opiekunka znęcała się nad nią, a rodzice niczego nie zauważyli.

– Warto zwrócić uwagę na to, że może poza zbyt długimi włosami Nikolin nie wydaje się zaniedbany albo niedożywiony. Choć zniknął latem, teraz ma na sobie ubrania zimowe. A miejsce, gdzie starsza kobieta z psami go spotkała, nie jest zbyt odległe od punktu, w którym wcześniej urwały się ślady jego i matki.

Gerber wciąż jednak nie rozumiał.

– Co dokładnie próbuje mi pani powiedzieć?

– Ta historia jest pełna luk, Pietro. A prawda może się ostatecznie okazać prostsza, a jednocześnie bardziej przerażająca, niż możemy to sobie wyobrazić.

I tylko ten chłopiec ją zna. – Baldi nie potrafiła wyrazić jaśniej trapiącej ją myśli. –
Co zatem sugerujesz?

Psycholog wyjął z kieszeni trencza czarny notes z czystymi jeszcze kartkami.

– Otwieramy pokój zabaw.

7

„Pokój zabaw” był rzeczywiście pokojem, w którym były zabawki. Zmieniała się tylko funkcja przedmiotów.

Służyły sondowaniu umysłów dzieci.

Choć nie było tam łóżka, pomieszczenie pod każdym względem wyglądało jak pokój dziecięcy. Podłogę pokrywała wykładzina w barwach tęczy. Na słomkowożółtych ścianach wisiały plakaty, zmieniające się w zależności od wieku i płci dziecka, które miało tam tymczasowo gościć. Dla najmłodszych mogły to być postacie z kreskówek. Dla nastolatków ulubieni piosenkarze, zespoły rockowe albo sportowcy. Również zabawki się zmieniały, od kolejek i lalek po puzzle i gry wideo.

Wystrój miał pomóc małoletniemu w oderwaniu się od traumy wywołanej tym, co zobaczył albo co mu się przytrafiło, żeby wydobyć od niego zeznanie. Zaaranżowana zabawa powodowała, że opowieści były zazwyczaj pozbawione niepokoju, jaki wywołałby pobyt w zwykłym gabinecie albo sali sądowej.

Pokój został przygotowany przez dziecięcych psychologów; każdemu przedmiotowi przypisano określoną rolę. Jeśli dziecko wyżywało się na pluszaku albo lalce, istniało prawdopodobieństwo, że zostało poddane przemocy. Sesje były zawsze prowadzone przez specjalistów, a ukryte w ścianach kamery rejestrowały ich przebieg w celu sporządzenia raportu. Poza tym na jednej ze ścian wisiało lustro weneckie, za którym zazwyczaj ukrywali się sędzia, sekretarz sądowy, czasem ławnicy, służby porządkowe, oskarżeni i ich obrońcy.

Odwoływanie się do hipnozy nie było regułą w pokoju zabaw. Istniało ryzyko, że sprytny adwokat zakwestionuje zeznanie przeciwko swojemu klientowi jako uzyskane metodami sugestii, które mogłyby podważyć ich autentyczność. W najtrudniejszych przypadkach sędzia Baldi podejmowała jednak współpracę z panem B., a gdy ten zmarł, z jego synem Pietrem.

Często był to jedyny sposób na zrekonstruowanie skomplikowanej prawdy.

Po wydaniu dyspozycji karabinierom, żeby przygotować sesję, Baldi zaprowadziła Gerbera do pokoju zabaw. Idąc korytarzem, zauważył starca w wysokich butach i zielonej kurtce, który stał ze spuszczoną głową, oparty o ścianę. Zrogowaciałe dłonie miętoszyły kapelusz, w ustach międlił zgaszone cygaro. Gdy go mijali, podniósł na chwilę wzrok i skłonił z szacunkiem głowę. Dopiero wtedy Gerber zdał sobie sprawę, że to kobieta o męskim wyglądzie.

– Kto to? – zapytał.

– Hodowczyni koni, która znalazła Nikolina w lesie – wyjaśniła sędzia.

– Dlaczego wciąż tu jest?

Anita Baldi wzruszyła ramionami.

– Powiedziano jej, że może wracać do domu, ale upiera się, że nie chce zostawić chłopca samego.

Gerber natychmiast obdarzył szacunkiem tę kobietę, która wykazała się anachronicznym poczuciem odpowiedzialności wobec kogoś całkowicie nieznanego. Mógł wręcz odczytać to w jej myślach: skoro to jej przytrafiło się znaleźć Nikolina, to znaczy, że coś albo ktoś powierzył go jej opiece.

Wszedł do pokoju zabaw. Już prawie nie pamiętał, kiedy był tam po raz ostatni. Przez chwilę miał poczucie klaustrofobii; wziął oddech, by zapanować nad emocjami, ale zdawał sobie sprawę, że nie jest już tym samym człowiekiem co kiedyś.

Zabierajmy się do pracy, powiedział sobie w duchu.

Zdjął płaszcz i rzucił na wykładzinę w rogu pokoju, podciągnął rękawy swetra i podwinął aż do łokci mankiety koszuli w kratkę. Po czym w oczekiwaniu na

pacjenta zaczął przygotowywać pomieszczenie. Usunął plakaty ze ścian, zabawki pochował do szuflad. Potrzebował neutralnego otoczenia. Zostawił tylko kredki i białe kartki rozrzucone na niskim stoliku ustawionym pośrodku. Chłopiec jest Albańczykiem i być może mówi słabo po włosku, więc rysunki mogą się okazać pomocne, pomyślał Gerber.

Umieszczonym na ścianie pokręteł wyregulował oświetlenie. Był tam też stary elektroniczny metronom, podobny do tego, którego używał w swoim gabinecie na poddaszu; ustawił go na rytm trzy czwarte, z akcentem na pierwsze uderzenie.

Wkrótce potem pozwolił karabinierom wprowadzić do pokoju zabaw Nikolina.

8

Chłopiec przekroczył próg pokoju krótko po północy. W pierwszym odruchu rozejrzał się dookoła – być może zastanawiał się nad pochodzeniem uporczywego dźwięku, który słychać było w tle – ale poza tym nie przejawiał żadnej reakcji. Miał na sobie sweterek w romby, a pod nim jasną koszulę, do tego flanelowe spodnie, a na nogach zniszczone adidasy. Biała czupryna opadała mu na czoło, niemal zakrywając błękitne oczy; miał delikatne rysy twarzy, niemal jak u efeba, być może z powodu piegowatej cery. Choć był już nastolatkiem, nie widać jeszcze było żadnych oznak dojrzewania.

– Podejdz bliżej, Nico – zachęcił go Gerber, używając tego samego zdrobnienia, którego zgodnie z uzyskanymi informacjami używała jego matka. Wskazał na niskie krzesła wokół stolika, by chłopiec mógł wybrać to, które mu odpowiada. – Ja jestem Pietro – przedstawił się. – Witaj.

Jak było do przewidzenia, chłopiec nie wypowiedział ani słowa. Ale usiadł.

Żeby go oswoić, psycholog bez pośpiechu zamknął drzwi i zerknął na ścianę z lustrem weneckim, jakby chciał zakomunikować temu, kto był po drugiej stronie, że są gotowi zaczynać. Kiedy znów odwrócił się do chłopca, Nikolin ułożył równo kredki i kartki, które Gerber rozrzucił wcześniej na stole. Chłopiec zrobił to bez szczególnego powodu i bez niczyjzego polecenia.

Psycholog usiadł obok niego i czekał, aż po tej starannie wykonanej czynności dzieciak zabierze się do rysowania. Tymczasem Nico siedział oparty łokciami

o blat, ze spuszczoną głową i spojrzeniem skierowanym na lewy mankiet koszuli wystający z rękawa swetra.

Gerber zauważył, że jeden guzik prawie się oderwał i wisiał na bawełnianej nitce. Chłopiec bawił się nim, nie zwracając uwagi na otoczenie.

Przez cały czas ani razu nie mrugnął, co Gerberowi wydało się dziwne.

Zaczął odmierzać, jak długo chłopiec może wytrzymać w takim stanie. Czterdzieści sekund. Mogło się to wydawać mało, ale była to wieczność, jeśli przyjąć, że normalnie człowiek mruga co pięć sekund. Choć nie znał przyczyny, będzie musiał wziąć tę anomalię pod uwagę.

– Teraz zrobimy pewien eksperyment, zgoda? – Nie spodziewał się odpowiedzi, więc kontynuował: – Słyszysz ten dźwięk? Chciałbym, żebyś się skoncentrował i spróbował wciągać i wypuszczać powietrze dokładnie w chwili, kiedy ci się wydaje, że uderzenie staje się głośniejsze.

Oddech Nikolina był regularny, ale nie zgadzał się z tempem metronomu.

Gerber nie był pewny, czy chłopiec dobrze rozumiał, więc spróbował ponowić prośbę i żeby go zachęcić, dodał:

– Poczujesz się bardzo zrelaksowany. To będzie przyjemne, zobaczysz.

Ale Nico wciąż tylko szarpał guzik koszuli.

Psycholog wyciągnął więc rękę w stronę elektronicznego przyrządu i przekręcił gałkę w taki sposób, żeby dźwięk dostosował się do rytmu oddechu chłopca. Zauważył jednak, że ten wciąż nie poddaje się działaniu urządzenia. Postanowił wprowadzić dodatkowy krótki dźwięk, która wyłaniał się i zanikał.

Nic z tego, pacjent stawiał opór. Jakby nie istniało dla niego nic poza tym przeklętym zwisającym guzikiem. Nie dało się zapanować nad jego koncentracją.

Zniechęcony wzrok Gerbera padł na ułożone równo kredki i kartki. Po wejściu do tej pustej i całkowicie dla niego nowej przestrzeni Nikolina poczuł natychmiast nieodpartą potrzebę uporządkowania tych przedmiotów.

Zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne, pomyślał psycholog.

I coś nagle przyszło mu do głowy. Nie warto się było specjalnie tym ekscytować, bo pewnie wkrótce się przekona, że się mylił. Wstał i poszedł podnieść rzucony wcześniej na podłogę płaszcz.

W kołnierzu wbita była igła z niebieską nitką, którą znalazł w jabłku w swoim gabinecie.

Wyjął igłę i zabrał ze sobą do stołu. Następnie ujął delikatnie rękę chłopca i oderwał guzik od koszuli razem z nitką, na której wisiał: przypadkiem też była niebieska. Nikolin obserwował całą tę operację bez żadnej oznaki protestu. Gerber zaczął spokojnie przyszywać nową nitką guzik do mankietu koszuli. Mógł sobie tylko wyobrażać, co myśli Anita Baldi po drugiej stronie lustro. Sędzia zapewne zastanawiała się, co się tu, u diabła, wyprawia. Ale Gerber był pewny, że to właściwy ruch.

Rzeczywiście, gdy guzik znalazł się na miejscu i przywrócono porządek rzeczy, chłopiec całą uwagę skierował na Gerbera. Wkrótce zwolnił jego oddech, co oznaczało, że ogarnia go niezmacony spokój. Psycholog skorzystał z tego, by wyregulować metronom.

Dzięki temu zabiegowi Nico wpadł w lekki trans. Świadczyły o tym spojrzenie i ręce opadające wzdłuż bioder.

– Słyszysz mnie? – zapytał Gerber.

Spodziewał się skinienia głową, tymczasem zaskoczyła go odpowiedź:

– Tak.

Ten niespodziewany postęp zelektryzował psychologa.

– Czy wiesz, gdzie jesteś?

Chwila ciszy, a potem:

– Nie.

– A wiesz przynajmniej, jak się tu znalazłeś?

– Nie.

Druga negatywna odpowiedź nie była dobrym znakiem: oznaczała, że chłopiec popada prawdopodobnie w stan splątania, czegoś w rodzaju szoku pourazowego.

– Wiesz, kim jesteś?

– Tak, wiem – odparł Nico; wciąż mówił w sposób automatyczny.

Gerber spodziewał się typowej intonacji cudzoziemca, który musiał nauczyć się włoskiego, a tymczasem – przynajmniej na razie – niczego takiego nie słyszał.

– I pamiętasz swoje imię?

Chłopiec nie odpowiedział, ale jego oddech przyspieszył – najbardziej banalne pytanie wywoływało w nim niepokój.

Psycholog postanowił nie nalegać; stan zawieszenia, w jakim znajdował się Nico, był bardzo kruchy i mógł w każdej chwili pęknąć.

– Jakie jest twoje ostatnie wspomnienie? – zapytał Gerber.

– Las.

Nagle przywołany las jakby niespodziewanie nabrał wokół nich kształtów.

– Co jest w lesie?

Chłopiec zaczął się wiercić.

– Najpierw trzy warunki, potem pytania.

Gerber nie rozumiał. Zdanie było niejasne, ale zaskakujący wydał mu się przede wszystkim autorytarny ton, jakim zostało wypowiedziane. Brzmiał fałszywie w ustach dziecka, psycholog nie wiedział jednak dlaczego. Postanowił skierować uwagę na inny temat.

– Pamiętasz, jak ty i twoja matka złapaliście gumę, jadąc samochodem?

Nico skinął głową.

– Co pamiętasz z tamtej chwili?

– To byłem ja – rzucił chłopiec.

Ta odpowiedź zbiła Gerbera z tropu.

– W jakim sensie to byłeś ty? Chcesz powiedzieć, że to ty przebiłeś oponę?

– Tak – przyznał Nico oschle.

Nawet się nie zawahał, pomyślał psycholog. To też wydało mu się dziwne.

– Dlaczego? – zaryzykował pytanie.

Chłopiec chyba zastanawiał się nad odpowiedzią. A potem wymówił jednym tchem:

– Arnau zrozumiał przed innymi, gdzie ona skończy, ale nic już nie mógł zrobić.

Zdanie nie miało sensu.

– Kim jest Arnau?

Nikolin milczał.

Gerber przypisał te słowa swoistej interferencji: tak jakby wspomnienie, które wypłynęło nie wiadomo skąd, wmieszało się w rekonstrukcję faktów.

– Możesz porozmawiać ze mną o matce? – zapytał.

– Arnau zrozumiał przed innymi, gdzie ona wyląduje, ale nic już nie mógł zrobić – powtórzył chłopiec jak refren.

Próbował zmienić temat? Był tylko jeden sposób, by to odkryć: nalegać.

– Nico, co stało się z twoją matką? – zapytał otwarcie psycholog.

Cisza.

– Coś jej się stało?

– Tak.

– Czy to wina tego Arnaua?

– Nie.

– A więc czyja?

– To byłem ja.

To samo zdanie co wcześniej, wypowiedziane równie wyraźnie. Pietro Gerber poczuł się nieswojo. Pożałował nagle, że nie został tej nocy w domu. Nie chciał już tutaj być.

– Co masz na myśli? Możesz to wyjaśnić, proszę? – Zadając to pytanie, zdobył się na ostatni wysiłek.

Tym razem chłopiec odwrócił powoli głowę w jego stronę. Spojrzał mu głęboko w oczy i lodowatym tonem powtórzył:

– To byłem ja.

9

Pierwsza sesja: 24 lutego 2021

Pacjent: Nikolin (12 lat)

Uwagi

Przywróciłem go do świadomości, odrywając guzik od mankietu jego koszuli. Nie było konieczności odliczania od dziesięciu. Ten gest jakby go „rozłączył”. Po czym chłopiec znowu zamknął się w niewzruszonym milczeniu.

Po zakończeniu sesji Nikolin nie miał jasnego wyobrażenia o tym, co mi właśnie wyjawiał, ani też o konsekwencjach, jakie to dla niego będzie miało. Gdy się przebudził, spojrzał tylko na mnie niewinnymi oczami, które zdawały się obserwować świat po raz pierwszy.

Wtedy Pietro Gerber przypomniał sobie, że poczuł ogromne współczucie dla tego dziecka potwora.

Podnosząc wzrok znad czarnego notesu i rozglądając się w opustoszałym korytarzu w sądzie, gdzie siedział na ławce z laminatu, pojął, że jest w tę sprawę bardzo zaangażowany. Nigdy mu się to nie zdarzyło i było nie do przyjęcia. Zwłaszcza pod koniec sesji z Nikolinem ten niezwykły stan ducha naraził na poważne ryzyko bezstronność psychologa.

Sędzia Baldi ostatnie zdanie wypowiedziane przez Nica uznała za wyraźne przyznanie się do winy. Karabinierzy się z nią zgadzali. Prokuratura została natychmiast zawiadomiona o dramatycznym rozwoju sprawy. Choć oświadczenie

złożone pod wpływem hipnozy nie ma takiej samej wagi prawnej co zeznanie, teraz chodziło tylko o znalezienie elementów potwierdzających słowa chłopca.

O świcie, z wykorzystaniem psów do znajdowania zwłok, miało się rozpocząć przeszukiwanie lasów, w których go odnaleziono.

Gerber nie mógł opędzić się od myśli, że nie podjęto takiego samego wysiłku, gdy matka i syn zniknęli i być może oboje jeszcze żyli. Prawdopodobnie dlatego, że byli biedni, a przede wszystkim nie byli Włochami. Opinia publiczna specjalnie się nimi nie przejmowała. Ale może teraz, przy okazji tego niespodziewanego przełomu w śledztwie, znajdzie się jakiś smakowity materiał, który zaspokoi apetyt mediów społecznościowych.

A prawda może się ostatecznie okazać prostsza, a jednocześnie bardziej przerażająca, niż możemy to sobie wyobrazić.

Tak właśnie powiedziała Anita Baldi, gdy przedstawiła mu motywacje uzasadniające konieczność jego interwencji. I w świetle tego, co wydarzyło się potem w pokoju zabaw, uwaga sędzi okazała się nie tylko przecuciem.

Ten chłopiec skrywał sekret, który go przerastał.

Nie wystarczyłoby tysiąca sesji hipnozy, żeby go wybadać i zrozumieć, co tak naprawdę się stało, można więc było powiedzieć, że rola psychologa dziecięcego się wyczerpała. Po złożeniu podpisu na zaprzysiężonym oświadczeniu Gerber mógł wracać do domu. Nie będzie już musiał zajmować się tą sprawą i nigdy więcej nie zobaczy Nica. Po tym, co wydarzyło się tej nocy, ta myśl przynosiła mu ulgę.

A jednak nie mógł przestać zapisywać swoich wrażeń w notesie, który przeznaczył na ten przypadek.

Może dlatego, że podczas dopełniania wszelkich formalności przez otwarte drzwi gabinetów udało mu się wychwycić hipotezę, którą analizowali śledczy: że Nikolin pod jakimś pretekstem przywiódł matkę na opustoszały obszar, a potem specjalnie przebił oponę. Korzystając z sytuacji, zabił kobietę i pozbywszy się ciała, zagłębił się w las z zamiarem zatarcia swoich śladów.

Pomijając to, że pomysł, że dwunastoletnie dziecko mogło w ogóle coś takiego zaplanować, był absurdalny, śledczy nie widzieli też problemu w tym, czy chłopiec byłby w stanie przeżyć miesiącami sam w lesie. Wprawdzie były tam opuszczone rudery, w których mógł znaleźć schronienie, a jeśli chodzi o jedzenie, zawsze mógł od czasu do czasu zaryzykować wyjście z lasu, by zaopatrzyć się w pożywienie w okolicznych gospodarstwach albo wioskach, kradnąc lub w ostateczności grzebiąc w odpadach. Gerber nie był jednak do końca przekonany do tego scenariusza.

Nie mógł przestać myśleć o tym, że chłopiec był dobrze odżywiony i jak zauważyła też Baldi, nie wyglądał na zaniedbanego, poczynając od ubrania i higieny osobistej. Zapewne to również dałoby się jakoś wyjaśnić, mimo to Gerber był krytyczny wobec sposobu, w jaki śledczy próbowali czasem naginać fakty, byle tylko pasowały do wygodnej dla nich wersji.

Jedyną osobą, która nie chciała w nią uwierzyć, była hodowczyni koni. Gdy dowiedziała się, że znaleziony przez nią w lesie chłopiec zostanie umieszczony w areszcie dla nieletnich, nie musiała nawet słuchać wyjaśnień karabinierów, że dzieciak złożył zeznania. Bez tego wiedziała, w jaką stronę zmierza ta sprawa. Zaprotestowała i poprosiła o możliwość rozmowy z sędzią. Usłyszała tylko, że ma sobie iść.

Odchodząc, minęła ze spuszczoną głową Gerbera, który poczuł litość dla niej z powodu tego, jak została potraktowana.

Tymczasem oczekiwanie się przedłużało, więc powrócił wspomnieniem do pokoju zabaw. Analizując na nowo sesję i słowa chłopca, zdał sobie sprawę z niekonsekwencji, których nie był w stanie umieścić w logicznym schemacie.

Drobiazgi, ale im dłużej o nich myślał, tym bardziej upierał się, by zrozumieć ich znaczenie. Postanowił je zanotować.

Kiedy zapytałem, czy pamięta, jak się nazywa, Nikolin zaczął się wiercić.

Następnie wspomniał o jakimś Arnau.

Poza tym kwestia braku obcego akcentu: czy to możliwe, żeby dziecko nauczyło się tak dobrze włoskiego w cztery lata?

W końcu to dziwne zdanie:

„Najpierw trzy warunki, potem pytania”.

Gerber zdawał sobie sprawę, że jego spekulacje są niewiele warte, bo w gruncie rzeczy on też nie widział żadnej alternatywy wobec tego, że Nikolin – mimo młodego wieku – przyznał się do popełnienia potwornego czynu. Może powinien po prostu przestać wyobrazać sobie inne możliwe rozwiązania, bo były to tylko mizerne próby, by nie być zmuszonym do przyznania, że światem rządzi jakaś bezlitosna siła i dlatego również dzieci mogą się splamić niewyobrażalnymi zbrodniami. A uporczywe wyszukiwanie szczegółów wprowadzających w ruch spiralę myśli na pewno nie zmieni stanu rzeczy.

Było jednak jeszcze coś, co powodowało, że mechanizm logiczny się zacinał.

Oderwany guzik od koszuli i to, że miałem ze sobą igłę i nitkę w takim samym niebieskim kolorze, teraz wydają mi się przypadkowością aż nadto... przypadkową.

Kiedy to pisał, zdał sobie sprawę, że ta ostatnia uwaga wykracza poza ocenę chłopca, a on, jako konsultant sądowy, powinien wystrzegać się podobnych spostrzeżeń, nawet jeśli bezpośrednio go dotyczyły. Po raz kolejny jakby szukał prawdy alternatywnej wobec tej oficjalnej. A to było zadaniem śledczych i nie leżało w jego kompetencjach.

Około trzeciej nad ranem został w końcu wezwany przez karabiniera do biura w celu podpisania zaprzysiężonego oświadczenia zawierającego opinię biegłego. Przy dokumencie, w którym była mowa o winie chłopca, Pietro Gerber przez chwilę się wahał. Mimo że ze względu na młody wiek Nikolina nie można było go oskarżyć ani wytoczyć mu procesu, opinia eksperta mogła zaważyć na przyszłości chłopca. Gerber wielokrotnie znajdował się w podobnej sytuacji w sprawach młodocianych i zawsze chodziło o ogromną odpowiedzialność. Ale nigdy

wcześniej, jak w tym przypadku, złożenie podpisu pod dokumentem nie kosztowało go tyle wysiłku.

Kiedy dokonał formalności, nie miał ochoty przebywać dłużej w tym miejscu ani widzieć Anity Baldi. Wyobrażał sobie, że sędzia zajęta jest wypłatywaniem się z nowych komplikacji związanych ze sprawą. Za kilka godzin przewidziana była konferencja prasowa i Gerber dobrze wiedział, co się wydarzy.

Świat dostanie nowego potwora z Florencji, tym razem o wyglądzie dziecka.

Po początkowej wrzawie i zamieszaniu pojawi się reakcja mniej szlachetna: ciekawość. Rozpęta się chorobliwe polowanie na szczegóły i przerażenie wyparuje wraz z litością, zastąpione bardziej prozaiczną liturgią, złożoną z pogłosek i plotek. Pierwszą reakcją ludzi w obliczu zbrodni jest szukanie profilu oprawców w mediach społecznościowych. Dopiero w drugiej kolejności interesują się ofiarami. Tak jakby w normalności, jaką przyszyły potwór afiszuje się na Facebooku albo Instagramie, mógł się ukrywać jakiś ślad okrucieństwa albo szaleństwa.

A zło nie zawsze można wytłumaczyć.

Chciałby, żeby ci ludzie doświadczyli tego co on w pokoju zabaw, żeby byli tak samo przerażeni i zdumieni, zanim Nikolin na powrót stał się tylko dzieckiem. Bo było tak, jakby mieściły się w nim dwie istoty.

Niewinny dwunastolatek i zimny morderca.

Kiedy opuszczał sąd, zbiegając po marmurowych schodach, trzymał rękę w kieszeni i ścisnął czarny notes, w którym zapisał tylko dwie pierwsze strony. Reszta miała pozostać pusta, a notes trafi do jego archiwum, chroniony na zawsze tajemnicą zawodową, która nie pozwalała zdradzić jego zawartości ani go zniszczyć.

Usypiacz dzieci miał ochotę wrzucić go do pierwszego napotkanego kosza. Ale nie mógł.

Gdy znalazł się na ulicy, uderzył w niego silny powiew zimnego powietrza, który zdawał się wpychać go z powrotem do wnętrza budynku. Zanim Gerber ruszył dalej, otulił się mocniej płaszczem i stawiał czoło zawiei. Nad historycznym centrum panowała jakaś nierealna atmosfera, wilgoć obciążała powietrze.

Odnosił wrażenie, że pada, choć nie było deszczu.

Ulice były jeszcze opustoszałe. Słyszał tylko uderzenia dzwonu Lwa, połączonego z zegarem na wieży Arnolfa, wznoszącej się nad Palazzo Vecchio. Gerber uznał, że należałoby pójść się przespać, również dlatego, że pierwszą sesję miał o dziewiątej i potrzebował przed nią odpocząć. Zwłaszcza po takiej nocy jak ta.

Ruszył w stronę domu, gdy usłyszał wyraźnie, że ktoś za nim idzie. Poczł niepokój i przyspieszył kroku. Nieznajomy za nim zrobił to samo. Ta równoczesność go zaalarmowała. W innej sytuacji nie zwróciłby na to większej uwagi. Ale podstępna pamięć przypomniała mu o otwierających się i zamykających drzwiach, a także o zapaleniu się czerwonej lampki sygnalizującej przyście pacjentów – choć w przedpokoju nikogo nie było – oraz o znalezieniu zaraz po tym igły z nitką wbitej w jabłko.

Pietro Gerber znał moc sugestii i dobrze wiedział, że pozostawienie umysłowi swobody w wyobrażaniu sobie wszystkiego, co chce, oznacza utratę kontroli nad własnymi czynami. Z zamiarem zdemaskowania swojej bujnej wyobraźni przystanął i gwałtownie się odwrócił, przyjmując wyczekującą postawę.

Pewnie zobaczy idącą za nim osobę i uzna się za głupca. Śledzący go cień wydał się zmylony jego nagłym obrotem i zwolnił, co zaskoczyło Gerbera.

Nastąpiła dłuższa chwila absolutnej ciszy. Po czym ten człowiek, ktokolwiek to był, znów ruszył miarowym krokiem.

10

– Nie chciałam pana przestraszyć – przeprosiła hodowczyni koni. Zdjęła nawet kapelusz, żeby pokazać twarz.

Gerber pomyślał, że musiała zobaczyć, jak zbladł, bo nie potrafił sobie inaczej wytłumaczyć jej usprawiedliwienia.

– Przykro mi, ale nic nie mogę pani powiedzieć, obowiązuje mnie tajemnica zawodowa – uprzedził ją i żeby zostać lepiej zrozumianym, ruszył dalej.

– Ten chłopiec nie mruga.

Nie zapomniał o tej anomalii, ale stwierdzenie kobiety odświeżyło mu pamięć. Odwrócił się do niej.

– Nie chcę zadawać panu pytań – powiedziała ośmielona, bo poświęcił jej w końcu uwagę. – Chodzi tylko o to, że nie mogę tego zatrzymać wyłącznie dla siebie, muszę o tym komuś powiedzieć. – Jej ton był niemal błagalny.

Nie miał pojęcia, co kobieta ma na myśli.

– Nie rozumiem. Czy nie powiedziała już pani wszystkiego karabinierom?

– Odpowiedziałam na wszystkie ich pytania – odparła, jakby się broniła. Ale najwyraźniej było coś jeszcze.

– Jeśli opuściła pani coś istotnego, powinna pani natychmiast do nich wrócić i uzupełnić swoje zeznania.

– Pytałam o sędziego, ale nie chciała mnie przyjąć...

Gerber westchnął.

– Naraża się pani na karę za utrudnianie śledztwa, zdaje sobie pani sprawę?

– Nie sędzę, by to, co mam do powiedzenia, mogło za bardzo coś zmienić, a może tak... Nie wiem...

O co jej chodziło?

– Chodzi o coś, co się wydarzyło, ale nie wiem, czy wydarzyło się naprawdę – wyznała. – Miały miejsce dziwne... zbiegi okoliczności... Właśnie dlatego nie mówiłam o tym wcześniej. Kiedy jednak zrozumiałam, że być może oskarżacie chłopca o to, że zrobił krzywdę matce, pomyślałam, że to prawdopodobnie jest ważne.

Przerwała, wciąż zakłopotana. Gerber postanowił jednak poświęcić jej kilka minut.

– Znam kawiarnię otwartą przez całą noc – powiedział. – Proszę pójść ze mną, wytłumaczy mi pani wszystko.

Wkrótce siedzieli przy jedynym stoliku w lokalu: małej palarni kawy z serwisem na wynos, usytuowanej w niewielkiej dziupli dwa kroki od bazyliki Santa Croce, gdzie od prawie pięćdziesięciu lat podawano najlepsze espresso we Florencji.

Mając za akompaniament buchanie pary z miedzianego ekspresu, w otoczeniu zapachu ciepłych rogalików dostarczonych właśnie przez posłańca z piekarni, Gerber próbował zrozumieć, o co tak naprawdę chodzi starszej kobiecie.

– Proszę mi opowiedzieć wszystko od początku i proszę się niczego nie obawiać... – zachęcił ją.

– Zacznę od tego, że już od kilku tygodni budzę się każdej nocy o tej samej godzinie: o trzeciej czterdzieści siedem – oznajmiła kobieta i podniosła do ust filiżankę z gorącym napojem, trzymając ją w obu dłoniach, tak że tworzyły jakby małe gniazdo. – Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale odwracam się do budzika i pokazuje zawsze tę samą godzinę.

Psycholog znał to zjawisko.

– Cierpi pani na bezsenność?

– Tak – przyznała.

– Więc to normalne. To stworzona przez mózg iluzja, następstwo fazy REM, nazywane też „snem świadomym”. Myśli pani, że budzi się zawsze o tej samej godzinie, ale w rzeczywistości, gdy patrzy pani na budzik, wciąż jeszcze pani śni.

Hodowczyni nie wydawała się jednak do końca przekonana.

– Jest coś jeszcze – dodała. – Skoro jestem zmuszona tak wcześnie wstawać, korzystam z tego codziennie i zabieram psy do lasu, gdzie swego czasu chodziłam z mężem polować, zanim wnuki zaczęły na mnie patrzeć jak na morderczynię. – Uznała, że powinna to uściślić. – Chodzę zawsze w to samo miejsce, do Valle dell’Inferno.

Gerber nie bardzo rozumiał.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Za każdym razem, gdy wsiadam do samochodu, mówię sobie, że pojedę gdzie indziej, a potem trafiam zawsze tam.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Wydawało mu się to absurdalne, a nie chciał, by kobieta poczuła się obrażona jego komentarzem, więc pozwolił jej po prostu mówić dalej.

– Moje dwa setery biegają zawsze jak oszalone przez pół godziny, po czym zabieram je z powrotem do chałupy.

Gerber wiedział, że spotkanie z Nikolinem poprzedniego ranka odbyło się w takich właśnie okolicznościach.

– To pani psy znalazły chłopca.

– Tak, ale jest coś jeszcze... – Po odstawieniu filizanki kobieta wyłamywała palce pokryte odciskami od skóry końskiej uprzęży, ogarnięta jakimś dziwnym niepokojem. – Zawsze parkuję swoją ładę na polanie, od której odchodzi ścieżka. Wczoraj rano też tam byłam, jeszcze przed wschodem słońca, dlatego prawie nic nie było widać, ale...

– Ale? – ponaglił ją Gerber, nagle zaciekawiony.

– Odniosłam wrażenie, że nie jestem sama.

– W jakim sensie?

– Tak jakbym wiedziała, że chłopiec jest w lesie... na chwilę przed tym, jak psy zaczęły szczekać.

– Pewnie usłyszała pani jakiś hałas albo zauważyła coś dziwnego.

Pokręciła głową, przygryzając wargę. Była wystraszona i zakłopotana.

Gerber nie chciał jej upokorzyć, mówiąc, że może była to tylko sugestia; jego zdaniem chodziło o fantazje starszej osoby wciąż wstrząśniętej tym, co się wydarzyło. W pewnym sensie te jej rojenia okazały się użyteczne, bo zmusiły go do przyznania, że on też odniósł dziwne wrażenie, gdy próbował nakłonić Nikolina do mówienia.

Odczucie obecności jakiejś istoty.

Jakby ktoś jeszcze był z nimi w pokoju zabaw. Lecz nie umiałby tego wyjaśnić, nawet sobie. A do tego jeszcze ta historia z intruzem, który wkradł się do jego gabinetu, żeby wbić igłę w jabłko. Teraz Gerber nie był już taki pewny, że zamiarem tego kogoś było wyrządzenie komuś krzywdy.

Człowiek, który to zrobił, chciał po prostu, bym zauważył igłę i zabrał ją ze sobą, pomyślał nagle.

Bo dopiero po przyszcyciu guzika zwisającego z mankietu koszuli chłopiec zaczął mówić. Ale może blokada dwunastolatka nie miała związku z zaburzeniami obsesyjno-kompulsyjnymi. Teraz, słuchając bezładnej opowieści hodowczynie koni, Gerber zdał sobie sprawę, że to przyszcycie guzika było czymś, co... aktywowało chłopca.

– Czy Nico coś zrobił, kiedy był z panią? – zapytał.

– Nie, poza tym, że poszedł za mną w milczeniu do domu, a potem zjadł chleb i wypił mleko przy piecyku... Ale jeśli mam powiedzieć panu prawdę, to przez cały ten czas wydawał mi się jakby zagubiony.

Zastanowił się nad tym: „zagubiony” było najwłaściwszym słowem dla opisanego stanu chłopca.

– Czy coś pani mówi: „Najpierw trzy warunki, potem pytania”? – zapytał, naruszając częściowo obowiązek zachowania poufności. Ale chwilowo nie zamierzał specjalnie bawić się w subtelności; musiał zrozumieć, dlaczego te słowa brzmiały jego zdaniem fałszywie w ustach Nica.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nico tak powiedział? – rzuciła zdziwiona.

Gerber nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Nie mógł jej wyjawic, że chłopiec oskarżył się o to, co stało się jego matce, postanowił jednak dalej dążyć. Przypomniał sobie zdanie pozornie wyrwane z kontekstu i pozbawione sensu, które Nikolin zniecka wypowiedział.

– „Arnau zrozumiał przed innymi, gdzie ona skończy, ale nic już nie mógł zrobić” – powtórzył.

Stara kobieta wyprostowała się i zamarła. Najwyraźniej wiedziała coś, o czym Gerber nie miał pojęcia.

– Słyszała już pani to nazwisko? Wie pani, kim jest Arnau? – naciskał.

Hodowczyni próbowała uporządkować myśli, jakby nie wiedziała, od czego zacząć.

– Wszyscy we Florencji wiedzą, kim jest Arnau – powiedziała w końcu.

11

Większość ludzi nie wyobraża sobie, że co najmniej dziesięć procent życia spędza w ciemności. Nawet za dnia. Jeśli bowiem zsumować wszystkie razy, kiedy człowiek, mrugając, opuszcza powieki, otrzymuje się dokładnie taki wynik.

Jesteśmy pogrążeni w ciemności przez co najmniej cztery sekundy na minutę, przypomniał sobie Pietro Gerber. A wszystko to dzieje się bez udziału naszej świadomości, również kiedy wykonujemy czynność wymagającą maksymalnej koncentracji, jak użycie naostrzonego noża czy prowadzenie samochodu.

Wiadomo, że ten prosty automatyzm służy nawilżeniu oka i uwolnieniu go od zanieczyszczeń, na przykład pyłu w powietrzu. Ale niewiele osób wie, że spełnia on też bardzo ważną funkcję umożliwiającą „odpoczynek” mózgu. Bo w tym ułamku sekundy między opuszczeniem i podniesieniem powiek mózg robi sobie przerwę, co nie ma żadnego wpływu na wykonywane przez niego zadania, a więc nie kaleczymy się i nie zderzamy z innym autem, ponieważ w pewien sposób nasz umysł „wciąż widzi”. Przerwanie lub opóźnienie tego elementarnego procesu poważnie zmienia postrzeganie czasu i przestrzeni. Jedną z ulubionych tortur florenckich inkwizytorów w średniowieczu było „oślepienie” polegające na odcinaniu heretykom powiek, by zmusić ich do przyznania się. Owszem, po krótkim czasie zaczęli widzieć demony i złe duchy, ale ich herezja polegała na utracie zdolności rozpoznawania otaczającego ich świata.

...wydawał mi się jakby zagubiony.

Słowa hodowczyni koni dobrze opisywały dezorientację Nikolina. Dlatego spowolniona reakcja powiek chłopca powinna włączyć dzwonek alarmowy w głowie Gerbera. Teraz żywił poważne podejrzenie, że anomalia nie zależała od Nica, a była uwarunkowana czymś innym. By odkryć czym, musiał zrobić wszystko, co tylko możliwe.

W tym celu wrócił natychmiast do gabinetu i siedział teraz przed ekranem komputera. Właśnie wystukał *Arnau* na YouTube.

Starsza pani może trochę przesadziła, twierdząc, że wszyscy we Florencji go znają. On na przykład nigdy o nim nie słyszał, podobnie jak Baldi. Sądząc jednak po liczbie filmików i komentarzy pojawiających się na ekranie, epizod, z powodu którego Arnau był we Florencji pamiętany, rzeczywiście narobił szumu.

Zdarzyło się to przed dwudziestu laty.

Drugiego listopada 1999 roku na stadionie Franchi rozgrywany był mecz Ligi Mistrzów między Fiorentiną a Barceloną. Pośród gwiazd futbolu zebranych na boisku był środkowy pomocnik, który do tamtej pory miał za sobą przyzwoitą, ale skromną karierę. Nazywał się Mauro Bressan i do trzynastej minuty pierwszej połowy nikt sobie nie wyobrażał, że mógłby wejść do historii Florencji, on również.

Oglądając film uwieczniający jego dokonanie i czytając podpisy, Gerber nie mógł ukryć zdziwienia.

Na nagraniu Bressan znajduje się wyraźnie poza polem przeciwnika, gdy widzi lecącą w jego stronę wysoką piłkę. Stoi plecami do bramki i musi ją tylko przyjąć, a potem spróbować podać do któregoś z bardziej utalentowanych od niego kolegów. Przynajmniej to powinien mu podpowiedzieć instynkt aktora drugoplanowego.

Tymczasem oto przebłysk szaleństwa... albo geniuszu.

Bressan wyskakuje w górę i uderza piłkę z przewrotki. Piłka przyjmuje jakąś niemożliwą trajektorię i leci prosto do siatki za plecami bramkarza Barcelony, Francesca Arnaua. Jak słusznie powiedział Nikolin, Arnau był pierwszym, który

wyczuł, że piłka wylądowała w jego bramce – zanim dotarło to do jego kolegów z drużyny, do publiczności i na pewno też do samego Maura Bressana. Mógł jednak tylko przyglądać się bezradnie balistycznemu arcydziełu, jakie dokonywało się przed jego oczami.

Gerber obejrzał kilkakrotnie nagranie, próbując zrozumieć, co to wydarzenie sportowe ma wspólnego z historią Nica i jego matki. Przyszło mu do głowy tylko to, że w 1999 roku chłopca nie było jeszcze na świecie.

Skąd więc to wspomnienie?

Może znał ten epizod, bo jest kibicem Fiorentiny, ale ten kierunek myślenia wydawał się zbyt naciągany. Albańskie dziecko, które przyjechało do Toskanii dopiero cztery lata temu, nie wie takich rzeczy, pomyślał Gerber.

Był pewny, że informacja przeniknęła do umysłu chłopca w jakiś inny sposób.

Naszło go straszliwe podejrzenie, ale też poczuł niekontrolowany strach. Nie wtrącaj się, podszeptał mu jakiś głos. Twoje zadanie się skończyło. Ale wiedział zbyt dobrze, że go nie posłucha, nawet jeśli przyjdzie mu za to zapłacić.

Nie mruga.

Dopisał tę uwagę w notesie, bo był przekonany o istnieniu związku między fizyczną anomalią, jaką dostrzegł u chłopca, i meczem piłkarskim sprzed ponad dwudziestu lat. Istota, którą wyczuł podczas rozmowy z Nikolinem, nie była tylko wytworem jego wyobraźni. Nie potrafiłby tego nazwać i wcześniej powątpiewałby w takie rzeczy. Ale po tamtej nocy nie był już pewien, w co tak naprawdę wierzy.

Wyglądało to tak, jakby chłopiec był opętany.

12

– Dlaczego? – zapytała oschle przez telefon Baldi.

Na połączenie z nią musiał czekać dwadzieścia minut i obawiał się odmowy tylko dlatego, że przeszkodził jej w krytycznym momencie, kiedy jej biuro szykowało się do podania wiadomości o nieletnim matkobójcy.

– Żeby nie pozostało nic niewyjaśnionego. – Była to odpowiedź częściowo wiarygodna, którą próbował udobruchać sędzie i jednocześnie uzasadnić prośbę o ponowne widzenie się z Nikolinem. Szedł już pieszo w stronę zakładu, w którym umieszczono chłopca.

– Czy nie ma ryzyka, że wywołamy zamęt w głowie tego dziecka?

Zrozumiał, że Anita Baldi chce mu zaufać. Obudził w niej przebłysk wątpliwości, czy oskarżenie ma rzeczywiście aż tak solidne podstawy. Może naprawdę tak było, ale chwilowo nie miał ochoty naświetlać jej swojego podejrzenia. Również dlatego, że trudno byłoby jej uwierzyć w opętanie.

W umyśle Nica kryło się coś innego. Coś, czego Gerber nie zdołał wydobyć na powierzchnię podczas sesji hipnozy. A może to coś się ujawniło, a on nie potrafił tego zinterpretować?

Powiedział sędzi o tym, że chłopiec nie mruga, i dodał:

– Muszę tylko przeprowadzić test jego stanu świadomości. Jaką szkodę mogę wyrządzić, jeśli spróbuję jeszcze chwilę z nim porozmawiać? W gruncie rzeczy macie już w raporcie to, czego potrzebujecie. – Mieli już przyznanie się do winy, które prawdopodobnie zostanie wkrótce potwierdzone po odnalezieniu zwłok.

Baldi nie miała więc się czego obawiać. – Nie zamierzam poddawać go hipnozie – zapewnił, by ją uspokoić.

– Żadnej hipnozy?

– Żadnej hipnozy – obiecał, również dlatego, że był przekonany o jej zbędności.

– Zgoda – poddała się Baldi. – Uprzedzę, że się tam pojawisz, ale potem będziesz mi musiał wszystko zrelacjonować – zastrzegła.

Zakończyli połączenie, gdy dotarł już prawie do celu. Była dopiero siódma rano i obliczył, że w przypadku, gdyby się pomylił, zdąży wrócić do gabinetu na pierwszą tego dnia sesję.

W tej chwili bardziej niż czegokolwiek pragnął być w błędzie.

Nico przebywał w kamienicy położonej w niewielkiej odległości od bazyliki Santa Maria Novella i stacji kolejowej o tej samej nazwie. Anonimowy zakład był docelowym miejscem dla nieletnich, którym ze względu na młody wiek nie można było wytoczyć procesu i wydać wyroku skazującego. Mieli tam pozostać na czas nieokreślony, dopóki jakiś sędzia nie uzna, że są gotowi powrócić do normalnego życia w społeczeństwie. W oknach nie było krat, bo budynek podlegał ograniczeniom z powodu znaczenia architektonicznego. Pan B. mawiał zawsze, że we Florencji wszystko jest wzbogacane przez historię. Nawet więzienie dla dzieci podlegało tej regule. Były jednak dwa powody, dla których budowla ta nie powinna przypominać więzienia: żeby strzec przebywające tam dzieciaki, ale też chronić świat zewnętrzny przed wyobrażeniem, że w środku są młodociani zdolni do zabijania. Każdemu, kto pytał go, czy rzeczywiście istnieją takie miejsca, Gerber odpowiadał zawsze przecząco.

Bywał już tu w charakterze sądowego konsultanta. Dlatego wiedział, że niektórzy młodzi ludzie przebywający w zakładzie splamili się czynami, od których jeży się włos na głowie. Jeśli chodzi o „kryminalne zdolności”, te dzieciaki nie ustępowały niczym dorosłym, i tak samo było w kwestii bezwzględności. Mieli natomiast jedną przewagę: wiek był zwodniczą maską, dzięki której wielu z nich

mogło podejść swoje ofiary, stworzyć pozory bezpieczeństwa, zanim zaatakowali z okrucieństwem.

Gerber został przyjęty przez pracownicę socjalną około czterdziestki, w okularach i z ciemnymi włosami zebranymi w koński ogon. Została już wcześniej o wszystkim poinformowana przez Anitę Baldi.

– Nikolin został przydzielony mnie – oznajmiła uprzejmym tonem.

Jeden nieletni, jeden pracownik – taka jest zasada. Głównym zadaniem pracowników socjalnych jest monitorowanie zachowań podopiecznych, ze zwróceniem szczególnej uwagi na agresywność i nagłe zmiany nastroju. Te oceny mają wpływ na więzienne losy nieletnich, jednak podstawowym celem jest odpowiedź na pytanie, czy jako dorośli ich podopieczni mogą popełniać te same przestępstwa.

Gdy szli przez korytarze, kobieta uznała za stosowne powiadomić go, że przebywający w ośrodku chłopcy już nie śpią i jedzą śniadanie, by punktualnie rozpocząć zajęcia szkolne, przewidziane jak zawsze na ósmą. Nikolin był z nich zwolniony, ponieważ to jego pierwszy dzień.

– Przyprawdzili go tu parę godzin temu, więc specjalnie nie odpoczął – powiedziała, gdy mijali kolejne zabezpieczone przejścia, nadzorowane przez strażników. – Jest najmłodszy i dlatego umieściliśmy go w jednoosobowym pokoju. Potem ocenimy, czy przenieść go do innych chłopców.

Pokój, jak określiła go kobieta, w rzeczywistości był najzwyczajniej celą. Gerber dostrzegł Nikolina przez wizjer zamkniętych drzwi. Siedział na brzegu łóżka, z pochylonymi plecami i dłońmi ściśniętymi między udami. Nie miał już na sobie ubrań, w których znaleziono go w lesie; jak pozostali pensjonariusze, miał obowiązek nosić biały kombinezon. Patrzył w górę, w stronę jedyne okienka wpuszczającego pierwsze poranne światło.

– Jak tam? – zapytał go Gerber. – Pamiętasz mnie? – Ale wiedział już, że nie dostanie odpowiedzi.

– Siedzi tak już od dłuższego czasu – wtrąciła kobieta. – Nic nie mówi i nie robi, ale jest spokojny.

Gerber usiadł obok chłopca i przesunął dłonią po jego blond włosach, głaszcząc go czule po głowie.

– Cieszysz się, że przyszedłem cię odwiedzić?

Nikolin nie przesunął nawet wzroku, był jak katatonik.

– Oczywiście, że się cieszy – odpowiedziała za niego kobieta litościwym tonem, jakiego wielu dorosłych używa bez sensu wobec dzieci.

Ale Gerber nie był pewny, czy Nico jest szczęśliwy na jego widok. On sam nie był. Wciąż miał wątpliwości, czy wie, z jak dziwnym zjawiskiem ma do czynienia, i czy Nikolin jest tak niewinny, na jakiego chce wyglądać. Grzecznościowe pytania i przyjacielskie zachowanie miały tylko służyć jako inscenizacja dla pracownicy socjalnej i dzięki nim od razu się oddaliła.

– Wrócę za pół godziny – oświadczyła wesoło. – I może przyniosę wam coś ze śniadania.

– Cudownie – skomentował Gerber. Ale gdy tylko odeszła, jego uśmiech zgasł.

Obiecał Baldi, że nie zahipnotyzuje Nica, bo był przekonany, że nie będzie konieczności powtórzenia rytuału z metronomem i odliczaniem. Nie tracąc czasu, wyjął z kieszeni smartfon. Z powodu kontroli nie mógłby wnieść do budynku igły. Był jednak przekonany, że ktoś inny przewidział tę przeszkodę i zaoferował mu rozwiązanie.

Jeśli jego przypuszczenia były słuszne, wiedział, w jaki sposób aktywować chłopca po raz drugi.

Poszukał w telefonie filmiku z golem Bressana podczas meczu Fiorentina–Barcelona, położył smartfon przed Nikolinem i włączył odtwarzanie.

Gdy pełen nadziei czekał, aż wywoła to efekt, czuł silny niepokój. Pomyślał o Lavinii i o tym, że dziewczynka nie potrafi otworzyć w sobie zatrzaśniętych drzwi. Jak mógł się spodziewać, że jej się to uda, skoro sam nie był w stanie zrobić w tym momencie tego samego? Tyle że za progiem, który miał przestąpić Pietro

Gerber, otwierała się otchłań nieznanego. A on nie wiedział, czy lepiej zrobi, odwołując się do Boga, czy do własnej wiedzy.

Nagranie dobiegało końca i zauważył, że Nico już opuszcza ręce i ramiona. Był to sygnał. Drzwi jego umysłu otworzyły się, by wpuścić tam hipnotyzera.

Gerber odłożył komórkę.

– Jak widzisz, odkryłem, kim jest Arnau – zwrócił się do chłopca. – I być może zrozumiałem, dlaczego poczułeś potrzebę, by podać mi tę informację... Myślę, że był to rodzaj testu, że chciałeś poddać mnie próbie. Mylę się?

– Nie mylisz się – odparł Nico, nie poruszając się.

– Posłużyłeś się epizodem z przeszłości, by dać mi do zrozumienia, że nie rozmawiam z dwunastoletnim dzieckiem, lecz z dorosłym... Bo w tym momencie nie jesteś Nikolinem, prawda?

Chłopiec milczał i ta cisza przyprawiała Gerbera o dreszcze.

Potem, jak za pierwszym razem, gdy się spotkali, pacjent oznajmił jednostajnym tonem:

– Najpierw trzy warunki, potem pytania.

Gerber, choć przerażony, próbował zachować spokój.

– Zgoda, posłuchajmy tych warunków...

Pacjent zaczął mechanicznie wyliczać:

– Po pierwsze, nikomu o mnie nie powiesz. Po drugie, wysłuchasz tego, co mam do powiedzenia... aż do końca. – Zaakcentował trzy ostatnie słowa.

Gerber rozważył różne implikacje tych żądań. Nie miał możliwości spotkania się z Nikolinem, kiedy tylko chciał, ani zachowania całej sprawy w tajemnicy. Nie był pewny, czy może zawrzeć podobną umowę, mimo to zapytał:

– Jaki jest trzeci warunek?

– Masz mnie nie szukać na zewnątrz.

To zdanie potwierdziło teorię, którą zakładał od samego początku: że za pośrednictwem chłopca przemawiał człowiek, który go porwał i przetrzymywał

przez osiem długich miesięcy. Kiedy więc w pokoju zabaw Nico powiedział: „To byłem ja”, wyznawał to ten drugi.

– Co się stało z matką Nikolina? – zaryzykował pytanie Gerber.

Nie doczekał się jednak żadnej reakcji, jakby chłopiec nie został zaprogramowany do udzielania pewnych odpowiedzi.

Psycholog był coraz bardziej niespokojny.

– Jeśli zgodzę się na twoje warunki, co dostanę w zamian?

Żadnej odpowiedzi.

– To ty przyszedłeś do mojego gabinetu wczoraj po południu i zostawiłeś igłę w jabłku.

Nie otrzymał potwierdzenia, ale był przekonany, że tak się to właśnie odbyło. Wizyta miała podwójny cel: dostarczenie mu narzędzia do aktywowania opowieści chłopca i uświadomienie, że ten ktoś jest blisko, o wiele bliżej, niż Gerber mógł przypuszczać.

– Jeśli jeszcze raz zbliżysz się do moich pacjentów, będziesz miał ze mną do czynienia – zagroził, wiedząc, że jest to całkowicie bezużyteczne, bo ten, kto mówi do niego przez chłopca, nie będzie mógł go usłyszeć.

Nikolin był rodzajem dyktafonu, który odtwarza to, co zostało zapisane w jego umyśle jak na taśmie magnetofonowej. Oto dlaczego w jego wymowie nie słyhać obcego akcentu.

I właśnie dlatego Gerber zdał sobie sprawę, że w tym momencie może obiecać mu wszystko: każda umowa pomoże mu tylko zyskać cenny czas, by lepiej zrozumieć, co się dzieje, i ustalić, czy istnieją jakieś zagrożenia.

– Zgoda – powiedział. – Zrobię to, o co prosisz.

Chłopiec nie poruszył się i wciąż oddychał regularnie, falując w swoim stanie spokoju niczym czerwona rybka w kryształowym flakonie.

Gerber miał jeszcze jedno pytanie, ale obawiał się tego, co mógłby tym razem usłyszeć. Nie miał jednak wyboru, musiał je zadać.

– Kim jesteś? – ośmielił się w końcu.

Słaby uśmiech.

– Wiesz, kim jestem...

Tak, to prawda: wiedział.

– Jesteś hipnotyzerem.

13

Pietro Gerber nie spodziewał się, że wróci tak szybko do przygnębiającego korytarza sądu dla nieletnich, ale przerwał sesję z Nikolinem, by zdać relację Anicie Baldi. Obiecał jej to zresztą. Sędzia była jednak chwilowo zajęta, bo odbywała się konferencja prasowa właśnie w tej sprawie, musiał więc poczekać, aż go przyjmie.

– Nie rozumiem, o czym mówisz. Czy możemy porozmawiać później? – Z powodu grubych murów w starym budynku był słaby zasięg. Dlatego Gerber chodził nerwowo tam i z powrotem, usiłując znaleźć odpowiedni punkt.

– Nie, musimy rozwiązać tę kwestię teraz – odparła stanowczo Silvia.

Była żona wybrała najmniej właściwy moment, by do niego zadzwonić, ale Gerber postanowił pozwolić jej się wyładować. Tym bardziej że wiedział już, o co chodzi. Podczas gdy sygnał pojawiał się i znikał, myślał o tym, w jaki sposób przygotować rozmowę z Baldi. Nie będzie łatwo podsumować to, co odkrył, i przede wszystkim przekazać to tak, by brzmiało wiarygodnie dla laika. Przyszło mu do głowy wyjaśnienie, więc trzymając komórkę między uchem a ramieniem, wyciągnął wieczne pióro i spróbował zanotować coś w czarnym notesie.

Nikolin wydaje się niewzruszony, bo jego świadomość znajduje się na poziomie zawieszenia, w czymś w rodzaju stałego transu. Tak jakby stan hipnozy, w jaki został wprowadzony przez porywacza, był permanentny.

Wierzył, że będzie mógł go wyswobodzić, ale człowiek, który zrobił to chłopcu, zasługiwał na karę. Dlatego Gerber miał w nosie trzy warunki postawione przez jakiegoś pomyleńca. A jeśli igła wbita w jabłko miała go nastraszyć, ten typ grubo się mylił: Gerber nie pozwolił na siebie wpłynąć.

– Nigdy się nie odzywasz – wyrzucała mu Silvia. Jej głos wyłaniał się od czasu do czasu, a potem znów zanikał. – Gdybym do ciebie nie pisała, nie wiedziałbyś nawet, jak czuje się twój syn.

Stał mu przed oczami obraz żółtych tulipanów, które kupił dla niej poprzedniego wieczoru, a które teraz gniły w śmieciach. Chciałby jej powiedzieć, że nie odzywa się, bo w jego głowie ona i Marco są cały czas w ich domu we Florencji, i że codziennie jest zmuszony wykonywać ćwiczenie oddalania się, by pozbyć się myśli, że w jego życiu już ich nie ma. Chciałby rzucić jej w twarz, że wszystko, co mu zostało, to przeklęta kasetka zawierająca ledwie czterdzieści minut bolesnych wspomnień, której używał każdego wieczoru jako odtrutki na przeszłość, tak jak narkoman stosuje metadon. Ale w końcu nic nie powiedział i pozwolił, by Silvia dalej wyliczała wszystkie jego zaniedbania jako byłego męża i ojca.

Tymczasem w jego głowie kłębiło się tysiąc innych myśli.

Powinien wyjaśnić Baldi, że teoria dobrego samarytanina, to znaczy trzeciego aktora pojawiającego się w scenie zniknięcia matki i syna, nie jest całkowicie bezpodstawna. Ale nie chodziło o przejeżdżającego kierowcę ani tym bardziej o dobroczyńcę. Bo w pokoju zabaw to tajemniczy hipnotyzer oskarżył się głosem Nikolina o przebicie opony.

„To byłem ja”, powtórzono kilkakrotnie, nasuwało przypuszczenie, że wszystko zostało starannie zaplanowane.

Być może nieznamy zwabił kobietę i chłopca na leśną drogę. A może często tam jeździli i z tego skorzystał. Przebita opona i odludne miejsce okazały się doskonałe, by mnożyć fałszywe tropy dla śledczych.

Jedną rzecz była pewna: sprawca wybrał ich nieprzypadkowo.

Dwoje wykolejenców bez stałego miejsca zamieszkania, obcokrajowcy. Nikt nie wysiłałby się specjalnie, żeby ich szukać. Ale porywacz potrzebował tylko dziecka, pomyślał. W jego planie matka była zbędna i mogła zostać wyeliminowana. A to czyniło go zabójcą – Gerber nie powinien o tym zapominać.

– A poza tym, jeśli pozwolisz, to ułożyłam sobie życie na nowo.

Silvia nagle odzyskała jego uwagę.

Te wypowiedziane w tonie zarzutu słowa były całkowicie nieuzasadnione.

– Nigdy nic nie mówiłem na temat twojego nowego partnera – odparował.

– To nie jest tylko partner – sprecyzowała rozdrażniona. – To mój narzeczony.

Po czym jej głos znów zniknął, a Gerber modlił się o jak najszybsze przerwanie połączenia, żeby mógł wyłączyć telefon. Słowo „wyłączyć” znów nakierowało go na Nikolina, bo właśnie to przydarzyło się chłopcu. Porywacz starannie wybrał nieprzystosowane dziecko, by móc nim dowolnie manipulować. Gerber pomyślał o różnych metodach, jakie mógł zastosować, by wejść do jego głowy. Dobrze je znał. Stanowiły część praktyki przymusowej indoktrynacji, zwanej potocznie „praniem mózgu”.

Pierwsza faza to izolacja.

Jeśli chcesz, żeby ktoś uwierzył w coś, co pozostaje w sprzeczności z jego doświadczeniem albo na przykład z wychowaniem odebrany w rodzinie, musisz odseparować tę osobę od świata i trzymać z dala od tego, co zna. Było to typowe dla sekt millenarystycznych, które w ten sposób zapewniały sobie, że ich akolici byli całkowicie pochłonięci nauką zasad religijnych.

Więzienie chłopca musiało się znajdować w odludnym miejscu, uznał Gerber i postanowił, że będzie to pierwsza sugestia dla Baldi i karabinierów: by rozpocząć polowanie na porywacza.

Druga faza to kontrola.

Polega na niedopuszczeniu, żeby osobnik, któremu chcemy wyprać mózg, wszedł w kontakt z ideami stojącymi w sprzeczności z poglądami, które chce mu

się wpoić. Oczywiście żadnych telefonów, telewizji czy internetu. Przede wszystkim jednak żadnych kontaktów z innymi ludźmi.

Zrobił wszystko sam, pomyślał Gerber. Hipnotyzer Nica nie ma współników.

Trzecia faza to niepewność.

Wmówić osobnikowi, że świat zewnętrzny go nie potrzebuje, odrzuca albo że wręcz wydarzyła się jakaś katastrofa, ludobójstwo. Wielu manipulatorów potrafi przekonać swoje ofiary, że są ostatnimi ludźmi na Ziemi.

I jeszcze czwarta faza: powtarzanie.

Nieustannie powtarzać jakieś pojęcie, dopóki nie zakorzeni się albo utrwali jako forma obsesji. W ten sposób za podanie w wątpliwość albo nawet zmodyfikowanie przyjętej prostej prawdy ofiara płaci bólem fizycznym i zagubieniem. Chodzi o tak zwane bezrefleksyjne posłuszeństwo, którego rezultatem jest niewolnicze działanie oczyszczone z wszelkiej możliwości krytyki. Tak jak mechaniczne relacjonowanie faktów przytoczonych przez kogoś innego, właśnie jak w przypadku Nikolina.

W końcu następuje faza emocjonalnej reedukacji czy też „nowej matki”, kiedy manipulator czyni ofiarę całkowicie od siebie zależną, jak w związku między rodzicem a dzieckiem.

Psychologiczne oswobodzenie Nica będzie więc dla Gerbera skomplikowanym zadaniem. I powinien powiedzieć to Baldi, gdy tylko zostanie przez nią przyjęty.

Nadzwyczajne, a jednocześnie najbardziej niepokojące jest jednak to, że dla uzyskania podobnego rezultatu nie są potrzebne przymus albo przemoc. Wystarczą odpowiednie warunki, by poskromić osobnika, oraz odpowiednio dużo czasu.

Osiem miesięcy to idealny okres, uznał Gerber. Pacjent staje się królikiem doświadczalnym.

Naturalnie konieczną przesłanką jest to, by osoba próbująca zawładnąć czyjąś psychiką posiadała kompetencje. Dlatego Gerber obawiał się, że ich przeciwnik – poza tym, że nie ma żadnych skrupułów – jest ekspertem.

Istnieje nazwa dla tych, którzy posługują się inwazyjnymi technikami psychologicznymi, nie zważając na zdrowie czy też dobrostan osobnika poddawanego hipnozie.

Fabularze.

– Naprawdę cię nie rozumiem – usłyszał w telefonie, gdy zbliżył się do wielkiego okna. Znalazł punkt, w którym zasięg był niezły, ale nie miał pewności, czy to dobrze. Silvia kontynuowała: – Jeśli chcemy zachować uczciwe stosunki, musimy się nauczyć wzajemnego szacunku. A ty nie możesz postępować, jak ci się podoba.

– Ale ja nie postępuję, jak mi się podoba – zaprotestował.

– Więc dlaczego wciąż się tak zachowujesz?

O czym ona, do diabła, mówi? Do czego pije?

W tym momencie drzwi gabinetu Anity Baldi otworzyły się. Na Gerbera wypadł mały tłumek reporterów, kamerzystów telewizyjnych i fotografów wychodzących z konferencji prasowej. Po chwili w progu pojawiła się sędzia.

– Wybacz, że kazałam ci czekać, Pietro. Wejź, ale od razu mówię, że bardzo się spieszę – powiedziała, zapraszając go do środka.

Dał jej jednak znak, że potrzebuje jeszcze chwili.

– Spróbuj mówić jaśniej, proszę – ponaglił łagodnie Silvię, starając się bardziej jej nie rozzłościć. Naprawdę nie rozumiał...

– Przestań, przecież wiesz, o czym mówię – odparła oskarżycielsko. – Nasz syn jest zdezorientowany, mój narzeczony też uważa, że to było niestosowne.

– Ale ja nic nie zrobiłem – bronił się. Lecz nagle zrozumiał, że nie zadzwoniła, by jak zwykle wyładować gniew. Był jakiś konkretny powód. – Nie będę dalej wysłuchiwał twoich insynuacji. – Udał oburzenie, by skłonić ją do mówienia, a jednocześnie jej nie wystraszyć.

– Kwiaty – rzuciła oschle.

Gerber zeszywniał.

– Jakie kwiaty?

– Żółte tulipany, które przysłałeś mi dziś rano.

14

Jednym ze skutecznych sposobów na przetrwanie dobrego małżeństwa jest wiedzieć o czymś, czego inni nie wiedzą. Silvia zawsze to powtarzała. Jedną z jej pasji dotyczyła kwiatów. Oficjalnie kochała orchidee. Ale tylko Pietro znał prawdę.

Żółte tulipany.

Nie był to jakiś wielki sekret, ale jeszcze jako narzeczeni postanowili wspólnie dochować tej maleńkiej tajemnicy. Przyrzekli też sobie, że cokolwiek by się działo, informacja ta pozostanie na zawsze między nimi.

Chodziło o to, by tylko Pietro mógł jej podarować ulubione kwiaty.

Właśnie dlatego, wchodząc do biura Baldi po rozmowie z byłą żoną, Gerber poczuł, że niespodziewanie zaschło mu w gardle. Z napięcia.

– No i jak poszło? – zapytała sędzia, otwierając okno, by przewietrzyć pokój. Chciała jak najszybciej poznać efekt spotkania z Nikolinem w zakładzie.

Ale Gerber stał jak skamieniały i nie był w stanie wydusić z siebie słowa; język miał obłożony, jakby zjadł garść piasku. Wiedział jednak, że musi coś wymyślić w ciągu kilku sekund, bo inaczej sędzia natychmiast zrozumie, że coś jest nie tak. Nie mógł jej wyznać prawdy.

Po pierwsze, nikomu o mnie nie powiesz.

– Trudno to wytłumaczyć – zaczął, ale tylko po to, by zyskać na czasie. Wciąż myślał o dyskretnej przestrodze, jaką skierował pod jego adresem fabularz, wysyłając Silvii żółte tulipany.

Romantyczny sekret ulubionych kwiatów jego żony.

Gdy zastanawiał się, co powiedzieć, ugiął się pod natłokiem przypuszczeń. Wie dużo o mnie i o mojej przeszłości, pomyślał z przerażeniem. Przeciwnik był w posiadaniu informacji, do których nikt nie powinien mieć dostępu, podczas gdy Gerber nic o nim nie wiedział.

– No więc? – ponagliła go Anita Baldi.

W tym momencie podmuch wiatru z otwartego okna oderwał kilka kartek z kolażu wiszącego za biurkiem sędzi. Rysunki podarowane przez dzieci fruwały po pokoju, a gdy opadły, zaczęła je zbierać z podłogi.

– Patrz, co za katastrofa – skomentowała.

To odwrócenie uwagi dało Gerberowi jeszcze trochę czasu, by obmyślić strategię. Ten człowiek jest niebezpieczny, pomyślał. Zabił już matkę Nikolina. Nie ma skrupułów, bo ma precyzyjny plan i zrobi wszystko, by wprowadzić go w życie.

– Postanowiłem wycofać swój podpis z nocnej ekspertyzy – oświadczył pospiesznie. – Nie potwierdzę zeznania złożonego przez dziecko w stanie hipnozy w pokoju zabaw – dodał, na wypadek gdyby nie było to jasne.

Jego słowa zaskoczyły Baldi. Kiedy podniosła się z podłogi z kartkami w dłoniach, na jej twarzy malowało się zdumienie i rozdrażnienie.

– Dlaczego miałbyś zrobić coś takiego? Czy możesz mi wytłumaczyć, co skłoniło cię do zmiany zdania?

Był zasmucony, że musi tak potraktować starą przyjaciółkę.

– Dziś rano w zakładzie miałem okazję lepiej rozważyć moje podejście do Nikolina i uznałem, że potrzebuję więcej czasu, by wydać opinię.

To, o co prosił, było bardzo ryzykowne. Zeznanie dziecka poddanego hipnozie nie miało wartości prawnej, dlatego Baldi mogła spokojnie obyć się bez jego ekspertyzy. W gruncie rzeczy słowa Nikolina posłużyły tylko do rozpoczęcia poszukiwań ciała matki i zatrzymania syna pod dozorem, by uniemożliwić mu ucieczkę albo powtórzenie zbrodni, do której sam się przyznał.

– Zgoda, wycofaj orzeczenie – powiedziała niewzruszona sędzia. W jej tonie można było jednak wyczuć rozczarowanie i gniew.

– Złożę publiczne oświadczenie – rzucił Gerber i dla wzmocnienia groźby postąpił krok naprzód. – Powiem prasie, że według mnie chłopca należałoby ponownie zbadać.

Przyjrzała mu się uważnie, by mieć pewność, czy mówi poważnie.

– Postawiłbyś mnie w trudnej sytuacji, ale sam zrujnujesz sobie na zawsze reputację.

To prawda i pociągnęłoby to za sobą od razu postępowanie dyscyplinarne izby psychologów z powodu pogwałcenia kodeksu deontologicznego, który przewiduje, że nie powinno się dostarczać mediom szczegółów kontaktu z pacjentami. Jednak najpoważniejszą konsekwencją, gdyby rozgłosił, że wycofuje to, co napisał czarno na białym, byłaby utrata zaufania. Musiałby pożegnać się z pracą, z tym, co usypiać dzieci kochał najbardziej. Tylko że jego rodzina mogła być w niebezpieczeństwie i chwilowo nie widział alternatywy.

– Wiem – odparł, próbując zachować wiarygodność. Jeśli nie uda mu się zaniepokoić Baldi, to koniec.

– Posłuchajmy twoich żądań. – Sędzia zgodziła się na chwilowe ustępstwo.

Gerber miał nadzieję, że sama domyśliła się, że istnieje jakiś powód, który zmusza go do takiego zachowania, i że on nie może o tym mówić. Może przyjaciółka naprawdę chce mu pomóc?

– Proszę o możliwość przeprowadzenia kolejnych sesji hipnozy, zaczynając od dziś.

– Przez jaki czas? – dociekała.

Po drugie, wysłuchasz tego, co mam do powiedzenia... aż do końca.

– Przez czas, jaki uznam za konieczny. – Miał nadzieję, że ciało matki Nikolina zostanie odnalezione jak najpóźniej, bo kiedy się odnajdzie, jego argumenty przestaną mieć dla Baldi jakiegokolwiek znaczenie.

Sędzia podeszła do biurka, odłożyła zebrane rysunki i podniosła słuchawkę telefonu.

– Uprzedzę dyrektora zakładu, że będą musieli doprowadzić tu chłopca: udostępnimy ci pokój zabaw i zapewnimy wsparcie, jakiego potrzebujesz.

– Nie – powstrzymał ją Gerber. – To będzie się musiało odbyć w moim gabinecie.

Baldi rzuciła mu groźne spojrzenie, dając do zrozumienia, że trochę przesadza z żądaniami.

– Sesje będą musiały być filmowane i protokołowane, więc nie ma mowy.

– Potrzebne mi otoczenie, którego Nikolin nie zna, muszę nawiązać nowy kontakt z jego umysłem, w przeciwnym razie się nie otworzy. – Tylko częściowo była to prawda, ale liczył na to, że sędzia widziała na własne oczy, jak trudno było skłonić chłopca do mówienia za pierwszym razem.

Zamilkła na długą chwilę. Gerber modlił się, żeby odpowiedź była dla niego korzystna.

– Nie wiem, czemu zachowujesz się w ten sposób, Pietro – odezwała się w końcu sędzia, która zazwyczaj nie pozwalała się zwodzić. – Ale mam szczerą nadzieję, że masz naprawdę uzasadniony powód, bo od tej chwili będziesz pozostawiony całkowicie samemu sobie.

– Wiem – odparł, wytrzymując jej spojrzenie.

Masz mnie nie szukać na zewnątrz.

Będzie musiał zapolować na fabularza. Sam.

15

Jest w nas takie miejsce, odległe i nieznane. Hipnotyzerzy nazywają je „zagubionym pokojem”. Nikt nie wie dokładnie, gdzie się znajduje i jak tam dotrzeć. Jest to rodzaj schowka, do którego na przestrzeni lat odkładamy wszystko to, czego w sobie nie lubimy, albo odpady naszej podświadomości. Zazwyczaj największe tajemnice, o których czasem wręcz sami nie wiemy albo nie chcemy ich widzieć. Nieczyste instynkty, skrywane myśli, niezgłębione lęki, najbardziej perwersyjne pragnienia.

Nikolin znajduje się właśnie tam. Został zamknięty w swoistym więzieniu fabularza. Pozostawiono mu możliwość interakcji z innymi osobami i otoczeniem na najbardziej podstawowym poziomie.

Zagubiony pokój jest miejscem bez wyjścia. A on jest sam.

Miał na sobie biały kombinezon z zakładu, eskortowała go pracownica socjalna, którą Gerber już spotkał, i dwóch strażników więziennych. Psycholog stał z założonymi rękami, oparty o ścianę korytarza, i obserwował, gdy chłopcu zdejmowano kajdanki.

Dziecko w kajdankach to widok nedorzeczny.

Bezbronny Nikolin poddawał się wszystkiemu zobojętniały. Wpatrywał się w zamknięte drzwi pokoju pana B., jakby wiedział, że po drugiej stronie znajduje

się dżungla z papier mâché. Zdarzało się to wszystkim dzieciom, które wchodziły tam po raz pierwszy: w niewytłumaczalny sposób zatrzymywały się przed tymi drzwiami z takim samym wyrazem twarzy, urzeczony wezwaniem małego fantastycznego świata, ukrytego za tą cienką barierą i stworzonego przed laty tylko dla nich przez pierwszego doktora Gerbera.

– Na pewno nie chce pan, żebyśmy zostali? – zapytał jeden ze strażników, potężny mężczyzna o dodającym odwagi wyglądzie.

– Dziękuję, ale wolę, żebyście poczekali na dole. Wezwę was, jak tylko skończymy – odprawił ich psycholog.

Obaj mężczyźni, którzy dostali polecenie, by dostosowywać się do jego próśb, bez słowa skierowali się do wyjścia.

Pracownica socjalna nie poruszyła się. Zachowywała się inaczej niż za pierwszym razem. W wyrazie twarzy i nastawieniu wyczuwało się mniej życzliwości, jeśli nie wręcz otwartą niechęć wobec Pietra Gerbera. Ale po wymianie wymownych spojrzeń postanowiła pójść śladem strażników.

Usypiacz dzieci zaprowadził Nikolina do swojego gabinetu.

– Możesz usiąść tutaj – powiedział, wskazując na bujany fotel. – Jest bardzo wygodny – zapewnił go.

Chłopiec posłuchał. Gerber nie wiedział, ile gestów Nikolina zależy rzeczywiście od niego. Choć mogło się to wydawać niewiarygodne, zamykając go w zagubionym pokoju, ktoś zaprogramował go tak, by zachowywał się w określony sposób, pozostawiając jego woli tylko niewiele decyzji.

Nico może swobodnie jeść, spać, chodzić, respektować określone przyzwyczajenia albo wykonywać serię drobnych gestów, jak na przykład mycie zębów albo drapanie się po nosie, jeśli go swędzi.

Kiedy to pisał, Gerber przypomniał sobie o „sekcie drzewa” na Filipinach, gdzie znaleziono w lesie około trzystu uczniów pewnego szamana, którzy na rozkaz wykonywali jednocześnie takie same czynności, jak w jakiejś absurdalnej

choreografii. Potrzebne były miesiące, by przełamać ten rodzaj czarów, ale wielu z nich nie zdołało się już wybudzić z tego stanu.

Byli jakby zagubieni w swoich umysłach. Zmuszeni pozostać tam i błąkać się już na zawsze.

Usypiacz dzieci podszedł do chłopca. Ujął delikatnie jego twarz w dłonie, szukając spojrzenia Nikolina.

– Zanim zaczniemy, chcę ci coś powiedzieć, Nico... Wiem, że gdzieś jesteś i że możesz mnie usłyszeć.

Chłopiec nie poruszył się; jego powieki ani drgnęły; oczy, którymi wpatrywał się w Gerbera, były puste.

Zagubiony.

Tak nazwała go hodowczyni koni, opisując chłopca jedzącego chleb i pijącego mleko przy piecyku.

– Pewnie się boisz, bo sam nie wiesz, gdzie jesteś – powiedział Gerber. – Ale musisz zdobyć się na odwagę i musisz mi zaufać. Bo ja cię znajdę i zabiorę stamtąd. Wrócimy razem do domu, obiecuję.

Miał nadzieję, że te słowa dotarły do Nikolina, gdziekolwiek się znajdował.

Ufał, że z czasem otrzyma odpowiedzi, których szukał, i wszystko stanie się w końcu jasne. Teraz był gotowy na kolejny krok.

Podobnie jak w pokoju zabaw, także w gabinecie ukryte były malutkie kamery, schowane za obrazami albo umieszczone w zabawkach stojących na bibliotecznych półkach. Usypiacz dzieci zazwyczaj filmował sesje. Ale w przypadku Nica zmuszony był zrobić wyjątek, by nie złamać warunków postawionych przez fabularza.

To, co się wydarzy, miało pozostać między nim a chłopcem.

Ograniczył się więc tylko do zaciągnięcia zasłon. Dienne światło osłabło, zyskując czerwonawy odcień, przypominający nieskończony zachód słońca. Psycholog usiadł na swoim miejscu, wychylił się w stronę bujanego fotela i lekko

go popchnął. Chłopiec siedział sztywno, z palcami uczeponymi kurczowo oparć. Gerber wyciągnął rękę, by podnieść coś z czerwonego dywanu.

Żółty tulipan. Położył go na kolanach chłopca.

Domyślił się, że jego kolega po fachu stworzył w umyśle Nikolina różne poziomy. By do nich dotrzeć, niezbędny był konkretny wyzwalacz. W pierwszym przypadku były to igła i guzik. W drugim obraży gola strzelonego w czasie meczu sprzed lat. Gerber przypuszczał, że teraz przyszła kolej na ulubiony kwiat Silvii.

Wysłuchasz tego, co mam do powiedzenia... aż do końca.

Był gotowy na wysłuchanie tej historii.

Woń tulipana była intensywna: bodziec zapachowy działał, bo oddech chłopca zaczął przyspieszać. Po chwili usypiacz dzieci dostrzegł coś pojawiającego się w spojrzeniu pacjenta – czarne światło. Zrozumiał, że nadeszła chwila nawiązania kontaktu.

– Jestem tutaj – zaczął.

– Niektórzy noszą w sobie niewidzialne rany, które bez ustanku krwawią. Albo niedającą się wypełnić pustkę, w której pobrzmiwa echo zrozpaczonych krzyków – powiedział tajemniczy narrator. – To, co przeżyłem, doprowadziło mnie aż tu, bo musiałem to komuś pokazać. A teraz ty pójdziesz ze mną.

Ostatnie zdanie było czymś pomiędzy zaproszeniem a groźbą. W tym momencie Nikolin był niczym radiolinia wychwytyująca sygnały z innego wymiaru, głębokiego i niewidzialnego.

– Zastanawiałeś się, dlaczego wybrałem dziecko, a nie dorosłego, doktorze?

Dlatego że psychika dziecka jest bardziej plastyczna, pomyślał Gerber, ale nie odpowiedział.

– Byłem w jego wieku, kiedy to się stało...

Przekaz pochodził z przeszłości. Zdaje się, że fabularz chciał mu zrelacjonować jakąś osobistą historię z czasów dzieciństwa.

– Kiedy jesteś mały, wieczorem boisz się sam zasypiać. Ale w wieku dwunastu lat jesteś już za duży, by uciekać do łóżka rodziców, a w każdym razie zdążyłeś

zrozumieć, że nie ma potworów ukrytych w szafach. Ale gdy właśnie przestałeś w niego wierzyć, ten potwór się pojawia... – Chwila przerwy. – Spotkałeś kiedykolwiek potwora, doktorze? Takiego, który niby istnieje tylko w bajkach i horrorach? Odrażającą istotę, pomyłkę Boga? By zrozumieć, że masz go przed oczami, musisz się najpierw przekonać, że to możliwe. To najtrudniejsza część. Bo nikt cię nigdy nie nauczył, jak go rozpoznawać. Nikt ci nie wyjaśnił, że gdy go zobaczysz, wyda ci się całkiem podobny do osób spotykanych na co dzień. Głowa, dwie nogi, dwie ręce. Włosy, oczy, paznokcie, palce u dłoni i stóp... wszystko takie samo.

Gerber był poruszony, bo ten wstęp był wprawdzie jakimś majaczeniem, ale wydawało mu się, że wyraża autentyczne cierpienie. Ten ból pochodził z daleka i nie został nigdy uleczony. Usypiacz dzieci nie wiedział, czy ma coś powiedzieć, zresztą i tak nie miał pojęcia, co by to mogło być.

– Czy naprawdę jesteś gotowy wysłuchać tego wszystkiego, doktorze? – Pełen bólu głos wypełnił ciszę.

– Zaczynaj – zachęcił go Gerber. – Jestem gotowy.

– Dobrze – zgodził się fabularz głosem Nikolina. – Choć teraz wyda ci się to nieprawdopodobne, w wieku dwunastu lat spotkałem orka.

16

Jest siódmy czerwca. Mam dwanaście lat i dziś to ostatni dzień szkoły.

Ranek jest rześki i jednocześnie ciepły. Pojawiło się nowe światło, bardziej złociste. Powietrze też wydaje się inne. Czujesz po zapachu, że wiosna się wycofuje, zwalniając miejsce dla lata. Lekcje się skończyły i zaczynają się wakacje. A ty jesteś szczęśliwy.

Nic ci się nie może stać w taki dzień.

O pierwszej dwadzieścia wysiadam jak zwykle z autobusu szkolnego, jakieś sto metrów od gospodarstwa, pod samym wzgórzem. Muszę się tylko na nie wspiąć i jestem na miejscu. Patrzę bezwiednie na autobus odjeżdżający asfaltową wstęgą, gubiącą się pośród pofałdowanego krajobrazu. Potem będę często myślał o tym właśnie momencie, kiedy mogłem się jeszcze uratować. Ale w tamtej chwili nie przychodzi mi nawet do głowy, że widzę, jak oddala się ostatnia możliwość uniknięcia tego, co mnie czeka. Bo gdybym tylko miał jakieś przeczucie, poprosiłbym kolegów i kierowcę, żeby nie zostawiali mnie samego i zabrali ze sobą.

Jak najdalej od miejsca, które najbardziej kocham i gdzie zawsze byłem kochany. Mojego domu.

Przypuszczam, że to samo zdarza się ludziom znajdującym się na tonącym statku albo w spadającym samolocie. Jestem przekonany, że wszyscy wtedy myślą o tchórzliwym głosiku, który w chwili wsiadania na pokład mówił im, żeby się odwrócili i odeszli. A oni go nie posłuchali.

Ale w tej chwili radość wypełnia mi serce, w żaden sposób nie przeczuwam tego, co ma się wydarzyć.

Ruszam jak zawsze ścieżką pod górę i w połowie drogi jestem już spocony. Czuję klejącą się do pleców koszulkę i spływające po czole łaskoczące ciepłe kropelki. Gdy zwilżam językiem wargi, są słone. Szkolny plecak dziś waży mniej i mam ochotę zdjąć buty.

Nie mieszkamy zbyt daleko od szosy, ale gospodarstwo zasłonięte jest przez wzgórze. Kiedy docieram na szczyt, widzę stary dom stojący w małej dolinie pośród pradawnych lasów; niczym przezroczysta blizna przecina ją potok, nad którym można przejść po kamiennym moście. Dom należący kiedyś do dziadków moich dziadków mama odziedziczyła osiem lat temu. Był niewiele więcej niż ruiną, ale rodzice stopniowo doprowadzili go do ładu, wydając na to wszystkie oszczędności. Przez osiem lat przyjeżdżaliśmy tu z miasta w każdy weekend, żeby sprawdzić, jak postępują prace. Początkowo spaliśmy w kamperze, ducato z 1985 roku, który tata parkował obok szopy. Nie było to zbyt wygodne, zwłaszcza zimą. Mimo to zabawnie było gnieść się w tym blaszanym pudle. Właściwie wyrosłem w tym domu, zanim jeszcze w nim zamieszkałem. A to nastąpiło w zeszłym roku, mniej więcej o tej samej porze, kiedy z bloku przenieśliśmy się na odludną wieś.

Ale ponieważ odkąd skończyłem cztery lata, każde wakacje spędzam tu, w gospodarstwie, po przeprowadzce mama postanowiła, że w tym roku wyruszymy w podróż.

Tata od razu podchwycił pomysł i doprowadził kamper do porządku; uruchomił silnik, który nie był w użyciu od ośmiu lat. Zrobimy długi objazd po Europie Północnej. Przez ostatnie tygodnie każdego wieczoru zaznaczaliśmy na mapie miejsca do zwiedzenia, przystanki i trasy. Wczoraj załadowaliśmy bagaże i prowiant. Dziś rano tata miał pojechać napełnić bak. Wyjazd jest przewidziany na popołudnie.

Szybki obiad i potem w drogę, by pochłaniać kilometry trasy. Nie mogę się doczekać.

Zazwyczaj ducato zaparkowane jest na tyłach i ze wzgórza go nie widać. Gdy zbliżam się do domu, wyobrażam sobie rodziców zajętych pakowaniem ostatnich rzeczy. Tata na pewno pogwizduje piosenki ze swojej młodości i już wiem, że przez całą drogę będzie nas zmuszał do słuchania swoich płyt. Nie dziwi mnie nawet, że Bella, mój golden retriever, nie wybiega mi jak zwykle naprzeciw, szczekając i merdając ogonem. Na pewno jest zajęta zebraniem o jakiś kęs, kiedy mama szykuje kanapki z salami na marmurowym stole.

To niewiarygodne, że udaje mi się wyobrazić sobie to wszystko i do głowy mi nie przyjdzie, że może na mnie czekać coś innego.

Wchodzę do domu, wydaję świadectwo, rzucam plecak w kąt i już wiem, że założę go z powrotem najwcześniej za trzy miesiące. Z kartką w dłoniach kieruję się natychmiast do kuchni, bo chcę uczestniczyć w przygotowaniach, a poza tym strasznie chce mi się pić. Ciekawe, jaką minę zrobi tata, gdy zobaczy, że mam celujący nawet z matematyki, która jest moją piętą achillesową.

Rodzice na pewno będą ze mnie dumni.

W domu panuje cisza, ale myślę, że są pewnie na zewnątrz. Idąc jednak korytarzem i mijając pomieszczenia, słyszę jakieś dźwięki. Spodziewam się, że zaraz zobaczę stojącą przy lodówce mamę przekomarzającą się z Bellą. Może dam jej nawet buziaka, bo wciąż narzeka, że odkąd dorosłem, za każdym razem, gdy próbuje obdarzyć mnie jakąś pieszczotą, odsuwam się, jakby chciała mnie zasztyletować.

Zatrzymuję się w progu kuchni.

Jest tam człowiek, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Nie potrafiłbym określić jego wieku – ani młody, ani stary. Ma kruczoczarne włosy, zaniedbany zarost na twarzy, a spod wycięcia białego T-shirtu wystaje owłosienie; nosi robocze spodnie i ciężkie buty, jak mechanik albo robotnik. Nie wiem, dlaczego uderza mnie wygląd jego dłoni – ma brudne paznokcie. Obiera nożem jabłko.

Mój widok go nie zaskakuje. Odnoszę wręcz wrażenie, jakby na mnie czekał.

– Dzień dobry – mówię natychmiast, bo nauczono mnie, bym tak robił, gdy spotykam dorosłego. Na razie żadne czerwone światełko nie zapala się wokół mnie, żadna syrena alarmowa nie rozbrzmiewa mi w głowie. Jestem dosyć spokojny. Tylko że to wszystko jest bardzo dziwne.

– Dzień dobry – odpowiada uprzejmie z pełnymi ustami.

Rozglądam się dookoła w poszukiwaniu rodziców, ale odkrywam zdziwiony, że jesteśmy sami. Próbuję zerknąć na zewnątrz przez otwarte przeszklone drzwi, ale nikogo nie widać. On to dostrzega, lecz nie czuje potrzeby, by cokolwiek powiedzieć. Zastanawiam się, jak tu dotarł, bo na podjeździe nie ma żadnego zaparkowanego pojazdu. Zauważam, że przy jego nogach leży marynarski worek. Mózg mi podpowiada, że może właśnie zsiadł z kontenerowca albo tankowca. Nie wiem jeszcze, jaką to teraz może robić różnicę. Może mój mózg próbuje tylko uciec od czegoś innego, od myśli budzącej strach.

– Mamo! – wołam, bo drażni mnie, jak mężczyzna przeżuwa jabłko. Tymczasem to jego obecność mnie denerwuje, ale nie chcę tego jeszcze przyznać. – Mamo! – powtarzam, ruszając w stronę przeszklonych drzwi.

– Wyjechali – mrozi mnie tym słowem nieznajomy, zanim jeszcze przekroczę próg.

Ta brednia mnie spowalnia, ale nie zatrzymuje, wyglądam na zewnątrz.

– To niemożliwe... – Zdanie więźnie mi w gardle, bo przy szopie czegoś brakuje. Kampera. Zostało tylko stare volvo, obok którego jest pusta przestrzeń wyglądająca jak dziura w dziąśle po wyrwaniu zęba. Odwracam się do nieznajomego. – Co to znaczy „wyjechali”? – Słyszę swój załamany głos i jestem na nich zły, jakby naprawdę wyjechali beze mnie. Nie dopuszczam nawet myśli, że mogliby mi coś takiego zrobić. Wiem, że to głupota nawet sobie coś takiego wyobrażać. Ale w tym ułamku sekundy wierzę w to, chcę w to wierzyć. Bo każda inna możliwość jest jeszcze gorsza.

– Godzinę temu – potwierdza spokojnie mężczyzna, nie odkładając jabłka. – Zabrali psa.

Po raz pierwszy dociera do mnie, że ani razu nie usłyszałem szczekania Belli. Zazwyczaj jest bardzo nieufna wobec obcych i dopóki nie przywyknie do nowego gościa, trzeba ją trzymać na smyczy.

– Muszę do nich zadzwonić – mówię od razu.

– Rób, jak uważasz – odpowiada mężczyzna, jakby było mu to obojętne.

Po chwili przypominam sobie, że nie mamy telefonu stacjonarnego i że mimo moich nieustannych nalegań rodzice nie kupili mi jeszcze komórki.

– Czy może mi pan pożyczyć swój telefon, proszę? – pytam i ta prośba wydaje mi się dziwna, podobnie jak cała sytuacja.

– Nie mam i nigdy nie miałem – mówi nieznajomy. – Przykro mi, chłopcze.

Teraz naprawdę zbiera mi się na płacz.

– I co ja mam zrobić? – zastanawiam się, jakby typ, którego nigdy w życiu nie widziałem, naprawdę mógł mi pomóc w rozwiązaniu problemu.

– Będiesz mieszkał ze mną – oznajmia, jakby to było coś najbardziej oczywistego na świecie.

– Z panem? – pytam. Moje ręce i nogi ważą chyba tonę; czuję się nagle bardzo słaby, zaraz się przewrócę. – Ale jak długo? – dopytuję się, jakby ten dialog miał jakiś sens.

– Dopóki nie wrócą twoi rodzice – odpowiada, jakby to było jasne.

Z upływem minut jestem coraz bardziej przekonany, jak bardzo płonna jest moja nadzieja, że chodzi tylko o głupi żart, lecz nie czuję się jeszcze na siłach, by zmierzyć się z nową rzeczywistością. Dlatego ryzykuję:

– Kim pan jest?

– Możesz mi mówić... „wujku”.

O ile wiem, mama i tata są jedynakami. Więc skąd wziął się ten wujek?

– Ale jakoś się pan nazywa, prawda?

– Mów mi „wujku” i basta, mnie to pasuje. – Wyciera grzbietem ręki spływający mu po podbródku sok z jabłka.

Przy okazji zauważam, że nigdy wcześniej nie widziałem noża, który trzyma w dłoni. Gdy skończył jeść, odkłada go na stół, wyjmując z kieszeni zmiętą czerwoną chustkę i wyciera nią twarz oraz pot z szyi. Po czym wyciąga do mnie rękę, na coś wskazując.

– Mogę?

Kilka sekund zajmuje mi zrozumienie, że chodzi mu o świadectwo, które cały czas ściskam w dłoni. Waham się, ale ponieważ nie wiem, jak miałbym się sprzeciwić jakiegokolwiek jego prośbie, w końcu podaję mu kartkę.

Mężczyzna ujmuje ją delikatnie i trzymając w palcach, by jej nie poplamić, podnosi do twarzy, żeby lepiej widzieć. Długo przygląda się kartce.

– Kurde – wyrywa mu się i wygląda na szczerze zachwyconego. – Naprawdę wspaniałe świadectwo, nie ma co gadać – komentuje, oddając mi kartkę.

– Poprawiłem się z matematyki – mówię, sam nie wiedząc dlaczego. A może dlatego, że mam bezsensowną nadzieję, że zasłużę na jakąś nagrodę: może na przerwanie tego złego snu.

– Znasz zagadkę o skarpetkach nie do pary? – pyta mężczyzna.

– Nie.

– No więc... Masz dwadzieścia sześć białych skarpetek, osiemnaście skarpetek czarnych i szesnaście czerwonych rozrzuconych w szufladzie w ciemnym pokoju. Ile skarpetek musisz wynieść z pokoju, by mieć szansę, że włożysz parę tego samego koloru?

– Trzy – odpowiadam natychmiast. – Jeśli dwie pierwsze są każda w innym kolorze, to trzecia będzie w którymś z nich.

Udaje, że się zastanawia. Najwyraźniej znał już rozwiązanie i być może zaskoczyło go to, że tak szybko znalazłem odpowiedź. Odnoszę od razu wrażenie, że ten prosty rachunek jakby mnie przed czymś ochronił. Myśl ta nie poprawia mi samopoczucia. Bo jest tak, jakby matematyka ocaliła mnie właśnie przed jeszcze potworniejszym losem. I rzeczywiście, moją głowę niczym strzała przesywa pytanie.

Co by się stało, gdybym źle odpowiedział?

– Jesteś naprawdę inteligentnym chłopcem – chwali mnie mężczyzna. Nie wygląda jednak na zbyt zadowolonego; może dla niego to problem, że nie jestem głupi.

Boję się dowiedzieć, co się teraz wydarzy. Ale on rozprasza wszystkie moje wątpliwości.

– Powiem ci, co zrobimy – zaczyna stanowczym, a jednocześnie uspokajającym tonem. – Utnę sobie drzemkę. Twój rodzice pozwolili mi korzystać ze swojego łóżka podczas ich nieobecności. Myślę, że będę spał do kolacji.

Poza absurdalnością historii z łóżkiem zastanawiam się, co ja powinienem robić w tym czasie. Ale zanim zdążę otworzyć usta, widzę, jak wstaje z krzesła i idzie w stronę przeszklonych drzwi.

– Będziesz tu grzecznie siedział, prawda? – pyta, wyglądając na dwór.

Nie odpowiadam, pozwalając mu się domyślać, że mógłbym spróbować ucieczki.

– Na zewnątrz jest pełno ludzi o złych zamiarach, a ja bym nie chciał, żeby któryś z nich zrobił ci krzywdę – wyjaśnia mi spokojnie. – Twój rodzice bardzo prosili, żebym na ciebie uważał podczas ich nieobecności.

W tym momencie rozumiem, że niebezpieczeństwo nie czai się na zewnątrz, ale tu, w domu. I że nie wystarczy uciec.

– Ależ oczywiście, że nigdzie nie pójdziesz – odpowiada sam sobie nieznanemu, pewny siebie i najwyraźniej także mnie. – Jesteś bardzo sprytnym chłopcem.

W jego oczach kryje się coś groźniejszego od jakiegokolwiek ostrza noża. Zamierzenie. Nie jest to banalne zło, jest w tym coś genialnego. Coś, co mówi mi, że człowiek, którego mam przed sobą, ma niezwykły talent: jest wyjątkowy. Został stworzony przez Boga specjalnie, by wypełnić krwawą misję cierpienia. Jakikolwiek jest jego cel, moi rodzice spotkali go na swojej drodze przypadkowo. Nie wiem, co się z nimi dzieje, bo nie sądzę, że naprawdę wyjechali do Europy

Północnej, jak twierdzi intruz. Ale w tej chwili najbardziej dręczy mnie pytanie, dlaczego ten potwór o ludzkim wyglądzie chce mnie przy sobie zatrzymać.

– Masz rację, wujku – próbuję mu dogodzić tonem nagle poufałym. – Zostanę tutaj. – Mam nadzieję, że okazując uległość, może jak najpóźniej odkryję rolę, jaką wyznaczył mi w swoim planie. Poza tym potrzebuję czasu, by lepiej zrozumieć, co się dzieje, i podjąć jakieś działania. Wiem tylko, że jestem nieprzygotowany, bo nigdy nie przeżyłem podobnego doświadczenia. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że byłem zawsze szczęśliwy. Ale łaskawa istota, która do tej pory milcząco czuwała nad moim dzieciństwem, niespodziewanie przestała mnie chronić.

Nieznajomy kiwa głową. Może mi uwierzył, a może jest bardziej przebiegły. Ale na szczęście moja odpowiedź go zadowala. Oddała się, a gdy wchodzi na górę, wsłuchuję się w jego ciężkie kroki na schodach. Nie wiem, co mnie czeka, jestem przerażony, ale też dziwnie podniesiony na duchu, bo wszystko, co złe, wydaje mi się odłożone na później. Nie wiem, na jak długo, ale chwilowo tak jest dobrze. I właśnie w tym momencie on, stojąc u szczytu schodów, jak gdyby nigdy nic mówi:

– Na twoim miejscu nie schodziłbym do piwnicy.

Nagle Nikolin przestał mówić.

Gerber się tego nie spodziewał.

– Słyszysz mnie? – spróbował zapytać, mając nadzieję, że uruchomi dalszą opowieść.

Ale chłopiec nie przestawał kołysać się w bujanym fotelu, nie wydając z siebie żadnego dźwięku, jakby nagle wyczerpały mu się słowa. W tle słychać było tylko nieustające skrzypienie. Obsesyjne.

Usypiacz dzieci nie wiedział, co robić, i nie potrafił tego zrozumieć. Co się stało? Był przekonany, że fabularz chce mu opowiedzieć tę historię.

Wysłuchasz tego, co mam do powiedzenia... aż do końca.

Wstał i podszedł do Nica, by zrozumieć, dlaczego się zablokował. Chłopiec przeniósł po prostu na niego wzrok. Wtedy Gerber wyjął z kieszeni małą latarkę długopisową i zapalił ją, by sprawdzić odruch źreniczny. Nico nie reagował. Psycholog zorientował się, że pacjent pozostaje wciąż w lekkim stanie odrętwienia. Jego oczy widziały, ale nie patrzyły.

Powrócił do zagubionego pokoju.

Gerber zgasił latarkę i zaniepokojony, cofnął się o krok. Zrozumiał. Nikolin zachowywał się jak zepsuty pajacyk wyskakujący z pudełka albo jak automaty w lunaparku, które nagle wyłączają się i uruchamiają ponownie dopiero wtedy, gdy wrzuci się kolejny żeton.

Wysłuchasz tego, co mam do powiedzenia...

– ...aż do końca – dokończył zdanie półgłosem.

Fabularz zagrzebał historię, rozdzielając ją na różne warstwy świadomości, pomyślał Gerber. Niczym piekielne kręgi, każdy z nich zawierał fragment opowieści. Był to kolejny dowód jego kunsztu hipnotyzera. Nikt nie umiałby powiedzieć, jak głęboko będzie musiał dotrzeć Pietro Gerber, by poznać całą historię.

Ani co się kryje na końcu tej wędrówki ku przepaści.

Usypiacz dzieci zrozumiał od razu, że nie będzie tak łatwo powtórnie aktywować Nikolina. Podobnie jak w przypadku igły i guzika, meczu piłkarskiego, a potem tulipana, również tym razem potrzebny będzie wyzwalacz, żeby przejść na kolejny poziom. Nie dostrzegał w tym żadnego praktycznego powodu, wydawało mu się to czystą złośliwością. To będzie jakieś przekłete polowanie na skarb.

A cenę za to szaleństwo zapłaci Nikolin.

Postępując jeszcze raz wbrew zasadom, jakie zawsze narzucał sobie w kontaktach z pacjentami, z którymi starał się zachowywać bezpieczny dystans, Gerber ujął chłopca za rękę.

– Bardzo dobrze, Nico – dodał mu otuchy.

Nikolin nie zareagował, ale wydawał się spokojny.

Usypiacz dzieci zatrzymał bujany fotel, po czym rozsunał zasłony i ponury dzień znów zawładnął pomieszczeniem. Gerber zawiadomił telefonicznie pracownicę socjalną i dwóch strażników czekających na zewnątrz, że mogą przyjść po Nica i odprowadzić go do zakładu.

Znów musiał asystować przy bezsensownym rytuale zakładania kajdanek.

Zanim chłopiec wyszedł, Gerber zbliżył się do niego.

– Jutro pójdzie lepiej – szepnął. Ale tak naprawdę nie umiałby powiedzieć, ile w tej obietnicy było prawdy. Dzisiejsza sesja wystarczyła, by rozproszyć jego początkowy entuzjazm. Zwrócił się do pracownicy socjalnej. – Odłożyłbym jeszcze wprowadzenie Nikolina do grupy innych chłopców – zalecił. – Sądzę, że powinien pozostać w izolacji, a wręcz prosiłbym, by trzymać go w pokoju pod nadzorem.

– Nie widzę powodu – odparła zirytowana kobieta. – On wydaje mi się aż za spokojny – dodała, wskazując na Nica. Pokoje nadzorowane zarezerwowane były dla chłopców pobudzonych albo dostających nagłych napadów złości.

– To proste. W pomieszczeniach nadzorowanych są kamery – próbował jej wytłumaczyć, unikając prowokacji. – Stały monitoring da nam możliwość sprawdzenia, czy pojawiają się jakieś znaczące zmiany jego nastroju.

Kobieta rozważała tę kwestię, jakby od niej wszystko zależało. Gerber rozumiał jej frustrację z powodu utraty autorytetu, ale byłoby niegrzecznie przypominać tej kobiecie, że decyzja nie należy do niej.

W końcu westchnęła rozdrażniona.

– Niech będzie – rzuciła.

Popatrzył za wychodzącym pod eskortą chłopcem. Gdy tylko zniknęli, spojrzął na zegarek. Była szesnasta, a on był wykończony; poprzedniej nocy nie spał. Nie zamierzał się jednak poddać. W tym momencie zadzwieczyła jego komórka. Dzwoniła Silvia. Miał ochotę odrzucić połączenie, bo nie był w nastroju na jej kolejny wybuch wściekłości. Ale w końcu odebrał.

– Dziś szukała mnie Baldi – zaatakowała go natychmiast, nawet się nie witając.

Gerber potrafił sobie wyobrazić ton rozmowy między byłą żoną i starą przyjaciółką rodziny. Sędzia musiała jej opowiedzieć o tym, co mu strzeliło do głowy.

– Baldi ma do mnie pretensje – wyjaśnił natychmiast. – Nie zgadzamy się radykalnie w pewnej sprawie.

– Nie wdawała się w szczegóły, ale poinformowała mnie, że narażasz swoją reputację, upierając się przy czymś w niezrozumiały sposób. – Po czym dodała: – Poprosiła, żebym przemówiła ci do rozsądku.

– W charakterze konsultantki matrymonialnej? – zapytał ironicznym tonem zirytowany Gerber. – À propos, co myślą twoi klienci o tym, że ich terapeutka nie zdołała uratować własnego małżeństwa? W twoim świecie nie jest to najlepsza

referencja. – Natychmiast pożałował tej reakcji, ale nie mógł już cofnąć swoich słów.

– Nie wpakowałeś się w kolejny przypadek w stylu Hall, prawda? – zapytała była żona, odpowiadając z taką samą perfidią.

Choć ona i Marco mieszkali już zupełnie gdzie indziej, zrozumiałe było, że Silvia obawia się, że jej eks znów pogrąży ich w koszmarze, jak półtora roku temu. A gdy pomyśleć o historii z żółtymi tulipanami, które wysłał jej fabularz, Gerber nie mógł nie przyznać jej racji. Tym gestem tajemniczy hipnotyzer pokazał dobitnie, że nie cofnie się przed niczym. A przede wszystkim, że ma jakiś nieodgadniony cel, a Pietro Gerber jest narzędziem do jego osiągnięcia. Za wszelką cenę.

– Ja... – zaczął, ale nie przyszło mu do głowy żadne zdanie, które mogłoby ją przekonać, że kontroluje sytuację i że w końcu wszystko się ułoży. Nie mogąc jej o niczym zapewnić, ograniczył się do zakończenia rozmowy. – Ucałuj ode mnie Marca.

Chciałby powiedzieć jej o wszystkim, szukać w niej wsparcia, jak kiedyś. Ale półtora roku separacji nauczyło go obywania się bez Silvii. Nie było to łatwe, ale się udawało. Przeklął sam siebie. W kilka godzin jego życie znów się posypało, a rutyna, której kurczowo się trzymał, by nie zagubić się w smutnych myślach, została zburzona. By poświęcić się Nikolinowi, wszystkie zaplanowane sesje z innymi pacjentami przeniósł na następny tydzień. Musiał wymyślić różne wymówki, by usprawiedliwić przesunięcie wizyt, mając przy tym nadzieję, że czas, który udało mu się wykroić, będzie wystarczający. Kłamanie okazało się trudną sztuką, przede wszystkim w przypadku matki Lavinii, bo wprowadzenie dziewczynki w stan hipnozy było znaczącym postępem, który teraz mógł zostać zaprzepaszczony. Pacjentka dotarła na próg drzwi, które powinna koniecznie otworzyć, a Gerber obawiał się, że teraz może się od nich oddalić.

Priorytetem było jednak w tej chwili wyprowadzenie Nikolina z zagubionego pokoju.

Ale przede wszystkim Gerber musiał znaleźć klucz, by dostać się na kolejny poziom historii fabularza. Zrozumiał, że może chodzić o jakiś przedmiot lub bodziec sensoryczny, jak w przypadku nagrania wideo albo zapachu tulipana.

Być może odpowiedź znajdowała się w notatkach sporządzonych podczas bardzo długiej sesji.

18

Zaopatrzył się w karteczki i taśmę samoprzylepną. Stał pośrodku gabinetu, trzymając w rękach te przedmioty, z okularami na czole i piórem wiecznym za uchem. Raz na jakiś czas pochylał się, by przeczytać, co zapisał w otwartym notesie leżącym na stoliku obok. Za każdym razem, gdy natrafiał na coś znaczącego lub wymagającego pogłębienia, notował to na karteczce i przyczepiał ją w jakimś punkcie pokoju, by lepiej się temu szczegółowi przyjrzeć. Był to sposób, który pomagał mu mieć trójwymiarowe spojrzenie na różne rzeczy.

12 lat

Pierwszą karteczkę przykleił na kominku. Nie umknęło jego uwadze, że fabularz miał dokładnie dwanaście lat, gdy nastąpiły wydarzenia, z którymi chciał go koniecznie zapoznać. Ten sam wiek co Nikolin.

7 czerwca

Ostatni dzień szkoły, gdy rozpoczyna się opowieść, wypadał siódmego czerwca i ta data odpowiadała porwaniu Miry i jej syna na leśnej drodze, choć to drugie wydarzenie miało miejsce wiele lat później. Ile dokładnie? – zastanawiał się Gerber. Być może odpowiedzią był mecz Fiorentina–Barcelona z 1999 roku.

22 lata temu

Na podstawie tych odniesień czasowych obliczył przybliżony wiek fabularza.

34 lata

Umieścił tę ostatnią karteczkę obok trzech pozostałych. Nie przyznając tego otwarcie, zaczynał nakreślać profil przeciwnika. Choć dostał nakaz, by nie wszczynać poszukiwań, jego adwersarz prawdopodobnie był świadomy, że Gerber dojdzie do podobnych wniosków. Kto wie, może te informacje zostały umieszczone celowo w zapamiętanej przez Nica historii, żeby zbić z tropu Gerbera? Nie był już niczego pewien. Może poza tym, że początek tego, co zaczęło się przed dwudziestu dwoma laty, był przerażający.

Ostatni dzień szkoły dla dwunastoletniego chłopca nie jest dniem jak co dzień, pomyślał. Gdzieś ukryta jest tajemnica, która tylko czeka na ujawnienie. Ten dzień jest szczeliną w czasie: przejście zamknie się za tobą, jak tylko ją przekroczysz. A gdy w końcu po wakacjach znów zobaczysz kolegów, będziesz zmieniony i oni też będą inni. Ale jeszcze o tym nie wiesz. Gdy rozlegnie się ostatni dzwonek, nie ma już zasad ani ograniczeń. Wszystko się może zdarzyć. Nikt ci nigdy nie mówi, że więcej nie doświadczysz radosnej anarchii takiego dnia, zuchwałej beztroski w obliczu nieznanego. Ale w przypadku tego bezimiennego chłopca tym szczęśliwym wspomnieniem zawładnął ork.

Na twoim miejscu nie schodziłbym do piwnicy.

Istniała jeszcze jedna zbieżność z Nikolinem. Obydwaj w tym samym wieku zostali uwięzieni. Więzieniem Nica nie był zakład, do którego go właśnie odprowadzono. Nico był zamknięty we własnym umyśle.

Ale jak długo wytrzyma jeszcze w tym stanie, nie mogąc nawet poruszyć powiekami, gdy poczuje taką potrzebę?

Gdy popołudnie przechodziło w wieczór, a ogień w kominku na poddaszu powoli wygaszał, Gerber pozwalał, by zapanował tam półmrok. Wystarczało mu sączące się przez okno słabe światło, spływające niczym złocista rzeka na dachy Florencji. Nie zamierzał zapalać stojącej obok fotela lampy, bo szybko się zorientował, że ciemność mu nie przeszkadza – była wręcz jak spokojna bańka pozwalająca mu myśleć.

By zachować bezstronność, spróbował zapomnieć, że fabularz i dwunastoletni bohater zatrwajającej opowieści Nica to ta sama osoba. Musiał wybudować empatyczny most, potrzebny do tego, by uwierzyć do końca w tę historię. Powrót do domu i zastanie w nim intruza musiało być dla chłopca szokiem.

Wujek

Ork wybrał przydomek ukrywający złowieszczą dwuznaczność. Gerber przykleił karteczkę z tym słowem na półce z książkami, po czym zadał sobie serię pytań, zapisał je i poprzyklepał w różnych miejscach pokoju.

Kim jest naprawdę „wujek”? Skąd się wziął?

Co się stało z rodzicami chłopca? Czy po prostu zniknęli, czy też coś im się przytrafiło? Czy byli ofiarami wypadku, czy może to nieznajomy przyczynił się do ich zniknięcia?

W tym ostatnim przypadku Gerber musiał postawić dodatkowe pytanie:

Jak syn zdołał się uratować?

Ale przede wszystkim dlaczego on nigdy nie słyszał o takiej historii? Zatrzymał się nad tą kwestią. Gazety powinny były o tym pisać, a ludzie raczej pamiętaliby, jak to zwykle się dzieje z wydarzeniami przypominającymi filmowy horror.

Odłożył chwilowo karteczki i taśmę klejącą i włożył ręce do kieszeni, by poszukać smartfona. Gdy tylko go znalazł, otworzył przeglądarkę internetową. Odszukał stronę z archiwalnymi wiadomościami. Ponieważ miał się cofnąć do lata 1999 roku, wprowadził jako punkt odniesienia okres od siódmego czerwca do

września. W wynikach nie pojawił się żaden artykuł na interesujący go temat. Spróbował jeszcze raz, poszerzając zakres czasu, ale nadal nic.

Nie potrafił tego zrozumieć, ale się nie zniechęcał i zmienił strategię.

Wprowadził do wyszukiwarki kilka słów kluczowych. Najpierw spróbował z *dwunastolatek + gospodarstwo + Toskania + rodzice + zaginieni + mężczyzna + nieznajomy*. Nie zadziałało. Kontynuował więc, dodając kilka nowych elementów – jak *niebieskie robocze spodnie, kamper czy worek marynarski* – i zestawiając je na różne sposoby.

W sieci nie zachował się jednak żaden ślad tamtych wydarzeń.

Dziwne, pomyślał. Być może słowa kluczowe były zbyt ogólne, może później będzie miał do dyspozycji jakieś bardziej konkretne wskazówki, pozwalające ograniczyć obszar poszukiwań. Mimo to brak trafień był co najmniej podejrzany i budził uzasadnione wątpliwości dotyczące prawdziwości historii chłopca.

Żadnej wiadomości w prasie o podobnym zdarzeniu.

Gerber dodał karteczkę z tym zdaniem do pozostałych i postanowił, że na razie nie będzie z tego faktu wyciągał żadnych wniosków. Musiał wysłuchać całej opowieści, by mieć nadzieję na uwolnienie Nikolina spod władzy fabularza.

– Kim jesteś? – rzucił w ciemność.

Podniósł wzrok w stronę sufitu. W ciemności można było dostrzec czerwoną lampkę, za pomocą której pacjenci sygnalizowali swoją obecność. Przypomniał sobie moment, kiedy zapaliła się przed tym, jak znalazł igłę wbitą w jabłko. Wszystko zaczęło się od tego i zdarzyło się to wczoraj.

Jesteś tam, na zewnątrz, i na pewno mnie obserwujesz. Wciąż poddajesz mnie próbie.

Ta myśl przypomniała mu zagadkę o skarpetkach w trzech kolorach, którą wujek zadał chłopcu po obejrzeniu jego świadectwa. Zanotował ją.

Masz dwadzieścia sześć białych skarpetek, osiemnaście skarpetek czarnych i szesnaście czerwonych rozrzuconych w szufladzie w ciemnym pokoju. Ile

skarpetek masz wynieść z pokoju, by mieć szansę, że włożysz parę tego samego koloru?

Chłopiec odpowiedział „trzy” i wyjaśnił, że gdyby pierwsze dwie były różne, trzecia już by do którejś pasowała. Choć Gerber nigdy nie był matematycznym geniuszem, teraz zdał sobie sprawę, że choć chłopak rozumował prawidłowo, to nie podał właściwej odpowiedzi. Powinna brzmieć „cztery”: o jeden więcej, niż było kolorów. Wyglądało na to, że łamigłówki podobały się nie tylko orkowi. Bawiły też fabularza, gdy dorósł.

Celowo podał złą odpowiedź, pomyślał Gerber i przeszedł go dreszcz. Wprowadził błędną odpowiedź do pamięci Nica. I zrobił to, żeby przyciągnąć moją uwagę do tej liczby.

Postanowił więc dokonać kolejnej próby – w końcu nie miał nic do stracenia. Wziął smartfon do ręki i do listy słów, które już wcześniej wpisał w przeglądarkę, dodał pozornie najmniej znaczący szczegół opowieści.

trzy skarpetki nie do pary

Kombinacja słów tym razem wywołała efekt, bo ekran telefonu, który trzymał w ręce, nagle pociemniał. Mając przed oczami tę czarną ścianę, Pietro Gerber zastanawiał się, czy nie chodzi o awarię techniczną. Tymczasem w tle dały się słyszeć jakieś ciche dźwięki. Smartfon działał bez zarzutu. Został przekierowany na stronę, na której było nagranie. Przed oczami znów miał *ciemność*.

Ale za tą ciemnością coś się kryło.

19

Natychmiast przyszła mu do głowy Lisa, która miała zaledwie dziesięć lat, a zanim trafiła pod jego skrzydła, kilkakrotnie próbowała się zabić. Przypomniawszy sobie znalezione przez nią w internecie filmiki, które wpływały na jej wybory, aż w końcu doprowadziły ją do skrajnych rozwiązań. Filmiki, nazywane creepypastami, były bardzo rozpowszechniane w mediach społecznościowych dla młodych, jak TikTok albo 4chan. Wszystko zaczynało się w niewinny sposób: ktoś, zazwyczaj rówieśnik ofiar, zalecał użytkownikom, by nigdy nie szukali w sieci jakiejś szczególnej sekwencji słów albo nie wchodzili na daną stronę, bo konsekwencje tego mogłyby być wstrząsające. Oczywiście górę brała zawsze ciekawość i dzieciaki natychmiast sprawdzały, o co chodzi. Najczęściej okazywało się to żartem, a w każdym razie czymś nieszkodliwym. Natrafiały na obrzydliwy lub na niby-przerażający obraz wykorzystujący elementy horrorów: memy powiązane z historiami o duchach, potworach, seryjnych mordercach, zjawach czy UFO.

Ale czasem za miejskimi legendami lub budzącymi strach banalnymi opowieściami kryła się jakaś przynęta.

Wyrafinowane gry psychologiczne albo prześladowania, dzieło sadystów lub pedofilów. Autorami mogli być dorośli, ale częściej były nimi dzieci, które właśnie z powodu młodego wieku długo pozostawały poza podejrzeniami. Wszystko odbywało się online, więc prześladowca mógł działać bez przeszkód i z zachowaniem bezpiecznego dystansu. Gdy celem był seks, ofiarę nakłaniano do

prysyłania zdjęć albo nagrań w erotycznych pozach, a potem nierzadko wykorzystywano je do szantażu zmuszającego do kontynuowania procederu.

W niektórych przypadkach chodziło jednak o rzeczy o wiele bardziej perwersyjne.

Lisa trafiła w pułapkę czwórki nastolatków, którzy wykorzystując jej niedojrzałość, skłonili ją do podejmowania coraz bardziej skrajnych prób. Wywierając na nią presję, chwytając dziewczynkę w sieć uwarunkowań i manipulacji, przekonali ją w końcu, że otaczająca rzeczywistość, choć wydaje się dokładnie taka sama jak jej prawdziwe życie, jest fałszywa. Wyjaśnili jej, że nieopatrznie weszła do równoległego wymiaru, odwiedzając stronę internetową, której oglądanie jej odradzano. Ale przede wszystkim dowiedziała się, że jedynym sposobem na wydostanie się z tego wymiaru, by znów uścisnąć prawdziwych rodziców i siostrzyczkę, jest odebranie sobie życia.

Gerber w ostatniej chwili wy dostał Lisę z tej paranoi, ale trzeba było czasu, by przekonać ją, że chodziło o czystą fantazję skonstruowaną misternie przez kogoś, kto chciał tylko jej krzywdy. Zawsze jednak zastanawiał się, co czuła dziewczynka, gdy przeżywała tę dysocjację, i przede wszystkim jak można wpaść w podobną pułapkę.

Nasz umysł jest o wiele potężniejszy od naszej świadomości.

Powtarzał to zawsze pan B., żeby obudzić jego czujność. Umysł przejmuje panowanie nad nami, a my tego nie zauważamy i nie możemy temu zapobiec.

Właśnie dlatego Pietro Gerber, wchodząc do internetu, odczuwał zawsze pewien niepokój. A teraz, gdy patrzył na ekran smartfona, jego niepokój był spotęgowany tym, co działo się od niespełna dwudziestu czterech godzin. Wystarczyło tak niewiele czasu, by wrzucić go w spiralę wątpliwości i udręki.

Skupiony na ciemnych obrazach przewijających się na ekranie komórki, próbował domyślić się z dźwięków w tle, gdzie nagrywano ten film. Czyjś zdyszany oddech – pomyślał od razu o filmującej osobie. Szelest kroków – suche liście. Jesteśmy na zewnątrz, pomyślał. Wyobraził sobie las.

Ktokolwiek to był, szedł i filmował telefonem.

Obraz zaczynał się rozjaśniać. Bez wątpienia nastawał świt. Autor nagrania zatrzymał się w jakimś punkcie, po czym skierował obiektyw w splątane gałęzie. Gdy kadr się wyostrzył, za barierą z krzaków Gerber rozpoznał metalową konstrukcję przypominającą słup wysokiego napięcia. Przyjrzał się uważniej.

Była tam wieża obserwacyjna oznaczona numerem 68, zapisanym częściowo złuszczoną białą farbą.

Kiedy autor filmiku dotarł w pobliże konstrukcji, nagranie się urwało.

Gerber opuścił ręce ze smartfonem i w ciemności poddasza spróbował nadać jakiś sens temu, co zobaczył. Co takiego było w tym miejscu? Dlaczego fabularz mu je pokazywał? I dlaczego właśnie o świcie?

Po chwili zrozumiał i odebrało mu oddech.

To było zaproszenie.

20

W efekcie konferencji prasowej, zwołanej przez Anitę Baldi i prokuraturę, wiadomość o odnalezieniu w lasach Mugello Nikolina, osiem miesięcy po jego zniknięciu, pojawiła się w mediach już późnym rankiem poprzedniego dnia. Ale dopiero wieczorem krajowe gazety zaczęły sugerować mrozącą krew w żyłach ewentualność, że to chłopiec mógł zabić matkę, Mirę, i ukryć jej zwłoki. Jak było do przewidzenia, uczucia społeczeństwa wobec Nica zmieniły się gwałtownie w ciągu kilku godzin. Ulga wywołana jego pojawieniem się oraz współczucie z powodu przeżytego dramatu przerodziły się w bezapelacyjne oskarżenie.

Prowadząc nocą samochód, Pietro Gerber słuchał powtórki radiowych wiadomości i uznał, że takie reakcje są typowe i nie ma się specjalnie czemu dziwić. On jednak chciał zwrócić temu dziecku niewinność. Dlatego po dłuższym zastanowieniu się nad sensownością przyjęcia zaproszenia fabularza w końcu zdecydował się na wycieczkę do lasu.

Nie wiedząc, co go tam czeka.

Wyciągnął z garażu defendera, którego pan B. przechowywał troskliwie przez większą część swojego życia. Terenówka była doskonała na bite drogi. Gerber jechał w ciemności, w marznącym deszczu, który topił się od razu w kontakcie z przednią szybą i był usuwany przez wycieraczki. Siedział pochylony nad kierownicą, gotowy wycierać rękawem płaszcz skraplającą się na szybie parę.

Jechał w okolice Mugello.

Właśnie tam zaginęli Nikolin i jego matka, a po ośmiu miesiącach pojawił się tylko chłopiec. Miejsca na tym terenie miały przerażające stare nazwy, jak Valle dell'Inferno (Piekielna Dolina), Canale della strega (Kanał czarownicy) czy Prato degli impiccati (Polana wisielców). Jednak nie to niepokoiło Gerbera tak jak fakt, że tutejsze drogi nie zostały wprowadzone do nawigacji i nie dało się ich znaleźć nawet na Google Maps. Na urządzeniach elektronicznych obszar ten jawił się jako czarna dziura na ekranie, coś w rodzaju przejścia w nicość. A kiedy również sygnał radiowy zaczął zanikać, Pietro Gerber zrozumiał, że właśnie wpada w pustkę.

Wiedział, że to tylko złudzenie, lecz i tak czuł się nieswojo.

Musiał odkurzyć starą mapę, by jakoś zorientować się w otoczeniu. Punktem odniesienia była wieża obserwacyjna; nietrudno było odkryć, że te konstrukcje używane przez straż leśną zostały oznaczone na mapach rosnącymi liczbami.

Tuż po piątej rano światła defendera wyłowiły z mroku umieszczoną na metalowych słupach budkę z wyraźnie widocznym numerem 68.

Gerber zatrzymał pojazd, włączył latarkę w telefonie i wysiadł, by sprawdzić to miejsce. Wewnątrz samochodu panowało przyjemne ciepło, ale na zewnątrz uderzył go zimny i wilgotny powiew powietrza. Mimo płaszcza Gerber w ciągu kilku sekund był przemoczony do suchej nitki, jednak szedł w stronę wieży. Jego buty zapadały się w błocie, a dźwięk ciężkich kroków mieszał się z odgłosami nocy.

Uderzające w siebie gałęzie. Trzask kory drzew. Podmuchy wiatru, które nadchodziły ze świstem, po czym znikwały.

Po dojściu pod metalową konstrukcję Gerber oświetlił teren dookoła siebie: zlustrował las, uwalniając stopniowo drzewa i krzewy z niewoli mroku. Jakby eksplorował tajemniczy świat nieprzywykły do obecności człowieka. Potem skierował światło z telefonu na budkę. Konstrukcja miała ponad sześć metrów wysokości i z miejsca, w którym stał, niczego nie zauważył. Jedynym sposobem, by sprawdzić, co w niej jest, było wejść na górę.

Wchodziło się tam po drabince.

Włożył telefon do kieszeni i zaczął się wspinać. Gładkie podeszwy clarksów ślizgały się, więc zaufał przede wszystkim chwytowi rąk. Raz na jakiś czas odwracał się i spoglądał w dół: gdyby spadł z tej wysokości, złamałby sobie kark i dziki rozszarpałby jego ciało, zanim ktoś by go znalazł.

Wspinaczka nie była łatwa, ale udało mu się dotrzeć na górę. Zauważył klapeę i pchnął ją dłonią: była ciężka, ale zdołał ją otworzyć. Opadła na bok z głuchym łoskotem. Gerber wsunął się w otwór i podciągając na rękach, dostał się do środka. Gdy tylko stanął na nogach, wyjął telefon z kieszeni płaszcza i włączył latarkę, by oświetlić kilkumetrowe pomieszczenie.

Było puste.

Natarczywy deszcz uderzał w falisty dach. Zza parapetu otaczającego całą budkę widać było tylko gęste zarośla, które pierwsze promienie słońca wydobywały z mroku: rozciągały się jak okiem sięgnąć. Sprawdził godzinę. Dochodziła szósta i była to mniej więcej ta sama pora, kiedy nagrano filmik, na który natrafił w internecie dzięki zagadce o skarpetkach nie do pary. Dlaczego więc nic tu na niego nie czekało? Przypuszczał, że znajdzie w tym miejscu jakiś przedmiot, może wizytówkę albo list. Tymczasem nic. Jaki sens miało to zaproszenie? Już zaczynał sądzić, że źle zinterpretował przesłanie zawarte w filmie, gdy spostrzegł, że otaczający krajobraz jest mu znany.

Choć nigdy wcześniej go nie widział.

Mała dolina pośród pradawnych lasów, z potokiem przecinającym ją niczym przezroczysta blizna i przerzuconym nad wodą kamiennym mostem... Nagle zdał sobie sprawę, że już tu był dzięki opowieści Nikolina. Ale to, co usłyszał od chłopca, było dziecięcymi wspomnieniami fabularza. W tej scenerii brakowało tylko jednego elementu.

Domu. W jego miejscu znajdowały się teraz ruiny, porośnięte chaszczami.

Gerber zrozumiał, że przeciwnik sprowadził go tu, by pokazać mu miejsca wydarzeń sprzed dwudziestu dwóch lat, opowiedziane ustami albańskiego chłopca. Tylko po co miał oglądać te zgliszcza? Co się stało przez te lata z gospodarstwem?

Może właśnie to pytanie powinien sobie zadać, by rozwiązać zagadkę z wyzwania rzuconego mu przez tajemniczego hipnotyzera. Gdy Gerber o tym myślał, dostrzegł światło poruszające się w lesie.

Jakiś człowiek wyposażony w latarkę zbliżał się do wieży z budką.

21

Pietro Gerber zgasił natychmiast latarkę w smartfonie w nadziei, że nie został dostrzeżony. Choć było to właściwie niemożliwe, biorąc pod uwagę punkt, w jakim się znajdował. W jego głowie na chwilę zapanował chaos. Pierwszym pomysłem był szybki powrót do terenówki i natychmiastowy odjazd. Uznał jednak, że po tej przeklętej śliskiej drabince nie uda mu się zejść szybko bez ryzyka runięcia w pustkę. Doszedł więc do wniosku, że najlepiej będzie zejść powoli z wieży i poczekać, aż nieznajomy się ujawni. Mimo że spotkanie budziło w nim obawy.

Nie wiedział, kto nadchodzi, i przede wszystkim nie miał pojęcia, jakie ma zamiary.

Uczepiony jeszcze metalowego pręta drabinki, ledwie zdążył postawić stopę na ziemi, gdy ktoś wyłonił się z płataniny gałęzi i skierował na niego snop bardzo jasnego światła. Gerber przesłonił oczy ręką i nie poruszał się, zastanawiając się, czy tamten nie celuje do niego z broni.

– Kto idzie? – zapytał autorytarnym tonem mężczyzna.

Użycie wojskowego wyrażenia wydało się Gerberowi dość dziwne.

– Właśnie stąd odchodzę – zapewnił, mając nadzieję, że to wystarczy.

Nieznajomy nic nie powiedział, ale zrobił jeszcze kilka kroków w jego stronę. Jasny promień światła i dokuczliwa mżawka wpadająca w oczy nie pozwalały Gerberowi zobaczyć, jak wygląda. Po chwili mężczyzna oświetlił go latarką od góry do dołu, by lepiej mu się przyjrzeć. Psycholog próbował sobie wyobrazić, co

temu człowiekowi może przychodzić do głowy na widok dziwnego typu w zamszowych butach i trenczu, włączącego się nad ranem w lesie.

– Nie ma pan ze sobą broni, prawda? – zapytał nieznajomy.

– Nie, proszę pana – zapewnił go Gerber.

Po chwili ciszy padło kolejne pytanie:

– Przyszedł pan po to?

Początkowo Gerber nie wiedział, o co chodzi; dopiero gdy mężczyzna rzucił mu coś pod nogi, psycholog spojrział w dół i cofnął się przerażony. Omal nie upadł.

U jego stóp leżały nylonowe sieci poplamione krwią i wypełnione truchłami schwytanych małych ptaków.

Nieznajomy ruszył w jego stronę i w końcu Gerber zobaczył go wyraźnie: około sześćdziesiątki, niezbyt wysoki, w zielonym berecie i mundurze, wysokich butach, z pasem z kaburą na pistolet. Strażnik leśny.

– Nie jestem kłusownikiem – zaczął się bronić Gerber, bo domyślił się, za kogo został wzięty.

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

– Widzę – rzucił w końcu. – Może pan powiedzieć, dlaczego tu jesteśmy?

Gerber nie zrozumiał, dlaczego użył liczby mnogiej.

– Proszę?

Nieznajomy nie powtórzył pytania, tylko się rozejrzał. Wydawał się zdezorientowany.

Gerber próbował wymyślić jakieś wytłumaczenie swojej obecności w lesie.

– Ale i tak muszę dać panu mandat – oświadczył mężczyzna, wskazując stojącą nieopodal terenówkę. – Nie miał pan prawa przyjeżdżać tym tutaj. Ten teren objęty jest zakazem poruszania się pojazdami silnikowymi. – Jego ton się zmienił, stał się bardziej życzliwy.

Gerber nie protestował.

– Zgoda – rzucił.

– Musi pan pojechać ze mną do biura i podpisać protokół – wyjaśnił leśnik. – Pojedziemy pańskim samochodem.

W tym momencie Gerber zauważył, że mężczyzna źle zapiął kurtkę, pomijając niektóre dziurki. Wyglądał przez to tak, jakby był przekrzywiony, zgięty w prawo. Gerberowi nie wydało się jednak, że powinien zwrócić mu na to uwagę, i po prostu ruszył przed nim w kierunku defendera.

22

Jechali w przeciwnym kierunku tą samą ubitą drogą, którą dotarł tu Gerber. Leśnik był małomówny; rzucił tylko kilka wskazówek, jak dotrzeć do biura straży leśnej. Zanim wsiadł do defendera, zapytał, czy może umieścić z tyłu pojazdu pułapki z ptakami, które znalazł w zaroślach. Gerber włączył ogrzewanie na maksymalną temperaturę, żeby spróbować osuszyć się trochę z deszczu, przez co ostry zapach dziczyzny stał się jeszcze bardziej intensywny.

– Jest pan dziennikarzem, prawda? – zapytał znienacka strażnik leśny.

Gerber odwrócił się na chwilę w jego stronę.

– Co takiego?

– Jeśli nie jest pan dziennikarzem, to co pan tu robi?

– Jestem psychologiem – powiedział.

Mężczyzna przyjął to do wiadomości bez komentarza.

– W każdym razie kręcili się tu przez cały dzień, aż do późna.

Gerber domyślił się, że chodzi o oddziały z psami i techników kryminalistycznych, którzy szukali ciała matki Nikolina.

– Niczego nie znaleźli – dodał leśnik.

Była to dobra wiadomość, bo dopóki nie odnajdą zwłok Miry, Baldi pozwoli Gerberowi prowadzić sesje z chłopcem. Ale czas, jaki miał do dyspozycji, wyczerpywał się, zdawał sobie z tego sprawę, a poza tym nocna misja w lesie nie powiodła się: nawet jeśli już wiedział, gdzie znajdował się dom dwunastoletniego chłopca z opowieści Nica, niewiele mu to pomoże.

– Mówią, że poszukiwania szczątków tej biedaczki przeniosą się teraz bardziej na północ – dodał mężczyzna.

Gerber, dopiero kiedy to usłyszał, uświadomił sobie, że jadąc do lasu, nie napotkał żadnych blokad drogowych i mógł tam dotrzeć bez problemu.

– Wierzy pan w historię, którą podają w wiadomościach? – zapytał strażnik leśny, nagle bardzo rozmowny. – Ja nie sądzę, żeby chłopiec w tym wieku zdołał sam przeżyć tyle miesięcy w tak dzikim miejscu jak to. – Zatoczył ręką łuk, wskazując na otoczenie. – Nawet gdyby znalazł schronienie w jakimś opuszczonym domu i próbował coś podkraść w okolicy, i tak byłoby mu trudno zaopatrzyć się w żywność.

– Nie wiem, co panu powiedzieć. – Gerber też się nad tym zastanawiał. – Jestem jednak przekonany, że wkrótce dowiemy się, jak to wszystko przebiegło.

Leśnik nie wracał już do tego tematu.

– Jaki mamy dziś dzień? – zapytał po chwili.

Psycholog skupił się na moment.

– Czwartek.

– I jest luty, prawda?

– Tak, dwudziesty piąty – potwierdził, choć pytanie wydawało mu się trochę dziwne.

Jak wcześniej w lesie, gdy mężczyzna zapytał go, dlaczego się tam znaleźli – w liczbie mnogiej – i potem nie czekał na odpowiedź, Gerber odniósł wrażenie, że ten człowiek jest trochę zagubiony.

Dopóki po przejechaniu jakichś pięciu kilometrów nie dotarli do celu, leśnik już się nie odzywał.

Mały posterunek straży leśnej stał na zadrzewionej polanie. Gerber zaparkował przed samym wejściem. Światło dnia padało już na znajdujące się w pobliżu tereny wiejskie.

– Proszę się rozgościć w środku, jest tam przyjemne ciepło – zaprosił go strażnik, otwierając bagażnik, by wyładować pułapki kłusowników. – Przygotuję panu kawę.

Gerber natychmiast skorzystał z zaproszenia. Drzwi wejściowe były otwarte i znalazł się w pomieszczeniu z biurkiem i łóżkiem polowym stojącymi koło żeliwnego piecyka umieszczonego dokładnie pośrodku pomieszczenia. Ciepło ognia przyjęło go życzliwie, jakby to małe schronienie na niego czekało. Rozejrzał się: posterunek składał się z tego pokoju i ciemnej małej łazienki za przeszklonymi drzwiami. Na ścianach wisiały mapy obszaru Mugello i stare plakaty z okazami lokalnej fauny i flory. Wisiały dziwnie ukośnie: ramy, w które były oprawione, wyglądały jak sylwetka strażnika, przechylone lekko w prawo. Ale to nie czas je przekrzywił – ktoś musiał zrobić to celowo, inaczej nie dałoby się wytłumaczyć harmonijnej asymetrii.

Ciekawe, pomyślał Gerber.

Obok wykonanego z brązu godła Służby Leśnej wisiał kalendarz. Data, którą mężczyzna z trudem próbował sobie przypomnieć w samochodzie, zaznaczona była na czerwono. Obok widniała notatka: *Wieża 68*. Dziwne, znów pomyślał psycholog. Pismo było niepewne i też pochylone w prawo. Uznał, że leśnik ma prawdopodobnie lekką formę dysleksji.

Odwrócił się, gdy rozległ się jakiś łoskot. Mężczyzna wszedł i rzucił pułapki z ptakami na biurko, nie przejmując się, że krew poplamił blat i leżące na nim papiery. Gerber zauważył, że podłoga usiana jest śladami jego clarksów.

– Przepraszam, że naniosłem tu błota – powiedział.

– Proszę się nie przejmować, potem zmyję... Ma pan wciąż ochotę na kawę?

– Oczywiście.

Leśnik zdjął czapkę, odsłaniając brak prawej małżowiny usznej. Na jej miejscu miał niewielki otwór w czaszce, a wokół mały skrawek chrząstki. Gerber uznał, że pewnie urodził się z tym zniekształceniem. Natychmiast odwrócił wzrok, bo mężczyzna zorientował się, że jest obserwowany.

Przeszedł do łazienki, gdzie miał wszystko do przygotowania kawy, odkręcił kran umywalki i napełnił kawiarzkę.

Tymczasem Gerber, wciąż skostniały z zimna, usadowił się obok piecyka. Myślał już o tym, żeby wrócić do domu, przebrać się i natychmiast udać do gabinetu, by przeczytać notatki, powtórnie obejrzyć filmik w internecie i spróbować zrozumieć, gdzie popełnił błąd. Sądził, że w lesie znajdzie nowy wyzwalacz do historii fabularza, ale nic z tego. Dotarł aż tutaj z powodu głupiej zagadki o skarpetkach nie do pary. Zaczynał podejrzewać, że mogło chodzić o sadystyczny żart jego przeciwnika.

– Jest pan tu sam? – zapytał, by oddalić tę dokuczliwą myśl.

– Zimą tak – odparł mężczyzna. – Natomiast w lecie i w sezonie łowieckim przyjeżdża jeszcze jeden kolega, bo jest znacznie większy ruch.

– I lubi pan tak siedzieć sam w lesie? – Tak naprawdę Gerber chciał zapytać, czy nie boi się pozostawać odcięty od reszty świata.

– Nie potrafiłbym już przebywać z ludźmi, przywykłem do takiego życia. Mam domek w mieście, ale kiedy tam jeżdżę, nie mogę spać: najmniejszy hałas od razu mnie budzi.

Gerber pomyślał, że ten człowiek mógł wybrać samotność również z powodu fizycznego zniekształcenia.

– A dlaczego zdecydował się pan na takie życie?

– Sądzę, że to dziedziczne. Mój tata też był leśnikiem.

Kiedyś Gerber chlubiłby się tym, że odziedziczył po ojcu zdolność usypiania dzieci. Teraz jednak nie opowiadał już nikomu, kim był pan B. Może również jego spotka taki sam los i Marco znienawidzi go, gdy dorośnie? Kto mógł to wiedzieć. Choć była to tylko przelotna i bezpodstawna myśl, i tak go zabolęła.

– Teraz postawimy kawę na piecyku – oznajmił mężczyzna bez ucha, wracając do pokoju. – A ja przygotuję protokół. Trochę będzie to pana kosztować – dodał niemal przepaszająco.

Gerber odwrócił się w jego stronę i żeby uniknąć patrzenia w otwór w jego czaszce, opuścił wzrok. Najpierw zobaczył, że strażnik – o dziwo – nie ma na nogach butów.

Potem zauważył, że jego skarpety są nie do pary, i to go sparaliżowało.

23

Pomyślał od razu o starej hodowczynie koni. O tym, że podobno od tygodni budziła się zawsze o tej samej godzinie, o 3.47. Albo że czuła się w jakiś sposób zmuszona chodzić z psami zawsze w to samo miejsce, do Valle dell’Inferno. A przede wszystkim o odczuciu, jakiego kobieta doznała tego ranka, kiedy jej setery znalazły Nikolina – że w lesie ktoś jest. Poczwała to chwilę przed tym, nim psy zaczęły szczekać.

Gerber nie przywiązywał wagi do jej relacji; przypisywał jej odczucia następstwu fazy REM albo emocjonalnemu stanowi osoby w pewnym wieku. Właściwie uznał je za majaczenie. Był niesprawiedliwy, a do tego nieodpowiedzialny, bo te informacje powinny go zaalarmować. A może był po prostu strachliwy, ponieważ nie byłoby mu łatwo stawić czoło konsekwencjom. W każdym razie teraz przyszła w końcu chwila, by zmierzyć się z prawdą i zadać pytanie.

– Dlaczego zdjął pan buty?

Leśnik spojrzał zmieszany na swoje stopy.

– Nie wiem – przyznał, nie znajdując wyjaśnienia. Po czym przeniósł wzrok na Gerbera: – Dlaczego je zdjąłem? – spytał i wydawał się wstrząśnięty.

Odkrycie skarpetek nie do pary nie było zwykłym przypadkiem. A wahanie mężczyzny tylko potwierdzało to, czego Gerber obawiał się najbardziej. Filmik nagrany przez fabularza w lesie służył wskazaniu mu nie tylko miejsca, ale również osoby. I teraz Gerber miał ją przed sobą.

Prawdopodobnie nie mając o niczym pojęcia, leśnik był w posiadaniu nowego wyzwalacza.

– W samochodzie zapytał mnie pan, jaki dziś dzień... Często zdarza się panu zapominać?

Mężczyzna wyglądał na zmieszanego.

– Jak już panu mówiłem, jestem psychologiem – przypomniał mu Gerber, by wzbudzić jego zaufanie.

– Tak – przyznał leśnik zaleknionym tonem.

– Czy to jedyna rzecz, jaką pan zapomina? – Gerber starał się za bardzo go nie denerwować.

Leśnik odstawił kawiarkę i przeciągnął ręką po czole, jakby chciał sprawdzić, czy ma gorączkę.

– Nie.

– Od jak dawna ma pan te drobne zaniki pamięci?

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

– Jakiś miesiąc, może trochę dłużej – odparł w końcu.

– Kiedy spotkaliśmy się w lesie, zapytał mnie pan, dlaczego tam jesteśmy – naciskał Gerber.

– Naprawdę? – Leśnik znów wydawał się zagubiony. – Byliśmy umówieni o świcie – powiedział po chwili.

Gerber pokręcił głową.

– Nigdy wcześniej się nie widzieliśmy.

– Rzeczywiście, to prawda – przyznał zdziwiony mężczyzna. – Jak więc to możliwe? Wiedziałem, że pan tam będzie...

Data zakreślona w kalendarzu i zapisek *Wieża 68* potwierdzały jego wersję. Wraz z ramami na ścianach przekrzywionymi na prawo i niesymetrycznym zapięciem kurtki stanowiły ewidentne znaki, które hipnotyzer powinien umieć zinterpretować. Nie chodziło o zwykłą dysleksję, na pewno było w tym coś jeszcze.

– Zadam panu dosyć szczególne pytanie – uprzedził Gerber. – Ale proszę nie pytać o powód i dobrze się zastanowić przed udzieleniem odpowiedzi.

Leśnik popatrzył na niego zaniepokojony.

– Zgoda.

– Czy zauważył pan ostatnio, że niektóre przedmioty, których stale pan używa, znajdowały się nie na swoim miejscu? – Psycholog wiedział, że zapuszcza się na grząski teren, ale nie miał innego wyjścia.

– Co ma pan na myśli?

– Klucze albo okulary leżące w dziwnych miejscach, przesunięte krzesło albo otwarte drzwi, kiedy powinny być zamknięte...

– Chce pan powiedzieć, że kładłem rzeczy nie tam, gdzie trzeba, albo nie zamykałem drzwi i tego nie pamiętam?

Mężczyzna bez ucha przyjął postawę obronną. Jego reakcja była zrozumiała. Gerber chciał jednak, by ten człowiek uwierzył, że ma problem zdrowotny, bo prawdziwe wytłumaczenie mogło być zbyt traumatyczne.

Strażnik leśny zastanowił się.

– Tak – przyznał w końcu niepewnym głosem. – W ostatnich tygodniach miałem wrażenie, że zapanował lekki bałagan... Drobne rzeczy... nic takiego.

– Jak założenie skarpetek nie do pary?

Leśnik znów spojrzał na swoje stopy.

– Zdarzyło mi się to po raz pierwszy, przysięgam. – Usprawiedliwiał się głosem dziecka, któremu banalna pomyłka wydaje się błędem nie do naprawienia. – Ale wczoraj w lodówce znalazłem szczoteczkę do zębów – wyznał.

– A zdarzyło się panu kiedykolwiek znaleźć się w jakimś miejscu i nie wiedzieć, jak pan tam trafił?

Mężczyzna nie musiał się zastanawiać.

– Kilka dni temu paliłem wieczorem fajkę przed domem, a chwilę potem byłem w środku lasu i było już zupełnie jasno – oznajmił i pobrał na twarzy. – Czy według pana coś ze mną nie tak? Czy cierpię na jedną z tych chorób, które

spowodują, że niedługo wszystko zapomnę, nawet jak się nazywam? – zapytał zaalarmowany.

– Nie sądzę, żeby o to chodziło – zapewnił go natychmiast Gerber. Jeśli dobrze się zastanowić, to w jego słowach nie było nic uspokajającego. Był to tylko jego sposób, by odkryć, czy się myli, ale nie chciał jeszcze bardziej przerażać tego człowieka. – Zrobimy mały test, zgoda? – zaproponował, udając, że poddaje go czemuś w rodzaju badania sprawdzającego jego zdolności poznawcze. Tymczasem chodziło o coś całkiem innego. – Lubi pan zagadki?

Mężczyzna skinął głową.

– Masz dwadzieścia sześć białych skarpetek, osiemnaście skarpetek czarnych i szesnaście czerwonych rozrzuconych w szufladzie w ciemnym pokoju. Ile skarpetek musisz wynieść z pokoju, by mieć szansę, że włożysz parę tego samego koloru?

Leśnik znieruchomiał i jego spojrzenie nagle zasnuło się mgłą. Trzeba być ekspertem, by rozpoznać ten sygnał, po którym szybko nastąpiło rozluźnienie ramion i rąk.

Gerber zrozumiał, że mężczyzna wpadł w trans. I że stało się tak za sprawą fabularza.

Zagadka miała moc otwarcia przejścia w głowie leśnika. Jak backdoor w niektórych systemach informatycznych. W hipnozie istnieje określenie dla podobnego zjawiska, choć jest ono dość konwencjonalne.

Brama do podświadomości.

Rodzaj sekretnej przejścia. Czasem terapeuta tworzy coś takiego, by zagwarantować sobie szybki dostęp do nieświadomości pacjenta bez konieczności poddawania go rytuałowi usypiania. Wystarczała precyzyjna i często nietypowa sekwencja słów albo gest – jak klaskanie określoną liczbą razy przy zachowaniu szczególnego rytmu – i wejście otwierało się na oścież. Tę procedurę stosuje się tylko w sytuacjach pilnych i ze zrozumiałych względów bezpieczeństwa znają ją tylko wybrani hipnotyzerzy. Odebranie komuś kontroli nad sobą wiąże się

z problemami etycznymi, dlatego też ucieka się do tego środka tylko w najpoważniejszych przypadkach, gdy istnieje konkretne ryzyko, że ktoś o osobowości borderline może wyrządzić krzywdę sobie albo innym.

Fabularz zahipnotyzował hodowczynię koni, programując ją w taki sposób, by stawiała się punktualnie na spotkanie z chłopcem w lesie. I to samo zrobił z leśnikiem, tworząc w jego umyśle drzwi, żeby wpuścić przez nie Gerbera, pod warunkiem że ten odgadnie otwierającą je kombinację. Najwyraźniej znalazł ją. Stan splątania był jednym z efektów ubocznych hipnozy, ale też wskazówką dla innego hipnotyzera.

Teraz jednak usypiaczowi dzieci nie pozostawało nic innego, jak zobaczyć, co z tego wyniknie.

Czekał w milczeniu. Strażnik leśny zrobił pierwszy krok, potem drugi. Kierował się w stronę żeliwnego piecyka. Gerber posuwał się za nim, zachowując odstęp, żeby na niego nie wpływać. Zobaczył, jak mężczyzna otwiera drzwiczki, wsuwa dłoń do środka i chwyta mały kawałek rozżarzonego węgla. Gerber nie zdążył go powstrzymać, ale odniósł wrażenie, że leśnik w ogóle nie poczuł bólu. Mężczyzna bez ucha podszedł do ściany, na której wisiały oprawione plakaty z roślinami i zwierzętami, i szybkimi ruchami ręki postrzącał je na podłogę.

Zaraz potem zaczął kreślić węglem linie na pustej ścianie.

Gerber obserwował go, próbując zrozumieć znaczenie szkicu. Wydawało się, że leśnik jest gnany jakimś niepowstrzymanym popędem. Po kilku minutach przestał rysować i stał, jakby kontemplując swoje dzieło. W rzeczywistości był po prostu otępiały. Psycholog wciąż nie zamierzał się wtrącać. Po kilku sekundach mężczyzna bez ucha upuścił na podłogę reszkę węgla.

Odwrócił się do Gerbera. Po czym ruszył nagle w jego stronę.

Ten, choć wystraszony, pozostał w bezruchu. Leśnik zatrzymał się kilka centymetrów przed nim, podniósł osmaloną rękę i trzykrotnie szybko go dotknął.

Ramię lewe. Czoło. Ramię prawe.

Gdy wykonał ten dziwny gest, jego nogi gwałtownie się zgięły i zaczął się osuwać. Gerber zdołał wyhamować upadek, chwytając leśnika w ostatniej chwili, i położył go na podłodze. Podtrzymując mu głowę, zbadał go, by sprawdzić, w jakim jest stanie.

Mgła przesłaniająca oczy leśnika rozproszyła się.

– Święty Boże! – zawołał. Nagły ból ręki przywrócił go do przytomności. – Ale co...? – Pytanie zamarło mu na ustach.

– Wszystko w porządku – powiedział Gerber i pomógł mu usiąść.

– Kręci mi się w głowie – poskarżył się mężczyzna.

– Niech pan głęboko oddycha, zaraz przejdzie.

Strażnik leśny popatrzył z przerażeniem na swoją poparzoną dłoń.

– Byłem tu, ale jakby mnie nie było... Nie wiem, jak to wytłumaczyć... Czuję się...

– ...więźniem – dokończył za niego psycholog, by dać mu do zrozumienia, że wie dokładnie, co próbuje mu powiedzieć.

– Tak. Ktoś prowadził moje ciało, a ja mogłem się tylko przyglądać. To było straszne.

Gerber obejrzał oparzenie: mimo wszystko nie było poważne.

– On tu był... – odezwał się nagle leśnik, który zaczynał sobie przypominać. – Był tu... – Z trudem przełknął kulę, która uwięzła mu w gardle.

Gerber zrozumiał, że jego słowa odnoszą się do fabularza.

– Pamięta pan, jak wyglądał?

Mężczyzna bez ucha zastanawiał się chwilę, po czym pokręcił głową.

– Widzę, jak krąży po tym pokoju, ale jest w moich wspomnieniach jak czarny cień... – Wskazał na ścianę. – To naprawdę ja zrobiłem? – zapytał z niedowierzaniem.

Gerber podniósł wzrok na rysunek. On też jeszcze w to nie wierzył. Na ścianie przedstawiony był koszmar. Dom bez drzwi, z jednym tylko oknem. Za oknem dwie ludzkie postacie bez twarzy. Jedna wyższa, druga niższa.

Ork i chłopiec.

24

Ojciec Gerbera był pierwszym autentycznym usypiaczem dzieci. I tylko dzieci miały prawo nazywać go „pan Baloo” albo „pan B.”. Właśnie dla nich przeobraził swój gabinet w *Księgę dżungli* i hipnotyzował je, puszczając piosenkę *Pod łapą masz* ze starej winylowej płyty, która zacinała się w połowie drugiego refrenu. Była to jednak sztuczka, bo dźwięk igły spadającej wciąż w ten sam rowek stawał się przewodnikiem w ciemności: podążając za nim, mali pacjenci bezwiednie osuwali się w trans.

To pan B. przekazał synowi swoją wiedzę.

Ale by zrozumieć, co skłoniło Pietra Gerbera do wybrania tego samego zawodu co ojciec, trzeba wiedzieć, że było dwóch różnych panów B. Jeden był tym, którego we Florencji wszyscy pamiętali jako chudego mężczyznę, trochę niezdarnego, ale też sympatycznego, noszącego zimą wytarty płaszcz Burberry, a latem okropne brązowe sandały. Który wszystkim mówił po imieniu i witał się szerokim gestem ręki, rysując w powietrzu niewidzialną tęczę. Który nosił zawsze w kieszeni kolorowe balony i cukierki, żeby częstować nimi każde dziecko, nieustannie roztargniony i rozczochrany. Uśmiechnięty wdowiec, wychowujący samotnie bardzo małego chłopca, który na pewno nie przechowa żadnego wspomnienia o matce. Ludzie i pacjenci uwielbiali go, a Pietro nigdy się temu nie dziwił, bo mieli ku temu wszelkie powody.

Ale oni nie znali drugiego pana B., ponieważ ten zarezerwowany był tylko dla syna.

Człowiek, który w domu izolował się w niewytłumaczalnym i niekończącym się zamyśleniu, niezdolny do okazywania jakiegokolwiek uczucia, do pocałunku czy pieszczoty. Człowiek, który sprawiał, że Pietro bardziej czuł się sierotą, która utraciła matkę, niż synem ojca. Człowiek, który nawet w chwili śmierci pozwalał się dręczyć ponurej tajemnicy i ostatnim tchnieniem, jakie mu pozostało, uwolnił swoją duszę, rujnując jednocześnie resztę egzystencji syna. Pietro nigdy mu tego nie wybaczy. Mimo to powinien być wdzięczny za to, że pan B. przekazał mu swoje zdolności. Bo o to właśnie chodziło.

O dar.

Zapisał się na wydział psychologii bez specjalnego przekonania, tylko po to, by uniknąć krytyki ze strony ojca, jak to bywało zazwyczaj ze wszystkimi jego wyborami. Pewny, że w tym przypadku senior nie będzie miał obiekcji, Pietro chciał przede wszystkim zyskać na czasie w oczekiwaniu, aż zrozumie, co tak naprawdę chce w życiu robić. Nie uważając się za następcę ojca, studiował bez większego zapału.

Pod koniec trzeciego roku wydarzyło się jednak coś, co wszystko zmieniło.

Do tamtej pory nie słyszał nawet o hipnozie. Z tego, co wiedział, pan B. był psychologiem dziecięcym, który współpracował czasem z sądem dla nieletnich i miał zwyczaj przyjmować pacjentów w fantastycznym świecie dekoracji zbudowanych z papier mâché. Jego specjalnością był fałsz. Tylko mistyfikator potrafiłby przekonać wszystkich, że może uzdrowić kruchą psychikę udręczonych dzieci, skoro nie był nawet w stanie zrozumieć psychiki jedyne go potomka. Jego metody były równie fałszywe jak uczucie do syna: Pietro Gerber nie żywił do niego szacunku. Choć studiował tę samą dziedzinę, nie interesował się zawodem ojca, dlatego nawet nie podejrzewał, co pan B. tak naprawdę robi.

Pietro odkrył to pewnej letniej nocy.

Ktoś potrząsnął nim, kiedy spał.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedział pan B. ku wielkiemu zdumieniu syna. Każde słowo tego zdania było niespodzianką: potrzebował wsparcia i prosił o nie

właśnie jego. Ale poważny ton, jakim wypowiedział te słowa, nie dopuszczał odpowiedzi ani komentarza. Tak więc nie domagając się dalszych wyjaśnień, Pietro wyskoczył z łóżka i pospiesznie się ubrał.

Zaraz potem siedzieli obaj w samochodzie i wyjeżdżali z miasta. Pan B. prowadził bez słowa, ale to nie było już dla syna niczym dziwnym. Uderzyło go natomiast zdanie poprzedzające to milczenie.

– Wezwała mnie Baldi.

Jeśli chodziło o oficjalne zlecenie, to czemu miała służyć jego obecność? Pietro nie miał żadnego doświadczenia, poza tym zdał mniej niż połowę egzaminów z planu studiów i wiadomo już było, że nie ukończy ich w terminie.

A jednak ojciec chciał go mieć przy sobie.

Okolo pierwszej dotarli do starej willi otoczonej neoklasycystycznymi rzeźbami, zagubionej pośród wiejskich terenów Garfagnany. Posiadłość była otoczona karabinierami. Po niebieskiej kokardce umieszczonej na widoku na furtce można się było domyślać, że w tym domu pojawił się niedawno noworodek. Młodzi rodzice – ludzie o wysokiej kulturze, bardzo majątni – należeli do arystokracji z Lukki. Byli w rozpacz, bo tego popołudnia synek zniknął z kołyski podczas snu, zabrany przez kogoś z nieznanego powodu. Ale wraz z upływem czasu coraz bardziej nabierało kształtu straszliwe podejrzenie, że za wydarzeniem stoi sześćioletnia siostrzyczka. Właśnie dlatego sędzia Baldi poprosiła o konsultację pana B.

Pietro nigdy nie zapomniał sceny, której był świadkiem tej nocy.

Zobaczył ojca, który siada obok dziewczynki, a potem wprowadza ją w trans, wykorzystując adapter i piosenkę ze starego filmu Walta Disneya. Gdy już pogrążyła się w uśpieniu, podał jej kartkę i kredki woskowe, po czym, dobierając łagodne słowa i wyważone zdania, przekonał ją, by pokazała mu, gdzie znajduje się w tej chwili jej braciszek. Mała narysowała dom i ogród ze studnią, która potem okazała się od dawna nieużywanym zbiornikiem na deszczówkę, ukrytym pośród roślinności.

Wtedy Pietro był po raz pierwszy świadkiem sesji „pisma automatycznego”, kiedy podświadomość przejmuje kontrolę nad świadomością. Sądził, że to sprawa osobników podających się za medium lub oszustów, którzy twierdzili, że pozostają w kontakcie z zaświatami; nie wiedział, że nawet Freud zajmował się tą nadzwyczajną metodą badawczą.

Ale dla niego, młodego studenta psychologii, najbardziej zaskakujące było to, że pan B. po uzyskaniu potrzebnej mu informacji nie zapytał dziewczynki, dlaczego to zrobiła albo czy jest świadoma, że zrobiła coś strasznego. Zamiast tego z dobroduszością i czułą troską zamknął bramę, którą otworzył doraźnie w jej umyśle.

– Teraz już się nie bój – powiedział.

W samochodzie w drodze powrotnej do domu Pietro długo zastanawiał się nad tym zdaniem. Nie wyglądało na radę, a raczej na prawdziwe polecenie wydane psychice dziewczynki, która zrobiła coś, co wykraczało poza jej zdolność rozumienia.

– Dlaczego powiedziałeś jej właśnie te słowa? – zdobył się na odwagę, by zapytać ojca.

Odniósł wrażenie, że pan B. spodziewał się tego pytania.

– Wraz z dorastaniem zda sobie sprawę z powagi swojego czynu i będzie musiała nauczyć się z tym żyć przez resztę swoich dni. Ofiarowałem jej tylko małą pomoc, by mogła zmierzyć się z tym, co nieuchronnie nadejdzie.

Była to odpowiedź oczywista i raczej wymijająca: Pietro miał wyraźne poczucie, że ojciec mógłby zrobić dla tej dziewczynki o wiele więcej, i gdyby nie było sędzi Baldi i innych, którzy go kontrolowali, prawdopodobnie by się przed tym nie uchylił. Pietrowi wydawało się, że ojciec jest w posiadaniu narzędzi pozwalających usunąć zdarzenie z pamięci dziewczynki, uwalniając ją od przyszłego poczucia winy i w pewien sposób czyszcząc jej los. Najwidoczniej pan B. uważał to za najwłaściwsze postępowanie. Jego zdolności hipnotyzera wykraczały daleko poza to, co tamtej nocy wykorzystał w praktyce. Poprosił syna,

by mu towarzyszył, bo chciał mu zademonstrować swoje umiejętności i dać do zrozumienia, że gdyby Pietro tylko zechciał, on oddałby mu do dyspozycji całą swoją wiedzę.

Po wielu latach, gdy wrócił na poddasze starej kamienicy w historycznym centrum Florencji i mijał zamknięte drzwi gabinetu pana B., Pietro Gerber pomyślał o nocnej eskapadzie z ojcem. W tamtym czasie nie mógłby sobie nawet wyobrazić, jakie możliwości niósł ze sobą dar, który miał otrzymać. Przede wszystkim nie sądził, że istnieje ktoś, kto potrafi korzystać z tego samego talentu. Jak fabularz.

To, co wydarzyło się ze strażnikiem leśnym – ten niezwykły eksperyment z pismem automatycznym – wykraczało poza kompetencje Gerbera i przerastało jego wyobraźnię. Choć przyznanie się do tego wiele go kosztowało, prawda była taka, że potrzebowałby pana B., by zrozumieć, co się dzieje. Ojciec na pewno wiedziałby, jak zareagować na te wstrząsające wydarzenia.

Jeśli chodziło o wyzwanie rzucone przez nieznanego hipnotyzera, Pietro Gerber zdecydowanie przegrywał ten pojedynek.

Dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że jest wykończony. Wycieczka do lasu w lekkim płaszczu była niewybaczalną lekkomyślnością; wciąż nie był w stanie pozbyć się wrażenia, że wilgoć przeniknęła mu pod skórę. Powinien wstąpić do domu, żeby się przebrać, może wziąć gorący prysznic, ale był już spóźniony. Poszedł do łazienki i zadowolił się potrzymaniem dłoni pod ciepłą wodą. Przeglądając się w lustrze, zauważył, że ma jeszcze na środku czoła ślad po węglu, po tym, jak dotknął go tam leśnik w stanie transu.

Lewe ramię. Czoło. Prawe ramię.

Zapisał tę sekwencję w notesie.

Umył twarz, zaparzył herbatę i połknął parę tabletek aspiryny; miał dreszcze i czuł rosnącą gorączkę. Nie mógł sobie pozwolić na chorobę; musiał wykorzystać

jak najlepiej wszystkie swoje możliwości. Na smartfonie zobaczył powiadomienie: nieodebrane połączenie od Silvii. Nie był zadowolony z tego, jak skończyła się ich ostatnia rozmowa, ale w końcu pokłócili się tylko z powodu Baldi. Choć sędzia zrobiła to dla jego dobra, nie powinna była prosić jego byłej żony o interwencję, żeby zmienił zdanie w sprawie ekspertyzy.

Nie wpakowałeś się w kolejny przypadek w stylu Hall, prawda?

Gerber miał już dzwonić do Silvii z wyjaśnieniami, ale się rozmyślił. Włożył telefon do kieszeni i z filiżanką parującej herbaty wrócił do pokoju i rozpałił w kominku.

Widok mężczyzny bez ucha wyjmującego z piecyka rozżarzony węgiel, jakby nie odczuwał żadnego bólu, zbulwersował go. Wyglądało to tak, jakby umysł i ciało nagle się rozłączyły i to drugie stało się tylko dodatkiem. Czymś, co można poświęcić.

Nasz umysł jest o wiele potężniejszy od naszej świadomości...

Strażnik leśny nie mógł pojąć tego, co mu się przytrafiło. Ale przecież nikt nigdy nie podejrzewał, że można tak łatwo znaleźć się we władaniu hipnozy, pomyślał Gerber, kładąc na stoliku obok fotela kartkę z wydrukiem zdjęcia rysunku nakreślonego na ścianie małego posterunku straży leśnej.

Dom bez drzwi. Okno. Ork z dzieckiem.

Ludzie są przekonani, że mają pełną władzę nad sobą i swoimi czynami. Wielu uważa hipnozę za szarlatanerię. Zazwyczaj są to też umysły, które najłatwiej przeniknąć. Dobry hipnotyzer pozostawia pacjentowi złudzenie, że ten wciąż panuje nad tym, co się dzieje wokół, a tymczasem sam przejmuje kontrolę nad tym, co zachodzi we wnętrzu pacjenta.

Zasada ta nie dotyczy dzieci.

Gdy czekając, aż strażnicy przyprowadzą Nikolina, odrywał karteczki z notatkami, które rozmiścił w pokoju po poprzedniej sesji, przypomniał sobie niektóre wskazówki pana B.

Ojciec powtarzał mu zawsze, że w przeciwieństwie do przyjętych opinii umysł dziecka albo nastolatka wcale nie jest tak przystępny. Dla terapeuty jest labiryntem. Łatwo do niego wejść, ale trudno wyjść. A najgorsze, że można się tam zgubić. Jeśli hipnotyzer gubi się w głowie małego pacjenta, dla dziecka nie ma ratunku: będzie dorastało z intruzem w podświadomości, co odbije się negatywnie na rozwoju psychiki.

To największa porażka dla kogoś wykonującego zawód Pietra Gerbera.

Starał się zawsze oczyszczać umysł z pozostałości traum, zabiżniać niewidoczne rany psychologicznej przemocy, które niczym zadrapanie zardzewiałym gwoździem mogły zostać z czasem zainfekowane. Ale nigdy dotąd nie musiał uwalniać pacjenta od czyjejś obecności, od pasożyta.

Wykorzystując Nica, fabularz chciał mu dać próbkę tego, czego sam doświadczył jako dziecko, kiedy był więźniem orka, który zmuszał go do nazywania siebie wujkiem. Gerber był ciekaw dalszego ciągu tej historii.

Na twoim miejscu nie schodziłbym do piwnicy.

Czerwone światełko na suficie gabinetu trzy razy zapaliło się i zgasło. Jego młody gość był na miejscu. Po chwili Gerber zaprosił na poddasze strażników i srogą pracownicę socjalną. Nikolin wciąż miał na sobie biały kombinezon, ale tym razem zdjęto mu wcześniej kajdanki. Poruszał się tak, jakby był sterowany pilotem albo stąpał po narysowanych na podłodze liniach, które widział tylko on.

– Czy trzymaliście go w izolacji, jak prosiłem? – zapytał Gerber. Jego głos stał się już nosowy z powodu nasilającego się przeziębienia.

– Tak – potwierdziła niechętnie kobieta.

– Monitorowaliście jego zachowania? Pojawiło się coś ciekawego?

– Nic, chłopiec wykonuje codzienne czynności, a przez resztę czasu siedzi i wygląda przez okno.

Gerber przyjął to do wiadomości i jego jedynym komentarzem było kichnięcie, którego nie zdołał powstrzymać.

Kobieta cofnęła się o krok.

– Dobrze się pan czuje, doktorze? – zapytała, bardziej zirytowana niż zainteresowana jego zdrowiem.

– Znakomicie, dziękuję – odparł pospiesznie.

Po chwili strażnicy i kobieta wyszli; jak poprzednio mieli poczekać na zakończenie sesji na dole, przed kamienicą. Gdy został sam z chłopcem, położył mu ręce na ramionach i poprowadził go do bujanego fotela.

– Mamy dziś dużo pracy – uprzedził.

Zaciągnął zasłony i pokój pogrążył się w nienaturalnym półmroku. Gerber usiłował wyglądać na pogodnego, ale był niespokojny.

– Wielu myśli, że hipnotyzerzy używają przede wszystkim bodźców wzrokowych, by wprowadzać ludzi w trans – powiedział, choć nie był pewny, czy chłopiec może zrozumieć w pełni sens jego słów. – Wahadełko puszczone w ruch przed oczami albo obracająca się szybko spirala... – Pchnął lekko fotel i Nico zaczął się bujać. – Niektórzy stosują przejścia dźwiękowe, jak ja z metronomem albo mój ojciec ze starą płytą. Natomiast najzdolniejsi hipnotyzerzy posługują się dotykiem... – Dotknął chłopca w trzech miejscach, tak jak zrobił to strażnik leśny.

Lewe ramię. Czoło. Prawe ramię.

Oddech Nikolina przyspieszył – w jego umyśle otworzyły się kolejne drzwi. To był wyzwalacz.

Gerber wrócił na swoje miejsce. Miał pytanie, które pozostawało w zawieszeniu od poprzedniej sesji, i teraz je zadał.

– Co było w piwnicy?

25

Nie ma nic. W piwnicy nie ma nic.

Wciąż to sobie powtarzam, próbując sam siebie przekonać, ale nie jestem w stanie. Leżę w łóżku i nie mogę spać; lęk mnie paraliżuje, wpatruję się w zamknięte drzwi. Na końcu korytarza jest pokój mamy i taty. W ich łóżku jest intruz, nie mogę w to jeszcze uwierzyć. Tak jak nie wierzę w ani jedno słowo z historii, którą mi opowiedział. Moi rodzice nie wyjechali, nie zabrali psa i nie zostawili mnie tu samego z tym człowiekiem, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Nie pojechali na wakacje beze mnie.

„Są w piwnicy”.

To nie ja wypowiadam to zdanie, to ktoś w mojej głowie. Pożyczył mój głos i teraz do mnie mówi, przypisując mi rzeczy, o których nie miałbym odwagi powiedzieć. I choć próbuję się mu sprzeciwiać, on nie odpuszcza. W tym momencie nie wiem, czy mam się bardziej bać „wujka”, czy siebie samego, bo mogę oszaleć.

Tuż przed świtem jestem tak wykończony, że poddaję się i zapadam w zły sen. Śni mi się w kółko to samo i nie jestem w stanie wydostać się z tego snu. Jak wtedy, gdy masz gorączkę, jesteś rozpalony i chciałbyś się obudzić, ale coś cię więzi. W tym śnie jestem z Bellą. Rzucam jej ulubioną zabawkę – gumowego Pinokia taty z czasów jego dzieciństwa – wydającą rozzwierający pisk, gdy ją naciśniesz. Bella biegnie po zabawkę, żeby mi ją przynieść. Ciskam daleko Pinokia, a pies mi go oddaje. W nieskończoność. Jestem zmęczony, ale Bella ani

trochę, muszę więc kontynuować. Potem zauważam jednak, że Bella to nie ta sama suka – kiedy biegnie, krwawi z brzucha. Tak, ktoś otworzył jej brzuch nożem identycznym jak ten, którego nieznajomy użył do obierania jabłka w kuchni, gdy po raz pierwszy go ujrzałem. Mój pies umiera, myślę. Choć nie wydaje się cierpieć z powodu tego, co mu zrobiono. Biega siłą przyzwyczajenia, bo przecież już nie żyje, tłumaczę sam sobie. Bella nie żyje i nawet tego nie zauważyła.

Wkrótce trafi do piwnicy.

Chcę wyjść z tego snu, chcę przestać rzucać tego przekłętego gumowego Pinokia. Może gdybym cisnął go trochę dalej, Bella nie zechce po niego pobiec. Próbuję, ale ona się nie poddaje, ponieważ nigdy nie rozstaje się ze swoją ulubioną zabawką. I chowa ją zawsze tam, gdzie nie zdołamy jej znaleźć.

Nigdy.

Gdy w końcu się budzę, zanim otworzę oczy, mija bardzo przyjemna sekunda pustki i spokoju, poza pamięcią. Ale już po chwili naciera na mnie prawda i udręka chwyta za gardło. Patrzę na siebie. Jestem w tym samym ubraniu, w którym wróciłem ze szkoły poprzedniego dnia; nie miałem nawet siły włożyć pizamy. Niby po co? – zastanawiałem się. Nieznajomy i tak zabije mnie we śnie. Efekt jest taki, że teraz jestem zlany potem i śmierdę.

Stwierdzam jednak ze zdziwieniem, że wciąż żyję.

Wstaję i otwieram cicho drzwi mojego pokoju, wyglądam na zewnątrz i nasłuchuję. Jest już jasno, ale dom wciąż pozostaje pogrążony w ciszy. Przebiega mi przez głowę myśl, że może ork sobie poszedł; byłoby to coś fantastycznego. Ale potem słyszę jego chrapanie. Czuję skurcz w brzuchu; niewidzialna ręka ściska mnie za wnętrzności i muszę pobiec do toalety, żeby nie zrobić w spodnie.

Potem schodzę na dół. Mógłbym wykorzystać sen mężczyzny i uciec. Pomyślałem o tym już wczoraj, ale teraz mam chyba więcej odwagi, by zrealizować ten pomysł. Tylko że kiedy wczoraj podsunąłem taką możliwość nieznajomemu, nawet nie mrugnął. Był wręcz pewny, że tego nie zrobię.

Jesteś bardzo sprytnym chłopcem.

Czemu go słucham? To szaleństwo! Powinienem przynajmniej spróbować. Lecz to jest właśnie moje typowe zachowanie: wycofuję się, wynajduję usprawiedliwienia, wymyślam tysiące powodów, by się poddać, i nawet przyznaję mu rację. Nie wiedząc więc, co innego mógłbym zrobić, siadam w pokoju na dole i czekam. Godzinę, dwie, trzy. Mój wzrok przebiega od kuchni, gdzie są drzwi prowadzące do piwnicy, do schodów, po których zszedłem.

Około drugiej po południu słyszę, jak otwierają się drzwi do sypialni moich rodziców, a potem dobiega mnie nieubłagany rytm kroków na stopniach. W końcu mężczyzna się pojawia: przeciąga się i ziewa, nie zasłaniając ust. Ma na sobie tylko majtki i skarpetki, jest rozczochrany.

– Dzień dobry – wita się jakby nigdy nic. – Dobrze spałeś? – pyta, jakby go to naprawdę interesowało.

– Tak – kłamię.

W odróżnieniu ode mnie wcale nie jest zdziwiony, że nie uciekłem. Zdaję sobie sprawę, że właściwie to nie on wzbudza mój strach, ale cała ta sytuacja. Jest tak absurdalna, że nie wiem już, co powinienem zrobić albo co jest słuszne. Wszystko mnie przeraża i zbija z tropu, dlatego nie mogę podjąć żadnej decyzji. Czuję się jak schwyтана w słoik jaszczurka, która boi się uciec przez uchylone wieczko – nie wie, co czeka ją na zewnątrz, woli więc raczej tam zostać i upiec się na słońcu.

– Jestem strasznie głodny – rzuca ork, po czym milknie.

Patrzy na mnie, a ja na niego i zastanawiam się, czego ode mnie chce. Po chwili to do mnie dociera i myślę sobie, że to absurd.

– Mam przygotować śniadanie? – pytam zdziwiony.

– Miałbym ochotę na dwa smażone jajka i kawę – potwierdza, gładząc się po brzuchu. – Ja tymczasem pójdę się ochlapać – oznajmia uroczyście, po czym wybucha donośnym śmiechem.

W życiu niczego nie gotowałem. Nie wiem, od czego zacząć. Ale obawiam się, że jeśli to przyznam, nie będę mu już do niczego potrzebny. A wtedy w jednej chwili się mnie pozbędzie. Postanawiam więc improwizować: spróbuję, może

przypomnę sobie coś z tego, jak obserwowałem mamę w kuchni albo tatę na kempingu. Przygotowanie dwóch jajek nie powinno być znowu takie trudne. Myślę intensywnie. Wchodzę do kuchni, mijam zamknięte drzwi do piwnicy, ale staram się nie patrzeć w ich stronę. Idę do spiżarni i biorę butelkę oliwy. Stawiam patelnię na gazie. Otwieram lodówkę i szukam jajek; widzę z ulgą, że jest ich sześć, więc mogę sobie pozwolić na jakiś błąd. Dokładnie w chwili, gdy zamykam drzwiczki lodówki, moje spojrzenie pada na podłogę. I serce podskakuje mi w piersi z głuchym hukiem. Czuję się jak ktoś, kto w odruchu litości wrzuca dopiero co złowioną rybę z powrotem do stawu, ale ona jest już martwa. To, co widzę, obezwładnia mnie i dobija.

 Za lodówką leży zaklinowany Pinokio Belli.

Nie wiem, czy chciałbym kiedykolwiek odkryć ostatnią kryjówkę ulubionej zabawki mojego psa. Raczej nie, bo to oznacza, że ten ktoś w mojej głowie ma rację. A skoro ktoś zdołał rozdzielić Bellę i tę przeklętą zabawkę, to znaczy, że dla całej reszty też istnieje jedno jedyne wyjaśnienie.

 Podnoszę gumowego Pinokia i kładę go na stole.

Potem szykuję kawę. Gdy słyszę skwierczącą oliwę, rozbijam jajka, ale ręka mi się trzęsie i żółtko rozplywa się na patelni. Może i tak będą mu smakować, a może nie. Mam to w nosie. Gdy wylewam białko po bokach i czekam, aż utworzy się przysmażona obwódka, mężczyzna wraca z łazienki i zasiada do stołu, który tymczasem nakryłem tylko dla niego.

 – Nie jesteś głodny? – pyta, widząc tylko jeden talerz.

 – Nie – odpowiadam, bo dziura w moim brzuchu jest taka sama jak u Belli ze snu: choć nie krwawi, i tak boli. A jeśli ją przyciśniesz, wydaje z siebie długi, przenikliwy jęk jak gumowy Pinokio. Chciałbym płakać, chciałbym wrzeszczeć, chciałbym uderzyć tego człowieka rozgrzaną patelnią.

 – Przecież będziesz musiał wrzucić coś na ząb – mówi, udając zatroskanie.

Ale nie daję się na to złapać; nie wierzę już w ani jedno słowo tego łajdaka, który zabił mojego psa.

– Nie jestem głodny – rzucam stanowczo, bo jestem teraz tak zły, że nie boję się stawić mu czoło.

Przygląda mi się badawczo.

– Co się dzieje, chłopcze? Co z tobą?

– Nic – odpowiadam, wiedząc, że moja mina mówi coś zupełnie innego. Następnie serwuję mu jajka.

Wpatruje się w nie w milczeniu i z głową cały czas pochyloną nad talerzem, mówi:

– Nieprawda, coś jest nie tak.

– Wszystko w porządku – obstaję przy swoim, próbując udawać twardziela, i nalewam mu kawę do filiżanki. Ale nieco piskliwy głos, który wydobywa się z mojego gardła, natychmiast mnie demaskuje.

Mężczyzna bierze do ręki widelec, ale po chwili się rozmyśla; odkłada go na stół i podnosi na mnie wzrok.

– Nie kpij sobie ze mnie, proszę.

Nie padają żadne przekleństwa. Ten człowiek nie przeklina, myślę. Nie powiedział: „Nie rób sobie ze mnie jaj, dupku” albo czegoś w tym rodzaju. Nie, nic z tych rzeczy! Powiedział: „proszę”! Doprowadza mnie to do szału, bo wiem, że on nie potrzebuje wulgarного języka, by być groźnym. I tak mu się to udaje. Wystarczy sam jego ton – złowieszczy, ale też uprzejmie okrutny, taki, jaki potrafią nadać wypowiedzanym słowom wyłącznie orki. Nie krzyczą, nie wściekają się. Ich ton głosu mówi wszystko. Przekaz jest bardzo jasny. Wpada ci do uszu i trafia prosto tam, gdzie powinien trafić. W to tajemnicze miejsce między żołądkiem a sercem, gdzie słowa utykają i stają się kipiącym czarnym strachem.

– Zrobiłeś krzywdę mojemu psu. – Nie jest to pytanie. To konkretne oskarżenie i tym razem przechodzi mi przez usta bez żadnego wahania.

– Nigdy bym nie skrzywdził twojego psa – oświadczam. – Już ci wyjaśniłem: twoi rodzice zabrali go ze sobą, kiedy odjechali kamperem.

– Nie wierzę ci. – Wiem, że bardzo ryzykuję, ale nie obchodzi mnie to. I tak, prędzej czy później, przyjdzie kolej na mnie. A jeśli mam skończyć w piwnicy, chcę sobie oszczędzić agonii przerażenia.

– Jak możesz być taki pewny, że nie jestem szczery? – podpuszcza mnie, odwlekając jeszcze trochę to, co nieuniknione.

– Bo powiedział mi to gumowy Pinokio. – Rzucam spojrzenie na leżącą na stole gumową zabawkę.

Przygląda się jej tak, jakby dopiero teraz ją zauważył.

– Masz rację – mówi.

Tego się nie spodziewałem. Te dwa słowa mają moc, która wysysa ze mnie wszystkie siły. Nie zdołam uciec przed tymi dwoma słowami, bo nie ma ratunku przed wyznaniem orka, który w końcu przyznaje, że jest orkiem. Może sobie pozwolić na szczerość, bo przecież nie ma nic do stracenia. To ty teraz przestaniesz żyć. I choć położenie kresu farsie wydało mi się aktem odwagi, to przecież o wszystkim decydował on. Był niczym kot zabawiający się z zepchniętą do narożnika myszą, który dopóki się nie znudzi, stwarza jej iluzję, że ją wypuści.

Jego cel się nie zmienia, przestał się tylko ze mną bawić.

– Pies nie jest z twoimi rodzicami – przyznaje. – I proszę cię, żebyś mi wybaczył, powinienem był powiedzieć ci prawdę.

Co to za kolejna gierka? Znam już prawdę, SKURWIELUŁAJDAKUDRANIU.

Mężczyzna przenosi wzrok z zabawki na mnie i wydaje się prawie skruszony.

– Twoi rodzice poprosili, żebym zaopiekował się też psem, ale gdy tylko odjechali, uciekł.

– Ona – poprawiam go zirytowany. – Wabi się Bella – oznajmiam, jakby wystarczyło wymówić jej imię, by dać mu do zrozumienia, że w to też nie wierzę i że na darmo próbuje mnie okłamywać. Mam dwanaście lat, ale nie jestem głupi.

– Bella zaczęła biec, wpadła do lasu i nie zdołałem już jej złapać – usiłuje się tłumaczyć. Ale po chwili sam rozumie, że to na nic.

Dlaczego kłamie? Może jestem mu potrzebny? Inaczej nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. Tak, do czegoś mnie potrzebuje. Ta myśl budzi we mnie strach, bo nie wiem, jakie ma wobec mnie plany. Może po prostu lubi patrzeć na moją bezradność. Gdy go to znuży, każe mi zapłacić za moją zuchwałość. A ponieważ nie odpowiadam na ostatnie wypowiedziane przez niego kłamstwo, bierze talerz z jajkami, filiżankę z kawą i widelec i pochyłony, z obrażoną miną idzie jeść do salonu. Rozsiada się na kanapie i włącza telewizor. Powinienem zapytać go o piwnicę.

Co jest w piwnicy, SKURWIELUŁAJDAKUDRANIU?

To właściwy moment, bo już nigdy nie zdobędę się na taką odwagę – tak czuję. Coś mnie jednak powstrzymuje.

Odpowiedzi boję się bardziej niż jego.

Siadam przy kuchennym stole i przez otwarte drzwi obserwuję pokój. Kark mężczyzny wpatrującego się nieruchomo w ekran. Zastanawiam się, co myśli, oglądając film lub reklamę nowego proszku do prania albo gdy zmienia kanały. Czego tak naprawdę szuka? Co tutaj robi? Czego ode mnie chce? Mijają godziny, a on nie robi nic innego. Wstaje tylko po coś do jedzenia albo żeby pójść do łazienki. Potem wraca zawsze na kanapę. Ignoruje mnie. Ten człowiek nie pali, nie pije alkoholu, nie narkotyzuje się. Nie ma żadnego z nałogów, jakie mają zazwyczaj źli ludzie.

Jest tylko leniwy.

Dlatego wzbudza we mnie jeszcze większy strach. Bo nie potrafię go w żaden sposób przyporządkować, jest ulotny. A to nie pozwala mi przewidzieć jego ruchów. Nie sposób obronić się przed takim człowiekiem. I jestem pewny, że – kiedy jego gniew eksploduje – wyrządzi mi wielką krzywdę.

Po jakimś czasie, pod koniec popołudnia, gdy światło zaczyna się ściemniać, widzę, że jego głowa lekko się przechyliła. To znak, że zasypia na kanapie. I wkrótce słychać pochrapywanie. Nie wiem jak, ale w tym momencie świta mi w głowie

pewien pomysł. Może jest sposób, by dowiedzieć się czegoś więcej o tym człowieku.

Chodzi o marynarski worek, który ze sobą przyniósł.

Jestem pewny, że znajduje się w sypialni rodziców. Wstaję więc z krzesła i stawiając ostrożnie kroki, by go nie zbudzić, wchodzę na górę. Otwieram drzwi i na widok rozgrzebanego łóżka i panującego tam nieładu ogarnia mnie nieskończony smutek. Porozrzucane rzeczy mamy i taty, intymność sprofanowana przez nieznanego. Piżama taty rzucona na podłogę. Kapatki, zawsze równo ustawione na dywaniku, są rozwleczone po pokoju. Tubka kremu do rąk mamy leży otwarta na szafce nocnej; nie wiadomo, gdzie jest zakrętka. W ten sposób krem wyschnie, mówię sobie, myśląc o delikatnym geście, jakim każdego wieczoru mama smaruje sobie skórę grzbietów dłoni, a potem starannie je masuje; przypominam sobie zapach jej pieśczośliwego dotyku, gdy przychodzi powiedzieć mi „dobranoc”. Wiem, że to się już nigdy nie zdarzy, że to wszystko minęło. Jakby jakiś kataklizm zmiotł nagle poprzedni świat. Nie mam jeszcze pojęcia, gdzie się ten świat podział, ale wiem, że nie wróci. Teraz jednak nie ma czasu na żal. Ork mógłby się obudzić.

Worek marynarski leży w kącie na podłodze.

Podchodzę i przyklękam. Rzucam ostatnie spojrzenie na drzwi, chwytam go, rozsupłuję sznurek, którym jest związany, i rozchylam brzegi płótna. W środku jest mało rzeczy, głównie ubrania. Wyciągam je, szukając portfela, dokumentów, czegoś, co mogłoby mi powiedzieć, z kim mam do czynienia. Skarpetki, majtki, biały T-shirt, niebieski podkoszulek, przetarte dzinsy, kolejna brudna koszulka, szorty do kolan, stara czapka bejsbolówka. Duży nóż, którym obierał jabłko. Biorę go i przyglądam się; mógłbym go zabrać i użyć przeciwko niemu. Zastanawiam się jednak, czy miałbym na to siłę. Odpowiedź brzmi: nie. W worku nie ma, niestety, portfela, żadnego dokumentu czy listu, które mogłyby ujawnić jego tożsamość. W jednej sprawie nie kłamał: w jego rzeczach nie ma komórki. Ale coś jednak znajduję.

Fotografię. A dokładnie – zdjęcie z polaroida.

Biorę je do ręki i przyglądam się młodej kobiecie stojącej przed ladą baru, sfotografowanej od pasa w górę. Ruda, włosy do ramion wydają się zaniedbane, jakby sama je obcinała. Ma na sobie biały bezrękawnik. Długie paznokcie pomalowane błyszczącym zielonym lakierem, już gdzieśgdzie popękany. Trzyma podniesiony kufel piwa, jakby chciała się ze mną stuknąć, i uśmiecha się do obiektywu. Nie jest to ładny uśmiech, wydaje się obleśny, a jej zęby są częściowo wyszczerbione.

Kim jest ta kobieta? Co ma wspólnego z orkiem?

Gdy się nad tym zastanawiam, mój słuch wychwytuje jakiś dźwięk, który wprowadza mnie w stan gotowości. Nie dochodzi z domu, ale z zewnątrz. Z daleka. Z bardzo daleka. Ale się zbliża. Wpycham wszystko do worka, bezładnie, byle szybciej. Nie wiem, czy mężczyzna zorientuje się, że grzebałem w jego rzeczach, lecz teraz nie mam czasu się tym przejmować. Wstaję, opuszczam pokój, schodzę na dół i biegnę do drzwi wejściowych. Otwieram je na oścież. Słońce schowało się już za horyzontem i niemal nad całą okolicą zapadł zmierzch. Pędzę przez łąkę, próbując znów wychwycić dźwięk, który wcześniej słyszałem. Modłę się, by to nie była pomyłka, zwykła halucynacja. Po chwili znów go słyszę pośród cykania wieczornych świerszczy. Dochodzi z lasu i niesie się echem w naszej małej dolinie.

Szczekanie psa.

Chwilę potem rozpoznaję bieg Belli, która przeskakuje z boku przede mną i radosna, biegnie mi naprzeciw. Tak, to naprawdę mój pies. Pędzę do niej, Bella rzuca się na mnie i padamy razem w pachnącą świeżą trawę. Nigdy w życiu nie czułem się tak szczęśliwy. Pies liże mnie po twarzy – też jest zadowolony. Cały jest w ziemi i błocie, ale to nie szkodzi, umyję ją porządnie.

– Gdzie byłaś? – pytam ją ze łzami w oczach.

Bella zaczyna szczekać.

W tym momencie widzę cień zbliżający się za naszymi plecami i mój uśmiech gaśnie. Bella zostawia mnie i biegnie powąchać rękę orka, który wyszedł z domu.

– Co ci mówiłem? – rzuca mężczyzna z nieobecnym wyrazem twarzy.

To oczy szaleńca, myślę. Nigdy nikogo takiego nie widziałem, ale wiem, że jest szaleńcem. Chciałbym, żeby mnie nienawidził, tymczasem patrzy na mnie głupawym wzrokiem. Ten człowiek nie jest zdolny do żadnych uczuć. To, co ja czuję, stojąc obok niego, nie jest już strachem, lecz chłodem. Właśnie to we mnie wywołuje – uczucie zimna. Zdaję sobie z tego sprawę dopiero teraz.

Mężczyzna głaszcze Bellę po pysku, po czym odwraca się, by wejść do domu.

– Cieszę się, że odnalazłeś swojego psa – mówi odwrócony plecami. – Naprawdę się cieszę.

Idzie powoli, spokojnym krokiem, ale to mnie nie zwodzi. Prędzej czy później pokażesz, kim jesteś naprawdę, myślę.

Prędzej czy później.

Obydwie opcje budzą we mnie przerażenie. Bo wiem, że w końcu okaże się, że się nie mylę.

26

Nikolin przestał opowiadać i wycofał się do zagubionego pokoju, ale tym razem usypiacz dzieci był przygotowany na przerwę. Chłopiec odwrócił się i spojrzał na niego ospałymi oczami, z tym co zawsze spokojnym wyrazem twarzy.

– Dobra robota – pochwalił go psycholog, wychylając się ze swojego fotela, by położyć mu rękę na kolanie. Ale w środku Pietro Gerber czuł gorycz, której nie potrafił zdławić. Słowa małego bohatera historii sprzed dwudziestu dwóch lat odbijały się echem również w tym pokoju.

Uprzejmy psychopata.

Gerber nie mógłby sobie wyobrazić bardziej przerażającego potwora. W odróżnieniu od zwierząt ludzie nie potrzebują doświadczenia i instynktu – człowiek jest zdolny obliczyć ryzyko w nieznanym sytuacjach i przedsięwziąć stosowne kroki. Ale nie da się rozpoznać zagrożenia, gdy to ukrywa się za maską dwuznaczności, pomyślał Gerber i dodał kolejny zapiszek do swoich notatek.

Tajemnicza rudowłosa.

Kim była kobieta z polaroida? W tym momencie myślał, że w celu wyjaśnienia tej zagadki musi znaleźć następny wyzwalacz, specjalnie go nie martwiła, bo tak naprawdę nie miał już ochoty słuchać dalszej części. Choć wiedział, że niewypełnienie poleceń fabularza będzie oznaczało pozostawienie na zawsze Nica samemu sobie jako więźnia własnego umysłu.

Wysłuchasz tego, co mam do powiedzenia... aż do końca.

Gerber nalał chłopcu szklankę wody z karafki, po czym obserwował go pijącego zachłannie, zastanawiając się, gdzie Nico jest w tym momencie, w której części siebie się zaszył, owładnięty strachem. Rozsunął zasłony i do pokoju wpadło dzienne światło. Wysłał esemesa do antypatycznej pracownicy socjalnej, by zawiadomić ją i strażników z zakładu, że sesja się skończyła, po czym odprowadził Nikolina do poczekalni. Razem z obstawą chłopca przysłała z niespodziewaną wizytą jeszcze jedna osoba.

– Możemy porozmawiać? – zapytała Anita Baldi, posępna i wyniosła niczym królowa w fioletowym płaszczu, z czarną torebką zawieszoną na prawym ramieniu i papierową torbą w drugiej ręce.

– Oczywiście, proszę wejść – zaprosił ją Gerber i zaprowadził do gabinetu. Nie umknął jego uwagi zadowolony uśmiezek pracownicy socjalnej; najwyraźniej spodziewała się, że psycholog dostanie naganę od sędzi.

– Czemu zawdzięczam zaszczyt? – spróbował rozluźnić atmosferę, wchodząc do pokoju.

– Sądziłeś może, że mnie całkowicie wyeliminowałeś? – Postawiła na podłodze papierową torbę. – To oczywiste, że jestem tu, by się dowiedzieć, jak przebiega terapia.

– Nie musiała się pani fatygować: mogła pani zadzwonić albo wezwać mnie do swojego biura. Stawiłbym się natychmiast, by przekazać, że nie ma jeszcze znaczących postępów – skłamał, próbując unikać jej spojrzenia.

Baldi zbliżyła się do niego o krok.

– Co się z tobą dzieje, Pietro? Naprawdę jesteś skłonny ryzykować karierę?

Chciałby powiedzieć, że nie ma wyboru. Że gdyby mógł, chętnie by się wycofał. Milczał jednak; wyjął z kieszeni spodni pogniecioną chusteczkę i wytarł nią nos.

– Spójrz na siebie: jesteś w opłakanym stanie – skomentowała sędzia, mierząc go spojrzeniem od stóp do głów. Zatrzymała dłużej wzrok na clarksach ubłoconych po nocnej wizycie w lesie. – Od jak dawna nie śpisz i nie zjadłeś przyzwoitego posiłku?

Najwyraźniej wyglądał o wiele gorzej, niż mu się zdawało. Czuł wprawdzie wory pod oczami, ciężar brudnych ubrań i wiedział, że nie pachnie najprzyjemniej. Ale to, co widziała Baldi, musiało być o wiele gorsze, przynajmniej wskazywał na to wyraz jej twarzy. Zgniół chusteczkę i wrzucił do rozpalonego kominka.

– Jestem tylko trochę przeziębiony – oznajmił, choć miał dreszcze i był rozpalony.

Sędzia nie skomentowała tej wymówki.

– A więc nie chcesz mi nic powiedzieć? – rzuciła.

– Czy zadowoliliby panią, gdybym powiedział, że nie wierzę, by Nikolin mógł zrobić krzywdę matce?

Baldi pokręciła głową.

– To by mi nie wystarczyło, chyba że zechciałbyś mi wyjaśnić, skąd bierze się twoje przekonanie.

Nie mogę, miał ochotę powiedzieć. Zdawał sobie sprawę, że rozczarował ją, gdy postanowił wycofać swoje orzeczenie w sprawie winy chłopca. Ale miał poczucie, że dzięki kontynuowaniu sesji z Nikolinem będzie mógł jej w końcu dostarczyć odpowiedzi. Jego optymizm był jednak bezpodstawny, skoro nawet nie wiedział, jaki jest ostateczny cel fabularza. Wiedział tylko, że ten nieznany mu hipnotyzer jest na najlepszej drodze do doprowadzenia go do szaleństwa.

– Chcę ci pokazać rzeczy znalezione w samochodzie, w którym Nikolin mieszkał z matką – powiedziała sędzia. Schyliła się, by wyjąć kartki z papierowej torby, i podała je Gerberowi.

Było to kilka rysunków.

– Nie wyglądają na dzieło dwunastoletniego chłopca, ale dużo młodszego, prawda? – powiedziała Baldi. Wyjęła z torby telefon zabawkę i kiedy go włączyła,

zaczął wygrywać wesołą melodię. – A to ulubiona zabawka Nica.

Psycholog zrozumiał, do czego sędzia zmierza.

– Rozwój jego umysłu nie odpowiada dacie urodzenia – przyznał. – Ale co z tego?

– Powiedziałeś właśnie, że masz wątpliwości dotyczące jego świadomości, choć nie chcesz mi zdradzić, skąd się biorą. Chciałabym, żebyś wiedział, że nawet jeśli potwierdzisz swoją początkową ekspertyzę, chłopiec i tak będzie się cieszył specjalnym traktowaniem ze względu na zaburzenia w funkcjonowaniu jego mózgu.

Przyszła, żeby go namówić, by dał sobie spokój. Jej argumenty wydawały się przekonujące i Gerber zgodziłby się z nią, gdyby nie był zmuszony kontynuować sesji z Nikolinem.

– Ten chłopiec jest niewinny i udowodnię to. Zaakceptowanie kompromisu nie byłoby właściwe. – Oddał jej telefon zabawkę. – Mój syn Marco ma taki sam – powiedział, by dać jej do zrozumienia, że jeśli chodzi o niego, dyskusja jest skończona.

Baldi była zaskoczona.

– Czy to ma coś wspólnego z powodami, które doprowadziły do rozpadu twojego małżeństwa? – zapytała, zapominając na chwilę, że zjawiała się tu oficjalnie jako sędzia sądu dla nieletnich. Chodziło jej o sprawę Hanny Hall, o historię dzieci i duchów.

Gerber otworzył szeroko oczy.

– Oczywiście, że nie – odparł oburzony. – Co to za pomysł? To pani wbiła go do głowy Silvii czy na odwrót?

– Nie potrzebuję się konsultować z twoją byłą żoną – oświadczyła.

Miał ochotę rzucić jej w twarz, że to nieprawda – Silvia wyraźnie mu powiedziała, że Baldi zadzwoniła do niej z prośbą, żeby zainterweniowała w sprawie zmiany jego decyzji dotyczącej ekspertyzy – ale powstrzymał się; nie chciał kierować rozmowy w tę stronę.

– Zrobiłam błąd, wzywając cię tamtej nocy – oświadczyła sędzia, chwytając torebkę. – Sądziłam, że nadal jesteś w stanie wykonywać swoją pracę, ale myliłam się. – Odwróciła się w stronę wyjścia, ale przede wszystkim w stronę zamkniętych drzwi do gabinetu pana B.

Gerber pomyślał, że poprzez ten milczący, choć teatralny gest chciała mu pokazać, jak wiele mu brakuje, by był taki jak ojciec. Prawdopodobnie brakowało jej pierwszego – autentycznego – usypiacza dzieci. I jak tu nie przyznać jej racji? Jej próbę wprowadzenia Gerbera w zakłopotanie przerwał dzwonek telefonu. Nawet nie przepaszając sędzi, sięgnął do kieszeni i odebrał połączenie.

– Doktorze, przepraszam, że przeszkadzam.

To była matka Lavinii, rozpoznał po numerze. W jej głosie pobrzmiwał niepokój.

– Co się dzieje?

– Dzwonili do mnie ze szkoły... Lavinia nie pojawiła się tam dziś rano.

Nie był to pierwszy raz – tej czternastoletniej dziewczynce od czasu do czasu wpadało coś takiego do głowy. Odkąd w jej psychice zaczęły następować zmiany, z powodu których trafiła do niego na terapię, często miała raptowne zmiany nastroju. Niejednokrotnie matka, która żyła od lat w separacji z mężem, zwracała się do Gerbera o pomoc w poszukiwaniach, kiedy córka nagle zniknęła. Lavinia zwykle uciekała na kilka godzin, najwyżej na pół dnia. Tylko nie dziś, błagał ją w myślach psycholog. Był rozbity, a na dodatek będzie musiał poszukać nowego wyzwalacza.

– Zobacz pani, że będzie tak, jak za każdym razem – próbował uspokoić kobietę.

Baldi patrzyła na niego zniecierpliwiona. Dał jej znak, by chwilę poczekała, ale ta nie dała mu nawet sekundy.

– Czy nadal masz zamiar wycofać swoje orzeczenie w sprawie Nikolina, jeśli zabroniłabym ci widywać chłopca?

– Przepraszam panią na chwilę – zwrócił się do matki pacjentki, po czym zasłonił dłonią telefon i zwrócił się ostro do sędzi: – Sama pani powiedziała, czyż nie? Jeśli znajdą się zwłoki matki, będzie pani mogła oskarżyć chłopca o zabójstwo nawet bez mojej profesjonalnej opinii. Ale do tej pory... również żeby uniknąć kompromitacji prokuratury przed prasą i opinią publiczną... losy tej sprawy zależą tylko ode mnie.

Sędzia zrozumiała, że nie ma powodu dłużej tam zostawać. Ale zanim odeszła, postanowiła coś jeszcze dodać:

– Godzinę temu psy gończe z wydziału kryminalistycznego wytropiły ślad po zapachu starego ubrania Miry.

Pietro Gerber poczuł się nagle zepchnięty do narożnika. Z jednej strony matka zaginionej nastolatki oczekująca na linii i licząca na jego pomoc – co przypominało mu, że opuścił swoich pacjentów, żeby zajmować się przypadkiem Nikolina – a z drugiej srogie ostrzeżenie Baldi. Właśnie po to tu przyszła, pomyślał.

Czas, który mu pozostał, nieubłaganie dobiegał końca.

W wieku dwudziestu trzech lat Pietro przygotowywał się do obrony pracy magisterskiej na uniwersytecie. Po nocnej wizycie w neoklasycystycznej willi w rejonie Garfagnany, kiedy to pan B. pokazał mu możliwości terapii za pomocą hipnozy, zmobilizował się i odrobił opóźnienia w planie studiów.

Nie odrzucał już pomysłu, by pójść w ślady ojca i zostać psychologiem dziecięcym.

Tyle że po tym, jak zobaczył go w działaniu, nie rozmawiali więcej o wydarzeniach tamtej nocy. Pietro wiedział, że musi poczekać na właściwy moment. I prawdopodobnie był tego świadomy również ojciec. Pewnego dnia Pietro poczuł się gotowy i pojawił się na poddaszu dwa kroki od piazza della Signoria. Ostatni raz był tam jako dziecko. Unikanie tego miejsca miało być oznaką buntu, a może chciał zaznaczyć, że on i pan B. różnią się i że to się nie zmieni. Tamtego dnia odłożył jednak na bok dumę i ufał, że ojciec nie okaże sprzeciwu. Przyjmując go w lesie z papier *mâché*, pan B. ograniczył się do wysłuchania jego prośby.

– Nauczyłbyś mnie? – zapytał po prostu Pietro, mając na myśli technikę hipnozy.

Ojciec, który miał wtedy niewiele ponad pięćdziesiąt lat, podszedł do niego i próbował wychwycić coś w wyrazie twarzy albo spojrzeniu syna. Może jakiś przeblýsk czystej ciekawości, niezbędnej, by zbliżyć się do pewnych tajemniczych spraw.

– Będę musiał przedstawić cię najpierw Bractwu Florenckich Hipnotyzerów i to oni zdecydują, czy cię przyjąć, czy nie.

Słyszając tę górnolotną nazwę, brzmiącą tak, jakby w tym stowarzyszeniu były jakieś próby wtajemniczenia, Pietro pomyślał natychmiast o czymś w rodzaju okultystycznej lub masońskiej sekty. Spotykali się w każdy czwartek wieczorem i zebrania odbywały się w jakimś sekretnym miejscu. Ojciec poprosił, by nie zadawał pytań, dopóki nie dotrą na miejsce.

Zaprowadził go na piazza Goldoni, gdzie mieściła się apteka Münstermann, założona w 1897 roku i znana z kilku medycznych preparatów, ale przede wszystkim z eliksirów piękna sporządzanych według receptur, które nie zmieniały się od dziesięcioleci. Pan B. chodził tam zawsze kupować dla żony specjalne fiołkowe mydło w kremie, a potem robił to także jako wdowiec, być może dla zachowania pamięci o tej tradycji.

Pietro nie domyślał się, że wizyty w tym miejscu miały też inny cel.

Weszli tam krótko po zamknięciu, wślizgując się pod do połowy opuszczoną roletą, która natychmiast została zamknięta przez niewysokiego mężczyznę w białym fartuchu.

Ten przywitał ich i oznajmił szeptem:

– Pozostali już przyszli.

Stare meble wydzielały woń aptecznych specyfików, które przez ponad sto lat nasycaly drewno. Na zapleczu, przechodząc pomiędzy flakonami o błyszczących barwach i wszelkiego rodzaju zapachach, Pietro i jego ojciec dotarli do małych drzwi, za którymi kryły się kamienne schodki prowadzące na piętra kamienicy. Weszli do czegoś w rodzaju pionowego tunelu. Wspinając się, Pietro zaczął coraz wyraźniej słyszeć męskie głosy, którym towarzyszyły śmiechy. Nie zdołał jednak zorientować się, o czym mężczyźni rozmawiają ani ilu ich jest. Po chwili dotarli na półpiętro.

Młody Gerber spodziewał się małej ezoterycznej świątyni, był więc nieco rozczarowany, gdy zobaczył stolik, przy którym dwaj mężczyźni w średnim wieku

grali w karty.

– To jak, dał się nabrać? – zwrócił się do pana B. jeden z nich. Było oczywiste, kogo miał na myśli.

– Przedstawiam ci Bractwo Florenckich Hipnotyzerów – powiedział ojciec, wykonując ręką teatralny gest.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Poza Pietrem, który skulił się w ramionach, speszony i wściekły z powodu żartu ojca.

– Napij się wina – zaproponował drugi z mężczyzn grających w karty i nalał mu kieliszek znakomitego Sassicaia.

W czasie kolejnych minut Pietro Gerber rozluźnił się i dowiedział, że to miejsce spotkań jest im uprzejmie udostępniane przez właściciela apteki i że ich trójka zna się jeszcze z czasów uniwersyteckich. Spotykali się raz w tygodniu na partyjkę, wypijali butelkę dobrego czerwonego wina i odnawiali stare ślubowanie przyjaźni.

– Tym razem brakuje jednego członka – poinformował go ojciec. – Zaprosiliśmy cię, byś zajął jego miejsce.

Dwie rzeczy charakteryzowały te spotkania.

Po pierwsze, wszyscy gracze byli hipnotyzerami. Pan F. był specjalistą w dziedzinie psychologii klinicznej i hipnozy leczniczej, a pan R. – w dziedzinie hipnozy regresyjnej. Nieobecnym tego wieczoru był pan Z., ekspert od parasomnii, który praktykował hipnozę snu, ale Pietro będzie miał okazję poznać go wkrótce, i to bardzo dobrze. Drugą osobliwością tego gremium było to, że zamiast w pokera albo w tressette, ćwiczyli się w grze pochodzącej z szesnastego wieku.

Do oblivio potrzebna była talia kart florenckiego tarota.

Mimo że Pietro nie znał tej gry, zaoferowano mu przy stole krzesło pana Z., żeby się uczył, obserwując pozostałych. W trakcie gry udawało mu się domyślić niektórych zasad, lecz przede wszystkim widział ojca, jakiego nigdy wcześniej nie miał okazji zobaczyć: nie tylko wesołego i wylewnego – jaki był zazwyczaj z nieznanymi, ale nigdy z nim – ale również niewiarygodnie dosadnego

w języku i zuchwałego. Zresztą w tym małym kręgu ożywały męskie nawyki i rytuały ugruntowane przez lata hulank, swawolenia i niewyobrażalnych pijatyk.

– Więc jak, Pietro, zaczynasz coś rozumieć z tej gry? – zapytał w pewnym momencie pan F.

Zapraszam na E><S i T e S. p L

Pietro zaryzykował odpowiedź.

– Tyle, że koniecznie musi być czterech: rozdający, jego partner, przeciwnik tasujący i jego partner. Że każdy ma konkretne miejsce przy stole. Że oprócz kart buław, denarów, kielichów i mieczy są też triumfy i Wielkie Arkana, które zawierają symbole, na przykład znaki zodiaku, albo alegorie, jak Koło Fortuny czy Diabeł. Że trzeba łączyć karty albo... I że Głupiec zakłóca grę.

– Nic więcej? – naciskał pan F.

Pietro poszukał karty w talii i pokazał mu ją.

– Nie zrozumiałem, do czego służy ta.

Przedstawiała dziwnego człowieczka bez oczu; zamiast nich miał przedłużone gładkie i szerokie czoło. Głowę trzymał wzniesioną ku firmamentowi gwiazd i planet.

– To dobrze, że dostrzegłeś właśnie tę figurę – pochwalił go pan R. – Prawdopodobnie za kilka lat ujawnimy ci, do czego służy.

– Za kilka lat? – odparł zuchwałym tonem Pietro, rzucając kartę na stół. – Jestem pewny, że w jakiejś zatęchłej bibliotece we Florencji znajduje się podręcznik do tej gry, który zawiera odpowiedź. – Myślał, że rzucił dowcipną ripostę, w duchu tego wieczoru. Ale obecni wymienili tylko milczące spojrzenia.

– Jestem przekonany, że jest tak, jak mówisz – powiedział pan F. – Istnieje jednak jakiś powód, dla którego ta bardzo popularna gra w pewnym momencie była we Florencji i w całej Toskanii właściwie zakazana...

Pietro był pod wrażeniem.

– Mówi się, że oblivio angażuje graczy tak bardzo, że tracą poczucie rzeczywistości – wtrącił się pan R. – Wielu z nich było tak wciągniętych, że

zapominali o picciu i jedzeniu, grali całymi dniami i nocami, aż padali z wyczerpania.

– Jak to możliwe? – zapytał Pietro. Uczył się o uzależnieniach od hazardu, ale nie potrafił pojąć, jak zwykła gra karciana może doprowadzić do zagrożenia śmiercią.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałeś – rzucił pan B. – Ale w tej grze są podstawy sztuki hipnozy.

Jego syn wykazywał sceptycyzm.

Pan F. znów podniósł kartę ze ślepych człowieczkiem pod rozgwieżdżonym nieboskłonem.

– Spójrz raz jeszcze na tę figurę.

Pietro pochylił się i odczytał podpis po łacinie.

– *Malleus Animi*. – Po czym go przetłumaczył: – Młot umysłu.

– Przyjrzyj się dobrze jego twarzy – zachęcił go pan R.

Ślepy człowieczek miał szeroko otwarte usta.

– Wydaje się zdumiony pięknem nieba – powiedział Pietro. – Ale jak to możliwe, skoro jest ślepy?

– To jest najmocniejsza karta oblivio – wyjaśnił pan F. – Przedstawia tego, który widzi umysłem: kiedy z talii wychodzi ta figura, ktoś oznajmia *Habemus Malleum Animi* i gra zostaje wyzerowana.

Habemus Malleum Animi, powtórzył w duchu Pietro.

– To tak, jakby gra nigdy nie istniała – dodał pan B., bo zorientował się, że syn nie chwyta sensu. – *Malleus Animi* jest jedynym, który zna prawdę, a także jedynym, który może przerwać iluzję, kończąc grę. Dopóki się nie pojawi, gra trwa. A jeśli karta nigdy nie zostaje odkryta, gracze są zgubieni.

– To jakby zostać uwięzionym w udawanym świecie – stwierdził Pietro.

– A jeśli już tak jest? – zasugerował pan F.

– Naszych pięć zmysłów służy temu, byśmy odczytywali to, co nas otacza. Mogą być one jednak oszukiwane – wtrącił się pan R., by wesprzeć kolegę. –

Jedynym Bogiem, jakiego znam, jestem ja. Inni i wszystko wokół mnie mogą być prostymi projekcjami mojej podświadomości. Takie samo rozumowanie możesz przeprowadzić ty i każdy inny.

– Natomiast to, co ja nazywam rzeczywistością, może być tylko grą... Jak oblivio – rozumował sprytnie Pietro.

Pozostali umilkli.

– I jedynym sposobem, by się tego dowiedzieć, jest... umrzeć – zakończył, zaskoczony własnym wnioskiem. – Wraz ze śmiercią powinna mi wrócić pamięć, bo Bóg nie może umrzeć, prawda?

Trzej mężczyźni popatrzyli po sobie, tym razem zadowoleni.

– Ojciec przyprowadził cię tu, żebyśmy mogli zahipnotyzować cię grą w karty – oznajmił pan F. – Myślisz, że jesteś na półpiętrze nad apteką, a tak naprawdę jesteś w dokładnej reprodukcji tego samego otoczenia, jakie odtworzyłeś w swoim umyśle.

Na chwilę zapadła cisza.

– Ale żeby się dowiedzieć, czy tak jest, powinienem wyzerować grę – odezwał się w końcu Pietro, biorąc kartę ze ślepym człowieczkiem. Przyjrzał się jej. – *Habemus Malleum Animi* – powiedział i już miał ją rzucić.

– Nie zawsze trzeba umierać – wtrącił się pan B., przytrzymując go za rękę. – Czasem wystarczy pogwałcić jedną z zasad rządzących światem, w którym się znajdujesz.

– Na przykład możesz spróbować latać – rzucił pan F., zachowując powagę.

– Widzisz to okno? – Pan R. wyciągnął rękę. – Otwórz je i skocz. Jeśli to, co cię otacza, nie jest realne, obudzisz się. Jeśli jest, najwyżej złamiesz nogę.

Pietro patrzył na nich po kolei, próbując uchwycić ich reakcję albo spodziewając się, że któryś z nich się zdradzi. A potem, dłużej nie zwlekając, upuścił kartę ze ślepcem i podniósł kieliszek wina.

– Pieprzyć *Malleus Animi*, nie potrzebuję znikąd wyskakiwać! Jutro wieczorem mam spotkanie z holenderską turystką, którą poderwałem dziś rano w Galleria

dell'Accademia. W zależności od tego, czy dziewczyna przyjdzie, czy nie, będę miał odpowiedź.

Wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem.

Po wielu latach od tego zdarzenia i tej lekcji Pietro Gerber wciąż nie potrafił w pełni zrozumieć mechanizmów rządzących tajemnicą *Malleus Animi*.

Potęga umysłu, który oszukuje sam siebie.

Podczas ostatniej sesji z Lavinią użył niekonwencjonalnej techniki. Przekonał dziewczynkę, że znajdują się nad morzem, w willi jej babki w Forte dei Marmi, choć nawet się nie ruszyli z gabinetu na poddaszu. Zrobił to, by zachęcić ją do otwarcia zbyt długo zamkniętych drzwi w tamtym domu, a przede wszystkim w jej umyśle. Pacjent jest zazwyczaj świadomy, że znajduje się w transie – odebranie mu poczucia rzeczywistości jest niewłaściwe i niebezpieczne, bo ktoś może całkowicie stracić orientację, dopuścić do siebie wątpliwość, czy wciąż jest w stanie hipnozy, i może nawet rzucić się z okna, tylko po to, by spróbować się obudzić.

Gerber oszukał dziewczynkę i czuł się wobec niej winny.

Ciekawe, dokąd poszła na węgry. Miał nadzieję, że nie wplątała się w jakieś tarapaty albo nie natknęła na kogoś o złych zamiarach, gotowego wykorzystać jej kruchość. Ostatnim razem, gdy zniknęła bez śladu, odnaleźli ją kompletnie pijaną w lasku na peryferiach, z grupką przypadkowo poznanych rówieśników.

Był więc bardzo zaniepokojony.

Pod koniec długiego dnia poszukiwań krążył jeszcze samochodem po mieście w nadziei, że spotka Lavinie w uliczkach wokół dworca kolejowego, miejscu spotkań włóczących się dzieciaków, które chciały uniknąć wzroku sił porządkowych.

Zadzwoniła komórka. To była Silvia.

Powie jej, że żałuje, jak potoczyła się ich wczorajsza rozmowa telefoniczna.

– Słuchaj, przykro mi z powodu ostatniego razu – zaczęła niespodziewanie była żona, uprzedzając go. – Nie można nigdy pozwolić, żeby złość przejęła nad nami

kontrolę. Mówię to parom, które przychodzą do mnie po poradę: gniew nie zawsze jest negatywny, ale musi mieć cel i to my mu go dostarczamy.

Była to wprawdzie gotowa formułka, ale Silvia miała rację. Zdziwiło go, że rozmawia z nim z takim spokojem.

– Mnie też jest przykro – powiedział. – Ale ja przynajmniej nie będę zmuszony zwrócić części moich honorariów – dodał, żeby rozluźnić atmosferę. Udało mu się ją rozśmieszyć. Kiedy ostatni raz słyszał, jak się śmieje? Nie pamiętał.

– Może powinniśmy zacząć używać między sobą innych słów.

– I zrezygnować z pewnych argumentów – dodał, bo zdał sobie sprawę, że komunikują się, już wyłącznie robiąc sobie wyrzuty. – Dla dobra Marca.

– Dla jego dobra – zgodziła się. – Jak się masz? – zapytała ni stąd, ni zowąd. To też było czymś, co się od dawna nie zdarzało; Silvia nie interesowała się już jego stanem zdrowia.

– Dobrze – skłamał.

– Słyszałam, że nie wyglądasz najlepiej.

– Znowu Baldi? – Podniósł oczy do nieba.

– Znajomi, którzy widzieli cię, jak krążysz po Florencji – sprostowała Silvia. – Mówią, że się postarzałeś.

– Wielkie dzięki – odparł, udając obrażonego. W innym momencie odpowiedziałby, że to nie jej sprawa, już nie. Ale w tej chwili docenił, że była żona okazała troskę. – Rzuciłem się w wir pracy.

– Ciągle sprawa tego chłopczyka?

– Chwilowo szukam czternastolatki, która bez wiedzy matki nie poszła dziś do szkoły.

– Rozumiem. – To był jedyny komentarz Silvii.

Po nim nastąpiło długie niezręczne milczenie.

Gerber ubolewał, że nie mają innych tematów do rozmowy; ona prawdopodobnie czuła to samo.

Potwierdziła to, mówiąc:

- Może następnym razem pójdzie nam lepiej.
- Ważne, że udało się coś wyjaśnić.
- Uważaj na siebie – rzuciła, zanim się rozłączyła.

Sprawiło mu to przyjemność, nie mógł zaprzeczyć. Może rzeczywiście był to nowy początek, kto wie? Odłożył telefon na siedzenie obok i dostrzegł chudą postać odwróconą plecami, idącą jakieś sto metrów przed nim.

Rozpoznał ją po szkolnym plecaku, za dużym dla takiego jak ona patyka.

– Podwieźć cię? – zapytał z uśmiechem przez opuszczoną szybę, kiedy się z nią zrównał i jechał wolno wzdłuż chodnika. – Proponuję gorącą czekoladę w Rivoire. – Nikt z jego pacjentów nie potrafił się oprzeć wspomnieniu o historycznym lokalu Fabbrica di cioccolata a vapore, mieszczącym się przy piazza della Signoria. – Co ty na to? A do oferty dodam bitą śmietanę i ciasteczka kokosowe.

Lavinia szła dalej nadąsana i nawet na niego nie spojrzała.

– Odwołał pan wizytę dziś po południu.
– Musiałem – próbowałem się usprawiedliwić. – Przykro mi. – Dla niektórych pacjentów nawet najmniejsza zmiana rutyny może być destabilizująca.

Dziewczynka nie zatrzymała się.

– Dlaczego moja matka mnie do pana posyła, panie doktorze?
– Bo nie jesz wystarczająco dużo czekolady – odparł żartobliwie. Była to półprawda, ponieważ anoreksja Lavinii była tylko konsekwencją. Przyczyna leżała zupełnie gdzie indziej.

– Nie tylko z powodu jedzenia, prawda? – zdemaskowała go.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Wsiadaj do auta, porozmawiamy o tym – zachęcił ją.

– Niech pan odpowie teraz.

– Znasz umowę – przypomniał jej.

– Zaczynać od początku – powtórzyła jak pilna uczennica.

– Więc jeśli chcesz poznać powód, musisz sama go odkryć.

Wreszcie Lavinia się zatrzymała i odwróciła do niego.

– Czy za tymi drzwiami jest coś, co mnie przestraszy, panie doktorze? – zapytała bojaźliwie.

Ogarnęło go współczucie dla tej bezbronnej dziewczynki, bo była to prawda: żeby wyzdrowieć, będzie zmuszona zmierzyć się z czymś przerażającym.

– Cokolwiek jest po drugiej stronie, będę z tobą – obiecał.

Lavinia zastanawiała się przez chwilę, po czym zgodziła się.

– Dobrze – rzuciła. – Więc proszę mi to pokazać...

28

Ostatni wpis dotyczący sprawy Nikolina mówił o tajemniczej rudowłosej kobiecie ze zdjęcia. Gerber zamknął notes i odłożył na bok, żeby zająć się Lavinia.

Włączył elektroniczny metronom stojący na stoliku obok jego fotela i natychmiast w pokoju rozległy się niskie metaliczne uderzenia. Dziewczynka bujała się już na fotelu, na którym kilka godzin wcześniej siedział Nico. W odróżnieniu od albańskiego chłopca miała zamknięte oczy.

Gerber, czekając, aż dostrzeże na jej ciele sygnały odprężenia, otworzył czarny notes poświęcony przypadkowi Lavinii, żeby zapisać to, co wkrótce się wydarzy. Tego dnia całkowicie zaniedbał sprawę fabularza, nie dotrzymując ich ustaleń. Nie wiedział, czy jego brak zainteresowania pociągnie za sobą jakieś konsekwencje, ale chwilowo Lavinia miała pierwszeństwo. Kiedy zyskał pewność, że dziewczynka jest całkowicie spokojna, skupił się na niej.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

– W willi babci, w Forte – powiedziała.

Wróciła tam sama. To był znakomity początek.

– Lubisz tu być?

– Tak. Dziś świeci słońce, jest bardzo gorąco, ale dobrze mi... Chciałabym się wykąpać.

– Niedługo – obiecał. – Teraz jest jeszcze wcześnie, musisz mi pokazać resztę domu, pamiętasz?

– To był pokój mamy, kiedy była w moim wieku – powtórzyła to, co powiedziała poprzednio. – Ale teraz jest mój. Tam jest sypialnia babci.

– A dalej jest zamknięty pokój – przypomniał jej Gerber. Zorientował się jednak, że Lavinia nie jest jeszcze gotowa: wierciła się, była niespokojna. Zmienił więc taktykę. – Opowiedz mi coś jeszcze o tym domu, dobrze?

– No więc... Kiedy tata i mama byli jeszcze razem, spędzaliśmy tu weekendy przez całe letnie wakacje... Tak naprawdę w lecie byliśmy tam ja, mama i babcia, tata dojeżdżał do nas w piątki i wyjeżdżał w niedzielę po południu, żeby wrócić do pracy do Florencji... Jest adwokatem i ważnym człowiekiem, wie pan? – oświadczyła z dumą.

– Tak, wiem. – Ojciec Lavinii był bardzo znanym w mieście specjalistą od prawa cywilnego. – I nikogo więcej tu z wami nie było? – zaryzykował.

Lavinia milczała przez chwilę.

– Jest naprawdę gorąco – odezwała się w końcu, zmieniając temat. – Mam ochotę na lody. Mogę?

Gerber pozwolił jej.

– Oczywiście, jaki smak lubisz?

– Waniliowe i czekoladowe.

– Proszę: waniliowe i czekoladowe – powiedział, po czym zobaczył, jak dziewczynka podnosi do ust niewidzialny rożek i liże go z satysfakcją. – Dobrze?

– Bardzo, dziękuję.

– Na czym stanęliśmy?

– Mówiłam, że tata przyjeżdżał do nas w weekendy. W sobotę wieczorem szliśmy zawsze na kolację do Almarosy, a w niedzielę chodziliśmy do restauracji na rybę. Potem kąpaliśmy się jeszcze w morzu i około czwartej tata wsiadał do samochodu i odjeżdżał.

– Brakuje ci tamtych czasów?

Lavinia zastanowiła się chwilę.

– Myślę, że tak.

– Nie jesteś pewna?

– Wiele się zmieniło...

Gerber znów zaryzykował pytanie:

– Czy rodzice wyjaśnili ci kiedykolwiek, dlaczego się rozstali?

– Nie, ale... ale sądzę, że to była też trochę moja wina.

Powiedziała to ze spokojem, co go nie zaskoczyło.

– W jakim sensie? Możesz to wyjaśnić, proszę?

– Nigdy mi tego nie powiedział, ale tata nie mógł już przebywać w pokoju, jeśli ja tam byłam.

To była znacząca informacja.

– A znasz powód?

– Chyba przez to, jak wyglądałam.

– Bo odmawiałaś jedzenia i byłaś za chuda?

Lavinia myślała przez chwilę.

– Nie, nie dlatego.

– A więc dlaczego? – nalegał.

Kolejna chwila ciszy.

– Może naprawdę powinnam otworzyć te drzwi, panie doktorze...

Odłożył notes i splótł palce w oczekiwaniu. Może naprawdę nadszedł moment, który przygotowywali z uporem i ogromną cierpliwością.

– Dobrze, trzymam cię za rękę i pamiętaj, że przez cały czas będę obok ciebie.

Lavinia skinęła głową i odetchnęła głęboko. Jej klatka piersiowa unosiła się i opadała coraz szybciej, uderzenia serca i oddech przyspieszały.

– Wchodzę – poinformowała go. – I jak pan powiedział: drzwi nie są zamknięte na klucz.

Odczekał kilka sekund, po czym zapytał:

– Co widzisz?

Na twarzy dziewczynki pojawił się grymas irytacji.

– Jest ciemno – powiedziała. – To bardzo dziwne, bo na zewnątrz jest jeszcze dzień.

– Ktoś pewnie spuścił rolety.

– Nie dlatego... I brzydko pachnie.

Gerber nie chciał, żeby sprawa przybrała nieprzyjemny obrót; nie tak miało się to odbyć.

– Zapomnij o zapachu, pozwól, by twoje oczy przyzwyczyły się do ciemności, a potem powiedz, co tam jest...

– Ktoś jest w pokoju – oznajmiła pewnym głosem.

– Gdzie?

– W łóżku. – Potem sprecyzowała: – Śpi.

– Możesz podejść do łóżka?

Lavinia milczała.

– To niemożliwe – odezwała się w końcu cichutko.

– Co jest niemożliwe?

– W tym łóżku jest jakaś dziewczynka, ale...

– Ale?

– To ja jestem tą dziewczynką – oświadczyła wstrząśnięta. – To właśnie ja!

– Wszystko dobrze – zapewnił ją Gerber. – Jest na to wyjaśnienie, uwierz mi.

– Co się dzieje, panie doktorze? Nie rozumiem... – Zaczęła panikować. – I dlaczego ta dziewczynka się nie budzi?

Nie odpowiedział jej; musiała dojść do tego sama. Bo Lavinia знаła prawdę, choć ją wyparła.

– Nie śpi, nie oddycha – stwierdziła. – To jestem ja i nie oddycham – dodała zaalarmowana. – Niech mi pan pomoże, proszę...

Oto dotarliśmy do sedna, pomyślał.

– Co jej się stało według ciebie?

– Chyba umarła... To ja umarłam... – Jej głos stał się piskliwy z powodu paniki. – To znaczy, że ja nie żyję?

Gerber zrozumiał, że powinien interweniować.

– Lavinio, kim jest ta dziewczynka? Dobrze jej się przyjrzyj...

Jego pacjentka jakby się zablokowała.

– Emma... – powiedziała w pewnym momencie.

– A kim jest Emma? – zapytał, próbując jej pomóc.

– To moja siostra bliźniaczka – odparła w końcu dziewczynka. A potem już niepytana kontynuowała: – Emma umarła dwa lata temu. Wzięła dwie pigułki z szuflady babci, poszła się położyć i już się nie obudziła.

Ogromnie współczuł swojej młodej pacjentce, bo to właśnie ona odkryła prawdę następnego ranka w tym pokoju.

– Byłyśmy zawsze bardzo ze sobą związane. Łączyło nas coś, co nazywałyśmy niewidzialną nicią... Pewnej zimy pojechałyśmy z rodzicami w góry. Kiedy tam byliśmy, Emma dostała wysokiej gorączki, więc mama została z nią w chacie, a ja poszłam na narty z tatą. Gdy zjeżdżałam ze stoku, upadłam i złamałam nogę w kostce. Tata nie powiadomił o tym mamy i Emmy, żeby się nie martwiły. Ale jak jechaliśmy do szpitala, mama zadzwoniła do niego i powiedziała, że Emma poczuła nagle bardzo silny ból w kostce... Moja siostra wiedziała, że zrobiłam sobie krzywdę. I to był tylko jeden z wielu razy, kiedy któraś z nas czuła to co ta druga...

– Zrobiła pauzę. – Dlaczego ona to zrobiła, panie doktorze? Wydawała się szczęśliwa. Dlaczego Emma się zabiła?

Właśnie to było dramatem Lavinii, a także przyczyną jej anoreksji: że nie zdołała wyczuć w sobie sygnału tego, co czeka siostrę bliźniaczkę. Niewidzialna nić tym razem nie zadziałała.

– Niestety, tylko Emma mogłaby nam to wyjaśnić – powiedział w nadziei, że będzie to dla niej pociechą.

Potem Lavinia zrozumiała coś jeszcze.

– Tata nie jest w stanie przebywać ze mną w jednym pokoju, bo wciąż widzi Emmę, prawda? Dlatego zostawił mamę.

– Chciałabyś, żeby do was wrócił?

– Nie – odpowiedziała natychmiast. – On nie czuje się dobrze... A ja nie chcę, żeby tata czuł się tak źle.

Lavinia miała łzy w oczach, ale Gerber wiedział, że to płacz uwolnienia. Nie wyzdrowiała; tę sesję należało uznać za nowy początek w terapii. Droga do przebycia była jeszcze długa. Ale na dziś powinno wystarczyć.

– Dobrze, teraz możesz opuścić pokój i zamknąć drzwi.

– Będę musiała tam wrócić, prawda?

– Obawiam się, że tak – przyznał Gerber. – Ale pomyślimy o tym następnym razem... Teraz jak zwykle odliczymy od dziesięciu, a potem może zabiorę cię na prawdziwe lody. Jesteś gotowa?

– Proszę poczekać – powstrzymała go dziewczynka. – Emma mówi...

Dziwne, pomyślał. Prawdopodobnie Lavinia nie miała ochoty rozstawać się z siostrą, co było zrozumiałe. Ale i tak musiał ją od niej odłączyć.

– Przykro mi, Lavinio, Emma nie może z tobą rozmawiać, nie żyje, a umarli nie mówią.

– Nie mówi do mnie, mówi do pana.

Gerber skamieniał.

– To niemożliwe – odparł ze spokojem. – Emma mnie nawet nie zna.

– A właśnie że tak. Wie, kim pan jest. I ma dla pana wiadomość.

Poczuł, że opuściły go wszystkie siły.

– Mówi, że ma pan pojechać do naszego domu nad morzem – dodała Lavinia. – Tam jest jakaś rudowłosa kobieta, która na pana czeka.

29

Próbował zapytać Lavinie, czy przypadkiem kogoś ostatnio nie spotkała, nieznanego, który podszedł do niej pod jakimś pretekstem. Dziewczynka oczywiście nic takiego nie pamiętała. Pietro Gerber nie był w stanie pojąć, w jaki sposób fabularz zdołał dostać się także do jej umysłu, ale przede wszystkim czuł, że jest obłączony, zmuszony poruszać się wyznaczoną trasą, podążając za zwodniczymi nagrodami i w poszukiwaniu nieistniejącego wyjścia.

Niczym mysz w labiryncie, pomyślał. Właśnie zmierzał do starej willi w Forte dei Marmi.

Dotarł tam późnym popołudniem, kiedy zimowa ciemność zawładnęła już nadmorską miejscowością. Samotne latarnie czuwały nad pustymi ulicami. Gerber trafił pod wskazany adres i wysiadł z samochodu. Jedynymi dźwiękami, jakie słyszał, były dochodzące z oddali uderzenia fal.

Słonawe powietrze mieszało się z posmakiem padającego ukosem siąpiącego deszczu; było zimno.

Dwupiętrową secesyjną willę otaczał ogród z palmami i krzewami oleandrów, wyglądającymi teraz jak zielonkawe szkielety wyczekujące wiosny. Na teren posesji wchodziło się przez czarną furtkę z kutego żelaza z ornamentami o kształcie lilii wodnych. Gerber wspiął się na najniższe zagięcie i przeskoczył na drugą stronę. Łądując, zauważył, że rozdarł trochę płaszcz Burberry, prawdopodobnie zahaczając o jakiś szpikulec. Nie przejął się tym.

Ruszył w stronę ciemnego domu.

Okrążając budynek, zobaczył przeszklone drzwi, które z powodu wiatru otwierały się i zamykały. Jeśli ktoś był tu przed nim, mógł wejść do willi tylko w ten sposób – zostały wyważone.

Kiedy Gerber znalazł się w środku, rozejrzał się dokoła. Eleganckie sprzęty nie wskazywały na nadmorski dom: dość ciężkie meble, dywany, pozłacane kinkiety, marmurowy kominek. Wypolerowana podłoga odbijała światło wpadające z ulicy. Ruszył pogrążonym w półmroku korytarzem. Na parterze mieściło się kilka pokoi. Przypomniawszy sobie, jak Lavinia podczas sesji hipnozy rekonstruowała otoczenie.

Pokój Emmy był po prawej stronie.

Otworzył powoli drzwi, nie wiedząc, czego – albo kogo – spodziewać się po drugiej stronie. Na środku stało pojedyncze łóżko z zagłówkiem opartym o ścianę. I właśnie tak, jak powiedziała siostra bliźniaczka jego pacjentki, zobaczył na nim rudowłosą młodą kobietę.

Uwięzioną w starym zdjęciu z polaroida.

Pietro Gerber podszedł bliżej. Podniósł fotografię z poduszki i przyjrzał się jej w świetle przeświecającym przez szpary w rolecie. Kobieta stała przed ladą baru i była skadrowana od pasa w górę. Tak jak opisał ją Nikolin, przytaczając wspomnienia z dzieciństwa fabularza, gdy ten znalazł zdjęcie w torbie orka. Zaniedbane włosy do ramion. Biały bezrękawnik. Długie paznokcie pomalowane błyszczącym zielonym lakierem, który gdzieś poschodził. Podnosiła kufel piwa, wznosząc toast nie wiadomo za co i z kim i uśmiechając się do obiektywu. Nie był to ładny uśmiech, lecz wyzywający, i kobieta miała wyszczerbione zęby. Reszty twarzy nie dało się rozpoznać, bo górna część zdjęcia została zniszczona przez bardzo wysoką temperaturę.

Jakby wyciągnięto je w ostatniej chwili z ognia.

Gerber zrozumiał, że ma w rękach kolejny wyzwalacz historii zmagazynowanej w umyśle Nica. Ale dlaczego jego przeciwnik chciał mu pokazać to zdjęcie? Jaki związek miała rudowłosa kobieta z tym, o czym mu opowiadał za pośrednictwem Nica? Czy powinien wiedzieć, kto to jest? A może miał to odkryć? Po co więc

usuwać część twarzy ze zdjęcia? Czy chodzi o kolejny żart? Pomyślał o ruinach wiejskiego domu pokrytych zaroślami, które widział poprzedniej nocy z wieży w lesie. Cokolwiek wydarzyło się w tamtym miejscu przed dwudziestoma dwoma laty na początku wakacji, to ślady po tym zostały wymazane.

Przez kogo? Dlaczego?

Pytania mnożyły się w jego głowie, a zmęczenie nie pozwalało mu jasno myśleć. Pragnął w tym momencie tylko jednego: opuścić to mroczne miejsce.

Włożył zdjęcie do kieszeni i wyszedł z willi.

30

Wrócił do domu około dziewiętej i od razu odłożył zdjęcie na półkę w przedpokoju, żeby wyrzucić je z pamięci, przynajmniej na ten wieczór.

Rozebrał się w pogrążonym w ciszy mieszkaniu i prawie pół godziny spędził pod gorącym prysznicem. Owinął mokre ciało szlafrokiem, poszedł do kuchni, połknął parę tabletek aspiryny, zdjął z półki otwartą już paczkę herbatników, a z lodówki wyjął butelkę przeterminowanego mleka, które miało jeszcze przyzwoity zapach.

Z tym zaimprovizowanym posiłkiem usadowił się na kanapie w salonie. Był wykończony.

Z wysiłkiem wyciągnął przed siebie rękę z pilotem i włączył odtwarzacz wideo, by rozpocząć spektakl duchów, którym zadręczał się każdego wieczoru.

Na ekranie telewizora pojawiły się obrazy z jego poprzedniego życia. On z żoną i synem, gdy byli jeszcze rodziną. Po raz kolejny żywił bezsensowną nadzieję, że jego szczęśliwy klon z przeszłości odwróci się i go dostrzeże. W ten sposób Pietro Gerber z ekranu mógłby przynajmniej zobaczyć, do jakiego stanu doprowadził się człowiek pozbawiony miłości i pozostawiony sam w domu opanowanym przez wspomnienia.

W filmie nakręconym starą kamerą widać było dziesiątki szczegółów, których znaczenie znali tylko on, Silvia i Marco: od każdego z nich wypływały następne historie, niczym strumyki rozgałęziające się z jednej rzeki pamięci. Plaster na jego rękę, który można było dostrzec na nagraniu z pierwszych urodzin Marca, łączył się

z eksperymentem z majsterkowaniem, jaki miał miejsce kilka dni wcześniej, gdy niezręcznie próbował zbudować domek dla ptaków. Złoty brokat we włosach syna rankiem w Boże Narodzenie – nigdy nie zrozumieli, jak się w nich znalazł, i udało się go pozbyć dopiero po kilku tygodniach i wielokrotnym myciu głowy. Botki od Prady, które podarował Silvii pewnego dnia, gdy zorientował się, że wpadły jej w oko na wystawie w centrum; tego wieczoru, gdy je dostała, by mu podziękować, pojawiła się w sypialni, mając na sobie tylko te buty, i kochali się, zapominając, że są małżeństwem i rodzicami.

Botki Prady robiły jeszcze na nim pewne wrażenie; poczuł, że pod szlafrokiem ma erekcję. Ogarnęło go rozdzierające pragnienie, by znów usłyszeć głos Silvii. Ale na żywo, nie ten zarejestrowany na kasecie. Chwycił leżący obok smartfon i kciukiem poszukał jej numeru. Wpatrywał się w ekran w oczekiwaniu na przypływ odwagi, by nacisnąć zieloną ikonkę. Tyle razy znajdował się w takiej samej sytuacji i w końcu się powstrzymywał.

Tego wieczoru jednak tego nie zrobił.

Chwilę potem rozległ się sygnał połączenia. Miał nadzieję, że Silvia nie będzie zirytowana i nie uzna tego za wtargnięcie na jej terytorium. Zdał sobie sprawę, że nie wie, co jej powiedzieć. Nic nie szkodzi, coś wymyśli. Nie mógł się już rozłączyć.

– Pietro, wszystko w porządku?

– Oczywiście – odparł pospiesznie; był zadowolony, że się o niego niepokoi. Wyłączył dźwięk w telewizorze, żeby Silvia nie zorientowała się, że ogląda to stare nagranie. – Wybacz porę, chciałem się tylko dowiedzieć, jak się czujecie. – Użył liczby mnogiej i od razu tego pożałował.

– Marco już śpi – powiedziała, naprawiając jego gafę. Ale nie wydawała się zagniewana. – Jeśli chcesz, zadzwonimy do ciebie rano, jak tylko się obudzi.

– Byłoby wspaniale, dziękuję.

Zapadła cisza. Zakłopotanie wezbrało między nimi niczym niewidzialny przypływ.

– Jesteś niespokojny? – zapytała po jakimś czasie Silvia.

– Trochę – przyznał, nie mogąc powstrzymać westchnienia.

– Kim jest ten chłopiec, dla którego ryzykujesz karierę? I dlaczego tak ci na nim zależy?

Najwyraźniej Anita Baldi pominęła ten szczegół, gdy zadzwoniła do Silvii, prosząc o interwencję.

– Nikolin jest oskarżony o zamordowanie matki i ukrycie jej ciała.

Silvia zamilkła w osłupieniu.

– Matka i syn zaginieli w czerwcu w Mugello? – spytała po chwili.

– Właśnie oni – potwierdził.

– I walczysz o jego uniewinnienie.

– Nie, walczę o poznanie prawdy – uściślił.

– Ten chłopiec się przyznał – zakwestionowała jego słowa Silvia.

– Ten chłopiec nie potrafi nawet zawiązać sobie sam butów – odparł. – Powinnaś go zobaczyć: jest na łasce i niełasce wydarzeń, niezdolny zrozumieć do końca, co tak naprawdę się z nim dzieje, a na dodatek nikt nie ma dla niego ani trochę współczucia i nawet nie przejawia choćby cienia wątpliwości. – Zrobił pauzę, by nabrać powietrza: jak zawsze dawał się nadmiernie ponieść. – To jeszcze dziecko. Jego ulubioną zabawką jest telefon, który się świeci i gra. Marco ma identyczny.

– Ty mu go podarowałeś, bardzo mu się podobał. Ale nie możemy go znaleźć, gdzieś się zawieruszył – oznajmiła Silvia. – Jest coś jeszcze, prawda?

Gerber odchylił głowę i spojrzał na sufit: jak to się dzieje, do diabła, że ona zawsze potrafi czytać mu w myślach? Co to takiego? Jakaś supermoc? Rozwód położył kres wielu rzeczom, ale nie temu.

– To kolejne absurdalne wyzwanie rzucone pamięci twojego ojca? – oskarżyła go stanowczym tonem. – Koniecznie musisz się z nim mierzyć? Nie rozumiem, czy robisz tak, bo naprawdę w to wierzysz, czy może dlatego, że nie potrafisz jeszcze przewyciężyć swojego śmiesznego poczucia niższości. – Postanowiła być jeszcze

bardziej dosadna. – Nie wróci z zaświatów, żeby ci powiedzieć, jaki jesteś dobry albo jak bardzo jest z ciebie dumny.

Ton ich rozmowy znów się zaogniał, jak przed niedawnym rozejmem.

– Pan B. nie ma z tym nic wspólnego – próbował odpowiedzieć bez emocji.

– Więc o co chodzi?

Gerber starał się przyjąć pojednawczy ton; nie miał ochoty na kłótnię.

– Jeśli ryzyko dotyczy tylko mnie, mogę się z tym pogodzić... Ale lepiej, żebyś ty pozostała poza tym, zaufaj mi.

– Zaufać? O jakim ryzyku mówisz? Przed czym próbujesz mnie ostrzec? – Silvia była wściekła.

– Próbuję cię chronić – sprecyzował.

– Ja już nie potrzebuję twojej opieki.

Powiedziała tę prostą i nieodwracalną prawdę ze spokojem, który go zranił. Wolałby, żeby mu to wykrzyczała w twarz; jej spokój był gorszy. O wiele gorszy. Rozmowa wymknęła się obojgu spod kontroli.

Być może w nadziei, że atmosfera się uspokoi, Silvia próbowała zmienić temat.

– Dziś Marco był z innymi dziećmi w oceanarium w Livorno.

– I jak? Podobało mu się? – zapytał Gerber, usiłując ukryć swój prawdziwy stan ducha.

– Odkąd poszłam odebrać go z przedszkola, nawet na chwilę nie przestał o tym mówić. Luca obiecał mu kulę ze złotą rybką.

A więc to tak nazywał się nowy partner jego byłej żony. Gerber poczuł nagły gniew. Choć wiedział, że ich małżeństwo rozpadło się głównie z jego winy, nie potrafił pogodzić się z tym, że sęp odebrał mu jego życie. Zdawało się, że mężczyźni tego rodzaju chowają się za każdym rogiem, gotowi wykorzystać właściwy moment, by wkraść się do gniazda, do którego budowy się nie przyczynili. Ten łajdak porozumiewał się z Markiem, jakby był jego ojcem!

– Złote rybki bardzo szybko umierają w szklanych kulach – stwierdził chłodno.

– Co próbujesz przez to powiedzieć? – Ton Silvii również się zmienił.

– Że Marco mógłby niepotrzebnie cierpieć – odparł.

Prychnęła, choć był to raczej sarkastyczny chichot.

– Taki jak zawsze – skomentowała.

– Taki jak zawsze co? – zapytał prowokacyjnie.

– Taki jak zawsze wytwórca gówna. – Te słowa gładko przeszły jej przez gardło. Była to ulubiona obelga Silvii, odkąd się rozstali. – Masz wyjątkowy talent do przerabiania rzeczy pięknych w obrzydliwe i odpychające.

Jej głos i zachowanie kontrastowały ze scenami, które wciąż przebiegały przed oczami Gerbera na ekranie telewizora.

– Tak naprawdę nie przypominam sobie niczego pięknego – skłamał, by ją zranić.

Silvia zamilkła.

– Dobranoc – powiedziała w końcu.

Żadne z nich nic już nie dodało, zanim się rozłączyli.

Gerber cisnął smartfon na leżące na kanapie poduszki. Powinien go naładować, bo bateria prawie padła. Powinien zdjąć wilgotny szlafrok, żeby nie zmarznąć i nie dopuścić, by podskoczyła mu gorączka. Powinien odstawić mleko do lodówki, poszukać odpowiedzi, pogodzić się z sytuacją, spróbować ruszyć do przodu, zmienić życie. Ale w tym momencie odkrył, że nie ma najmniejszej ochoty zrobić żadnej z tych rzeczy.

„Wytwórca gówna”... Być może Silvia miała rację.

Opuścił ręce wzdłuż bioder i znów zapatrzył się w pojawiające się na ekranie obrazy. Gdy zapadał w sen, twarz Silvii zamieniła się w strawione częściowo przez ogień oblicze rudowłosej kobiety z polaroida, która ze śmiechem wznosiła toast za jego zdrowie. Kiedy zaczynał się ten koszmar na jawie, a obrazy w telewizorze dawały niepokojący statyczny efekt, usypiacz dzieci w końcu sam usnął.

31

Kiedy byli małżeństwem, jednym z najczęstszych powodów starć z Silvia była jego decyzja, by poświęcić się wyłącznie udręczonym nieletnim z problemami, które u osoby dorosłej wymagałyby długiej terapii i zastosowania środków psychotropowych. Żona nie miała do niego pretensji o to, że przejął pałeczkę po ojcu, lecz o to, że z każdym rokiem stopień jego zaangażowania w historię małych pacjentów wzrastał w niepokojący sposób. Choć twierdził, że bez problemu oddziela życie zawodowe od prywatnego, z czasem przejął postawę, którą zawsze krytykował u ojca.

Niepostrzeżenie zamykał się w milczącym i niedostępnym świecie.

Dopóki on i Silvia byli małżeństwem, panował swego rodzaju cichy kompromis: temat wisiał w powietrzu podczas kłótni, ale nigdy nie został otwarcie poruszony. Była to bomba z opóźnionym zapłonem. Jak można się było spodziewać, po rozstaniu wszystko się zmieniło; ekszona nie traciła żadnej okazji, by krytykować jego zawodowe wybory i w ten sposób obarczyć winą za rozpad małżeństwa.

Owszem, Pietro Gerber mógł pójść za przykładem wielu kolegów, którzy porzucili tak zwaną hipnozę kliniczną na rzecz bardziej dochodowej hipnozy „paliatywnej”, by pomagać całym rzeszom płacących pacjentów w rzuceniu palenia, przełamaniu strachu przed lataniem lub pokonaniu niektórych zahamowań seksualnych. Mimo nacisków Silvii oparł się pokusie zmiany, pamiętając pewne zdanie wypowiedziane przez pana B. W okresie, kiedy on i ojciec byli ze sobą

bardzo blisko, po tym jak Pietro postanowił wybrać tę samą profesję co on, zapytał go pewnego dnia, dlaczego postanowił pracować tylko z małoletnimi. Odpowiedź była prosta, a jednak porażająca, jak niektóre podstawowe prawdy, tylko czekające, żeby je dostrzec.

– Bo nikt nie jest skłonny wierzyć historiom opowiadanych przez dzieci.

Panu B. chodziło o to, że wszyscy doświadczyliśmy w dzieciństwie protekcjonalnego traktowania przez dorosłych, doznaliśmy upokorzeń, bo uznawano nas za niewiarygodnych tylko ze względu na wiek.

– A przecież dzieci są depozytariuszami prawd absolutnych dotyczących życia – mawiał. – Tyle że dorośli nie chcą o nich słyszeć. Bo w odróżnieniu od dzieci utracili niewinność, przez co nie potrafią zaakceptować rzeczy tak banalnych jak śmierć albo tego, że nie zawsze jest łatwo odróżnić dobro od zła.

Dobro i zło w umyśle dziecka często się mieszają. Na przykład to, co jest złem dla innych, dla niego może być dobrem. Oto dlaczego pan B. był wyrozumiały wobec siostrzyczki, która wrzuciła do zbiornika z wodą niedawno narodzonego braciszka. Bo przecież ta dziewczynka tylko usunęła powód zazdrości, który przysparzał jej lęku i cierpienia.

Właśnie dlatego Pietro Gerber, jeszcze zanim zdał sobie sprawę, że Nikolin nie jest zabójcą matki, uznał za wątpliwą słuszność natychmiastowego napiętnowania go jako sprawcy. Dla innych było to na pewno najbardziej dogodne wyjście, ale on się nie ugiął i odkrył, że istnieje dodatkowe wyjaśnienie: coś nieznanego i straszego, osobnik zdolny manipulować świadomością, ukryty w cieniu i gotowy osaczyć każdy umysł.

Gdyby Gerber zadowolił się samą powierzchnią prawdy, Nico byłby już stracony, zmuszony zapłacić za zbrodnię, której nie popełnił.

Właśnie tego Silvia nie chciała – albo nie mogła – pojąć: on nie mógłby przestać z dnia na dzień zadawać sobie pytań, o których inni nie chcą słyszeć, nie pozwoliliby mu na to sumienie.

Z powodu niespokojnej nocy spędzonej na kanapie dotarł do gabinetu na poddaszu na krótko przed przybyciem Nikolina z obstawą. Gerber zorientował się od razu, że poprzednia pracownica socjalna została zastąpiona inną, młodszą i – przynajmniej na pierwszy rzut oka – życzliwszą.

– Co się stało z pani koleżanką? – zapytał.

– Została w domu, bo jest przeziębiona – wyjaśniła.

Udał zmartwionego, ale podejrzewał, że to on był przyczyną jej niedyspozycji – musiała się od niego zarazić.

Wyjaśnił kobiecie, że podczas sesji zostanie z chłopcem sam i zawiadomi ich, gdy skończą.

– Poinformowano mnie o procedurze, ale dziękuję – odpowiedziała z uśmiechem.

Był zadowolony, że ma do czynienia z kimś obdarzonym odrobiną uprzejmości. Również do Nikolina nowa pracownica odnosiła się bardziej po ludzku. Gerber miał nadzieję, że tamta poprzednia już nie wróci.

Gdy w końcu został z chłopcem sam, wziął go za rękę i zaprowadził na stanowisko dla małych pacjentów, gdzie poprzedniego dnia siedziała Lavinia. Ciekawe, czy ten bujany fotel przechowywał ślady podróży, jakie się na nim odbywały. Podróży w czasie, w przeszłości albo w teraźniejszości. Ale przede wszystkim podróży w otchłanie własnego umysłu. Ekspedycji w niedostępne – często nieznane – miejsca. Czasem magiczne i fantastyczne. Innym razem po prostu przekłete. Pietro Gerber był przewodnikiem, którego jedynym zadaniem było nie pozostawić podróżników w samotności.

Ale nigdy dotąd nie zdarzyło mu się spotkać w umyśle dziecka intruza.

– Wszystko dobrze? – zapytał. Był świadomy, że Nico nie odpowie, ale i tak chciał, żeby wiedział, że ktoś się o niego troszczy. Pozornie psychika chłopca znajdowała się w stanie spoczynku, a wraz z nią osobowość, świadomość i tożsamość. Pozostawały tylko zachowania automatyczne, nawyki wydobyte z reminiscencji.

I może gdzieś także jego dusza.

Formułując w głowie tę myśl, Pietro Gerber nie wyobrażał sobie, że reszta opowieści, której miał wysłuchać, będzie wiązała się z losem wielu osób. W tym jego. I że podróż, którą miał właśnie podjąć, zaprowadzi go na próg piekła.

Niczego nie podejrzewając, zaciągnął zasłony, jak zawsze pchnął lekko fotel Nikolina, żeby go rozbujać, po czym pokazał chłopcu zdjęcie rudowłosej kobiety, której twarzy nie dało się rozpoznać.

– Chciałeś, żebym ją znalazł, i znalazłem – oświadczył. – Teraz musisz mi powiedzieć, kim jest ta kobieta i dlaczego jest dla ciebie tak ważna...

Bodziec wzrokowy był wystarczający, by pobudzić pamięć dodaną.

– Czy wierzy pan w diabła, doktorze? – zapytał fabularz głosem Nica. – Wierzy pan czy nie, istnieją tylko dwa zdjęcia demona. To jest jedno z nich... Jego prawdziwe imię nie ma znaczenia. Ale kiedy diabeł przyjmuje wygląd tej kobiety, musisz go nazywać „mamą”.

32

Mama mówi zawsze, że raj i piekło to przepiękne miejsca. Jedyne różnica polega na tym, że w piekle jesteś zupełnie sam. Nie ma nikogo, nawet diabła, bo diabeł pozostaje na ziemi i poluje na dusze. Jaki ma zatem sens pozostawanie w tym cudownym miejscu, jeśli nie można go dzielić z kimś innym?

Na tym właśnie polega kara.

Dla mnie najpiękniejszym miejscem stworzenia był zawsze dom pośród lasów w małej dolinie. Ale teraz chciałbym być wszędzie, byle nie tu. Myślę więc sobie, że może mamie i tacie nic się nie stało, że to ja umarłem i teraz jestem w piekle. Tyle że nie wiem, nikt mi tego nie powiedział.

Poza tym nie sądzę, bym zasługiwał na taką karę, a odnalezienie Belli podważa teorię, że jestem w piekle. Bo jeśli mama ma rację, mojego psa nie powinno być tu ze mną. Ani orka.

Jesteśmy tu razem od pięciu dni i wspólne życie zaczyna być trudne, choć nie widzimy się z nim zbyt często. Ja prawie cały czas jestem na łące z Bellą; natykam się na niego tylko wtedy, gdy mam mu przygotować coś do jedzenia. Proste rzeczy, które nie zawsze dobrze mi wychodzą: talerz makaronu z sosem pomidorowym wylanym prosto z puszki, mięso z fasolą i tuńczyk, bardzo dużo tuńczyka z puszki. Ale ork najwyraźniej o to nie dba; zadowolona się tym, co przed nim stawiam, pochłania jedzenie i nigdy nie protestuje.

Jego dni wyglądają zawsze tak samo: wstaje późno i przenosi się z łóżka na kanapę, z kanapy do łóżka. Z kilkoma przystankami w łazience albo w kuchni,

żeby zgarnąć coś z lodówki albo ze spiżarni. Obliczyłem, że zapasów starczy jeszcze na tydzień. A potem, jeśli nikt nie pojedzie po zakupy, będziemy mieli poważne problemy z zapewnieniem sobie śniadania, obiadu i kolacji. Jeśli o mnie chodzi, już zacząłem racjonować swoje porcje, obawiając się tego, co się stanie, kiedy gość odkryje, że wykończyliśmy zapasy. Wydaje mi się, że jest tu tylko po to, żeby się obżerać i spać.

No i brudzić.

Zostawia śmieci wszędzie. Papierki, resztki jedzenia. Na poduszkach na kanapie są tłuste plamy, łóżko jest zawsze nieposłane i pełne okruchów. Albo sika, nie podnosząc deski i zapewne nie patrząc nawet, gdzie trafia strumień. Wczoraj obciął paznokcie u nóg w salonie. Nie robię nic innego, tylko po nim sprzątam, bo myślę o mamie i o tym, jak jej zależało, żeby w domu panował zawsze porządek. Poza tym mężczyzna śmierdzi, ponieważ nigdy się nie myje. Drapie się po głowie albo brodzie i białe paprochy spadają wszędzie dokoła. Oczywiście beka i pierdzi.

Jest prawdziwą ludzką wersją orka.

Od czasu do czasu Bella biegnie do niego, pozwala się głaskać i podlizuje się, żeby wyłudzić trochę jedzenia. Ja próbuję trzymać ją od niego z daleka. Ale zastanawiam się, dlaczego mój pies nie wyczuwa tego samego co ja, kiedy jestem w pobliżu mężczyzny: że ma przed sobą uzurpatora. Czasem mi się wydaje, że Bella zaakceptowała sytuację lepiej niż ja. I że ten łajdak stał się jej przyjacielem.

W nocy Bella śpi w moim pokoju. Ale dziś rano zaczęła robić coś, co mnie niepokoi. Od czasu do czasu podchodzi do zamkniętych drzwi piwnicy i drapie łapą drewno. Jakby coś wyniuchała. Odciągam ją stamtąd, ale kiedy tylko może, wraca i znów drapie.

Mam nadzieję, że ork tego nie dostrzeże, ale jednak zauważa.

– Powinieneś coś zrobić dla tego biednego zwierzaka – mówi, zachodząc mnie od tyłu.

Próbowałem odciągnąć psa od drzwi i nie słyszałem jego kroków.

– Dlaczego biednego? – pytam.

– Nie widzisz, że jest wściekła?

Patrzę na Bellę.

– Nie wydaje mi się – odpowiadam.

Mężczyzna z powagą kiwa głową.

– Zaufaj mi, wiem, jest tak.

– Więc co mam zrobić? Może mógłbym ją zabrać do weterynarza? – ryzykuję.

– Teraz byłoby to już daremne – odpowiada ork ze spokojem. – Choroba już się posunęła. W takich przypadkach najlepiej zrobić tak, żeby nie cierpiały. – W tym momencie wyciąga rękę i pokazuje, co trzyma w dłoni.

Blister z niebieskimi tabletkami. Rozpoznaję je – to leki uspokajające mamy.

– Rozpuścisz je w wodzie i dasz jej do picia – tłumaczy mi ork. – Zaśnie i niczego nie poczuje.

Wytrzeszczam oczy i nie jestem w stanie wydusić z siebie słowa.

Kładzie mi rękę na ramieniu.

– Musisz to dla niej zrobić, chłopcze. Gdybym był na twoim miejscu, dziś wieczorem zabrałbym ją do lasu i położył kres jej cierpieniom.

Bąkam coś pod nosem; to wszystko wydaje mi się absurdem. Pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy, to że nigdy nie mógłbym się zdobyć na coś takiego. Już sam obraz, który powstaje w mojej głowie, jest nie do zniesienia.

– Sam bym się tym zajął, ale nie wydaje mi się to właściwe: to twój pies – kontynuuje mężczyzna. – Jeśli naprawdę ją kochasz, zrobisz, co trzeba.

Podaje mi tabletki, klepie po plecach dla dodania odwagi i wraca na kanapę. Obserwuję Bellę, a ona wpatruje się we mnie wesołymi i nieświadomymi niczego ślepiami, liże mnie po ręce i przechyla pysk na jedną stronę.

Muszę podjąć decyzję. Muszę podjąć ją natychmiast, jutro będzie już za późno. Muszę zebrać się na odwagę, by to zrobić. Odejść, uciec. Poczekam, aż zapadnie zmrok. Kiedy on położy się do łóżka, wyjdę z domu z Bellą. Początkowo myślę, że ruszę w stronę szosy i spróbuję zatrzymać jakiś samochód. Potem rezygnuję z tego pomysłu, bo nocą prawie nikt tędy nie przejeżdża i ork natychmiast by nas złapał.

Nie jestem nawet w stanie wyobrazić sobie jego reakcji i tego, co by mi zgotował za takie nieposłuszeństwo. Nie, pójdę przez las. Jest parę ścieżek, którymi mógłbym dotrzeć do jednej z pobliskich wiosek. A ciemność będzie dla nas osłoną.

Postanowione.

Podczas gdy ork zajęty jest oglądaniem telewizji, napełniam parę butelek wodą i wkładam do szkolnego plecaka. Wyjąłem książki i zeszyty, żeby zmieścić tam jeszcze batoniki, latarkę, bluzę i pikowaną kurtkę na wypadek chłodu, a także gumowego Pinokia Belli. Nie chcę się za bardzo obciążać. Chciałbym mieć ze sobą jakąś broń. Wybieram stary młotek taty, ale potem dochodzę do wniosku, że i tak nie umiałbym go użyć przeciwko komukolwiek, więc zostawiam narzędzie na miejscu. Gdy już wszystko przygotowałem, chowam plecak na ganku.

I czekam.

Czekam cały dzień jakby nigdy nic. Ork wydaje się nie dostrzegać mojego niepokoju, ale coś mi mówi, że go jednak wyczuwa. Chwilami boję się, że czyta w moich myślach i przenika do mojego wnętrza, a chwilami uważam go tylko za biednego głupca. W każdym razie staram się oczyścić umysł i nie myśleć o niczym. Jeśli dostanie się do mojej głowy, znajdzie w niej tylko próżnię.

Dzień upływa i w końcu zachodzi słońce. Na kolację ork pochłonał olbrzymie ilości makaronu; podałem mu potrójną porcję i wkruszyłem do niej parę tabletek, które mi dał. Mam nadzieję, że obfity posiłek wzmocni skuteczność leku. Jak zawsze, gdy już się nażarł, rozkłada się na kanapie. Obliczam, że około dziesiątej powinien poleżeć na górę do sypialni rodziców.

Wtedy będzie pora, żeby wyjść.

Ale tak się nie dzieje. Tego wieczoru przysypia przed telewizorem; głowa raz na jakiś czas opada mu do przodu. Przeklęty, mówię w myślach. Co się z nim dzieje? Dlaczego nie idzie na górę? I dlaczego środki nasenne nie przynoszą żadnego efektu? Jestem w rozpacz. Podejrzewam, że czegoś się domyślił. Gdy zapada w głębszy sen, nadal nie wiem, co robić. Gdyby położył się w sypialni rodziców, wszystko byłoby łatwiejsze. A jeśli tabletki nie wystarczą? Przy

włączonym telewizorze może się obudzić w każdej chwili i zauważyć moją nieobecność.

Ale nie mam wyboru.

Jeśli teraz nie odejdę, nigdy już tego nie zrobię. A prawdopodobnie jutro ten drań znów wyskoczy z historią, że trzeba uśpić Bellę.

Idę więc do swojego pokoju, ubieram się ciepło i zakładam najbardziej wytrzymałe buty, jakie mam, bo choć już prawie lato, nocą w lesie jest bardzo zimno. Wkładam na nadgarstek zegarek z kompasem, który podarował mi tata, żebym orientował się w terenie, kiedy chodzimy na grzyby. Potem upycham poduszki pod prześcieradłem w nadziei, że będą sprawiać wrażenie śpiącego człowieka. Ta sztuczka nie wydaje mi się za bardzo przekonująca, ale nie mam innego pomysłu.

Wracam na dół, odmierzając dokładnie kroki na schodach. Potem na palcach docieram do kuchni. Przywiązałem Bellę na ganku. Otwieram drzwi na tyłach domu, próbując nie robić hałasu. Lekkie skrzypnięcie, którego dotąd nigdy nie słyszałem, teraz wydaje mi się bardzo głośne. Patrzę na Bellę i daję jej znak, by nie wstawała. Tymczasem ona podskakuje podniecona.

– Głupi pies, przez ciebie nas odkryje – szepczę, by ją uciszyć, i jednocześnie zamykam uważnie drzwi.

Na co pies szczeka.

Zatrzymuję się z ręką jeszcze na klamce, próbuję przeniknąć wzrokiem przez ciemność domu i moje spojrzenie dociera aż do mężczyzny na kanapie: głowę ma opartą na prawym ramieniu, wydaje się nieruchomy. Wzdycham z ulgą, wycofuję się za drzwi i powoli je zamykam.

Szybko wyciągam schowany wcześniej plecak, zarzucam go na ramiona, chwytam smycz Belli i kieruję się w stronę drzew. Pies podskakuje obok mojego boku i patrzy na mnie, próbując zrozumieć, co robimy. Od czasu do czasu odwracam się w stronę domu, żeby sprawdzić, czy ork nagle nie wyskoczy i wściekły nie ruszy za mną w pościg. Jakaś część mnie tego właśnie się spodziewa.

Ale nic takiego nie następuje.

Mam wrażenie, że dojście do lasu trwa w nieskończoność. Gdy wreszcie tam docieram, zerkam na kompas w zegarku, zapamiętuję kierunek i zanurzam się w zarośla. Teraz będą mnie osłaniały drzewa i ciemność. Teren jest wyboisty, mimo to, ryzykując, że potknę się o wystający korzeń albo utknę w jakiejś dziurze, nie zapalam latarki. To nie byłoby ostrożne, ork mógłby mnie dostrzec. Od czasu do czasu jestem zmuszony szarpnąć Bellę, bo biegnie za szybko. Skracam smycz, okręcając ją wokół nadgarstka, żeby pies szedł obok mnie. Nadstawiam uszu, by wychwycić każdy hałas, ale to, co słyszę, wydaje mi się tylko odgłosami przyrody.

Upiorne dźwięki nocnego lasu.

Odnoszę wrażenie, jakby ścigała mnie cała armia niewidzialnych cieni. Muszę oprzeć się pokusie zapalenia latarki. Mam ochotę się rozplakać, ale nie mogę sobie pozwolić na strach. Ignoruję więc śledzące mnie stworzenia, utrzymując dystans, i tłumaczę sobie, że prawdziwy potwór pochrapuje na kanapie w moim domu.

Na szczęście jest ze mną Bella.

Po dwóch godzinach wspinamy się na wzniesienie. Zatrzymujemy się, żeby złapać oddech, i wyczerpany kładę się na ziemi. Potem rozglądam się wokół. Z góry światła domu są jeszcze widoczne. Szliśmy tak długo, a dom jest wciąż na tyle blisko, że wydaje mi się na wyciągnięcie ręki.

Bella jest utytłana w ziemi i lekko utyka, musiała jej się wbić w łapę drzazga. Zapalam latarkę, osłaniając dłonią snop światła, i próbuję ją usunąć, ale utknęła głęboko. Przydałaby się pęseta albo coś w tym rodzaju, lecz niczego takiego nie mam. Ja też nie wyglądam dobrze: spodnie przedarły mi się w kilku miejscach i przez małe dziury widać połyskujące na czerwono zadrapania. Rany trochę pieką, ale to mięśnie mnie bolą, zwłaszcza łydki.

Nie mogę się jednak zatrzymać.

Ciekawe, czy ork się obudził. Może tabletki nie zadziałały i zorientował się, że uciekłem. Zajrzał do mojego pokoju i znalazł poduszki pod prześcieradłami. A teraz jest na moim tropie i nadrabia dystans.

Przeganiam złe myśli i ponownie sprawdzam kompas i godzinę: utrzymuję nadal właściwy kierunek, ale jest już dziesięć po pierwszej. Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że o tej porze dotrę już do jakiegoś gospodarstwa albo wioski. Najwyraźniej źle oszacowałem odległości. Jedyne, co mogę zrobić, to iść dalej i mieć nadzieję, że o świcie znajdę się w bezpiecznym miejscu. Otwieram butelkę, daję trochę wody Belli i sam pociągam kilka łyków.

– Idziemy – mówię, ruszając w dalszą drogę.

Ten krótki postój nie był dobrym pomysłem – ból nóg jest teraz nie do wytrzymania i łapią mnie skurcze. Po zaledwie dwudziestu minutach jesteśmy zmuszeni znów się zatrzymać. Przekłety kwas mlekowy, o którym mówi zawsze wuefista, krąży i zatruwa mi mięśnie, osłabiając je. Bella też wydaje się zmęczona: krwawi z jednego ucha, ma zadyszkę, a jej język jest pełen żdźbeł suchej trawy. Obmywam jej pysk nasączoną szmatką, a potem jem batonik, mając nadzieję, że cukier da mi trochę energii; tak mi jednak zaschło w gardle, że nie mogę go przełknąć, nawet kiedy popijam.

Nagle słyszę, jak ktoś wymawia moje imię.

Tylko raz i tak szybko, że po sekundzie nie wiem nawet, co naprawdę usłyszałem.

Postanawiam jeszcze raz zapalić latarkę.

Ze strachem przebiegam snopem światła między drzewami. Przez chwilę promień coś oświetla.

W wolnej przestrzeni między dwoma pniami stoi nieruchoma ludzka postać. To ork patrzący w moją stronę.

Gotowy krzyczeć, przesuвам snop światła latarki. To była tylko halucynacja, tłumaczę sobie, tak samo jak głos. Ale serce prawie mi eksploduje, a resztki sił opuszczają mnie, jakby wciągnięte przez ziemię pod moimi stopami. Jest mi zimno. Wyciągam z plecaka kurtkę puchówkę i narzucam na siebie jak kołdrę. Bella układa się obok mnie i ogrzewa mnie ciepłem swojego ciała; ona też jest zmęczona.

Powtarzam sobie, że nie wolno mi zasnąć. Zostawiam zapaloną latarkę, żeby tego uniknąć. Ale kiedy baterie niezauważenie się wyczerpują, zapadam w głęboki sen.

Ktoś mnie dotyka. Robi to czubkiem buta.

Budzę się gwałtownie i błyskawicznie staję na równe nogi. Słońce jest już wysoko, przenika przez gałęzie i oślepia mnie, nie pozwalając dostrzec twarzy stojącego przede mną mężczyzny.

– Co tu robisz, chłopcze? – pyta szorstko. Zamiast imienia używa tego słowa. Chłopcze. Jak ork.

Ale Bella na niego szczeka, więc domyślam się, że to nie on, choć nie widzę jego twarzy.

– To co, nie odpowiesz? – Ma na sobie coś w rodzaju zielonego munduru. To strażnik leśny.

– Dziękuję – mówię natychmiast i wybucham płaczem.

– Dziękuję? Za co? – pyta zdziwiony.

Pośród szlochów o wszystkim mu opowiadam. O planowanej podróży z mamą i tatą do Europy Północnej. O intruzie, którego zastałem w domu po powrocie ze szkoły. O rodzicach, którzy zniknęli razem z kamperem. O tym, że nieznajomy, który ulokował się w naszym domu, chce, żebym nazywał go wujkiem. O jego absurdalnym pomysle wspólnego spędzenia lata. O tym, że wiem o nim tylko tyle, że ma nóż i zdjęcie rudowłosej kobiety zrobione w jakimś barze. O tym, że kazał mi zabić psa, bo uważa, że jest wściekły. O Belli, która drapie łapą zamknięte drzwi do piwnicy, i o tym, że mężczyzna ostrzegł, żebym nie schodził na dół.

Strażnik obserwuje mnie bez słowa. Widząc, że nie ma jednego ucha, zastanawiam się, czy usłyszał moją historię.

– Tak więc uciekłeś – konkluduje w końcu i wydaje się niemal, jakby mnie za to karciał.

– Co innego mogłem zrobić?

Zastanawia się. Muszę naprawdę źle wyglądać, bo w końcu chyba mi wierzy.

– Możesz iść?

– Tak – potwierdzam.

– Więc chodź ze mną, zawiadomimy kogoś.

Czuję taką ulgę, że zapominam o bólu w nogach i posłusznie za nim idę. Docieramy do zielonego Citroëna ze znakami Służby Leśnej, zaparkowanego na poboczu ścieżki. Wsiadamy do niego i odjeżdżamy. Naszym celem jest domek stojący na zadrzewionej polanie.

– Jeśli chcesz, mam coś na śniadanie – mówi mężczyzna bez ucha, kiedy jesteśmy na miejscu. – Mleko i herbatniki, może być?

– Zadzwonimy stąd na policję? – pytam, bo spodziewałem się, że zawiezie mnie do najbliższego miasteczka.

– Nie ma tu telefonu, mamy tylko radio – informuje mnie. – Przywiąż psa na zewnątrz.

Mocuję smycz Belli do pnia drzewa, a on otwiera drzwi. Gdy przekraczam próg, odbiera mi dech.

W środku czeka rozparty na krześle ork.

– Znalazłem go parę kilometrów stąd – mówi mu strażnik.

– Bogu dzięki! – wykrzykuje ten drań, wstaje i idzie w moją stronę. Przykuca i chwyta mnie za ramiona; uważnie mi się przygląda, udając, że upewnia się co do mojego stanu zdrowia. – Jak się czujesz? – pyta z przejęciem. – Martwiłem się – strofuje mnie dobrotliwie.

– Na szczęście twój wuj mnie uprzedził – wtrąca leśnik. – Inaczej błędziłbyś dalej po lesie i kto wie, co mogłoby ci się stać.

– On nie jest moim wujem – protestuję. Próbuję zebrać myśli. Dlaczego strażnik wierzy jemu, a nie mnie? Potem rozumiem.

– Miał pan rację – przyznaje mężczyzna bez ucha, patrząc na orka. – Pański siostrzeniec powtórzył dokładnie historię, którą mi pan opowiedział. – Po czym odwraca się do mnie. – Stek wierutnych kłamstw. Aż się dziwię, że nos ci jeszcze nie urósł.

O czym ty bredzisz, idioto? Powinieneś trzymać moją stronę! Co się dzieje? Czy świat zwariował?

– Musi pan zawiadomić policję – domagam się głosem łamiącym się z rozpacz. – To pana obowiązek.

Ale moje żądania nie podobają się strażnikowi.

– Moim obowiązkiem byłoby zatrzymać cię tutaj i dać ci porządną lekcję, chłopczyku. Ale tym razem ujdzie ci to na sucho.

– Tak, zgadzam się, niech mnie pan ukarze. Chcę tu z panem zostać – mówię błagalnie.

Zaczyna się śmiać.

– Proszę go zabrać do domu – zwraca się do orka.

Ten obejmuje mnie w pasie silnym ramieniem i podnosi z podłogi. Próbuje stawiać opór, wierzgam nogami, chwytam się ścian i framugi drzwi.

– Nie! – nie przestaję wrzeszczeć.

Ale to na nic: ork jest o wiele silniejszy.

Łapie smycz Belli i zanosz mnie aż do volvo taty, które przebiegle zaparkował na asfaltowej szosie, daleko od posterunku Służby Leśnej, żeby mnie wcześniej nie zauważył i nie uciekł. Ładuje mnie do samochodu, psa wpuszcza na tylne siedzenie, a sam zajmuje miejsce za kierownicą.

Siedzę bez słowa. Powinienem był dać mu wszystkie te przeklęte tabletki, myślę. Może już by nie żył. Wyobrażam sobie, jak ork za chwilę wybuchnie, tymczasem on odzywa się do mnie tak jak zawsze spokojnym tonem.

– Dziś rano przyszedł list od twojego taty – oznajmia, podając mi zaklejoną wygniecioną kopertę.

Biorę ją i zauważam, że nie ma na niej adresu, nadawcy ani nawet znaczka. Ten człowiek jest szalony, jeśli naprawdę myśli, że łyknę takie ewidentne kłamstwo. Mimo to postanawiam go zadowolić. Otwieram kopertę i wydajmę kartkę wyrwaną z jednego z moich szkolnych zeszytów. Niepewnym i dziecinnym drukowanym pismem jest na niej napisana krótka wiadomość.

JA I MAMA NIGDY JUŻ NIE WRÓCIMY. MUSISZ NA ZAWSZE ZOSTAĆ Z TYM PANEM. BĄDŹ GRZECZNY.

TATA

Zaczynam cicho płakać. Nie chciałbym dawać mu satysfakcji, ale nie mogę się powstrzymać.

– No więc co tam jest napisane? – pyta, zgrywając naiwnego.

Ograniczam się do wręczenia mu listu, a on, jadąc, udaje, że czyta go po raz pierwszy.

– Jesteś naprawdę szczęściarzem, wiesz? – mówi, oddając mi kartkę.

Zupełnie nie rozumiem, na czym miałyby polegać moje szczęście. Ale nie odpowiadam.

– Dawno temu poznałem pewną dobrą kobietę – informuje mnie. – Myślę, że się w niej cholernie zadurzyłem, a niech to! – Śmieje się tak, że widać zepsute zęby.

Domyślam się od razu, że mówi o rudej kobiecie z polaroida.

– Jeszcze się nie spotkaliśmy, ale mamy ze sobą wiele wspólnego – wyjaśnia. – Obydwoje chcemy mieć rodzinę. – Pochmurnieje. – Kłopot w tym, że ona, niestety, nie może mieć bachorów. Ma problem tam na dole, ze swoimi jajeczkami i całą resztą.

Zaczynam rozumieć, co mu chodzi po głowie.

– Nie jestem trochę za duży? Może powinniście poszukać młodszego dziecka – sugeruję. To, co powiedziałem, jest straszne, ale w tej chwili wydaje mi się jedynym wyjściem.

Ork odwraca się w moją stronę.

– Ty nadasz się znakomicie – zapewnia, jakby sądził, że mnie tym pocieszy.

Nie wiem nawet dlaczego, ale ocieram łzy i rzucam pytanie:

– Jak możecie się znać, skoro nigdy się nie spotkaliście? – Być może chcę mu tylko zrobić na złość, podkreślając sprzeczność w jego opowieści.

Znów się uśmiecha.

– Pisaliśmy do siebie – odpowiada. – Czasem to może wystarczyć, nie?

– Tak się to właśnie odbyło z rudą z polaroida?

Odwraca się i wpatruje we mnie uważnie; dotarło do niego, że grzebałem w jego rzeczach. Powiedziałem to specjalnie, chciałem, żeby wiedział.

– Tak, właśnie tak to się odbyło – potwierdza. – W ostatnim liście przysłała mi to zdjęcie i umówiliśmy się w domu.

A więc to wszystko prawda, mówię sobie w duchu, myśląc o szalonym planie tej dwójki.

– I będę musiał mówić do niej „ciociu”? – pytam, próbując poznać przynajmniej imię tej kobiety.

Ork przez chwilę milczy, jakby się zastanawiał, czy może mi zaufać.

– Będziesz mógł mówić do niej „mamo”.

Oszołomienie. Najlepsze słowo podsumowujące stan ducha Gerbera po długiej opowieści Nikolina to właśnie „oszołomienie”. Postać strażnika leśnego bez ucha powracała na scenę. Po ich spotkaniu psycholog zastanawiał się, dlaczego fabularz wybrał właśnie tego smutnego samotnika do przekazania wiadomości. Teraz już wiedział. Zapisał to w notesie.

Zemsta.

Sesja z Nikiem przeciągnęła się do prawie czterech godzin. Zazwyczaj trwały o wiele krócej, więc chłopiec wyglądał na wykończonego. Usypiacz dzieci pochylił się nad nim i zauważył, że Nico nie tylko jest sztywny jak poprzednim razem, ale też dolna warga wyraźnie mu drży, a po policzkach spływają kropelki potu. Co mu zrobiłeś? – zapytał z wściekłością fabularza, zastanawiając się, jak długo będzie jeszcze trwała męczarnia chłopca.

– Chcę, żebyś zamknął na chwilę oczy – poprosił i Nikolin usłuchał. – Teraz oddychaj jak ja, zgoda?

Gerber zaczął rytmicznie wciągać i wypuszczać powietrze, co było prostym ćwiczeniem relaksacyjnym, które potem pacjent mógł kontynuować sam. Psycholog postanowił nie robić nic więcej, tylko czekać i obserwować chłopca.

Na pewno był jakiś sposób, by go uwolnić: tajemne słowo, dźwięk, dotyk, przedmiot, zapach. Ale Pietro Gerber podejrzewał, że to będzie końcowa nagroda

za wysłuchanie całej historii. A przynajmniej taką miał nadzieję. Bo nie był wcale pewien, czy jego antagonistą ma jakieś skrupuły, skoro wybrał niewinne dziecko dla osiągnięcia własnego celu. Jakikolwiek był to cel.

Bo nikt nie jest skłonny wierzyć historiom opowiadanych przez dzieci.

Pan B. miał rację: strażnik leśny wziął za pewnik, że wersja dorosłego porywacza jest bardziej wiarygodna od opowieści młodej ofiary. Może dlatego, że ork był bardziej przebiegły; uprzedził leśnika, co usłyszy od dwunastolatka, i przedstawił jego słowa jako kłamstwa nieposłusznego dzieciaka: mały uciekł z domu, żeby wymknąć się spod kurateli „wujka”, którego opiece powierzyli go rodzice. Gerber uznał, że nie warto wracać do mężczyzny bez ucha z pytaniem, czy przypomina sobie epizod sprzed dwudziestu dwóch lat, kiedy bez namysłu przekazał porwanego chłopca jego oprawcy. Bo dokładnie tak potoczyły się sprawy, był tego pewien. A leśnik może nawet niczego już nie pamięta.

Gerber zauważył, że Nikolin jest już spokojniejszy i gotowy na powrót do zakładu. Zadzwoił do jego opiekunów, podał chłopcu jak zwykle szklanekę wody i rozsuwając zasłony, odsłonił widok na szare popołudnie ciężące nad Florencją.

Gdy miła pracownica socjalna pojawiła się w gabinecie i pomogła chłopcu wstać z bujanego fotela, zaburczało mu w brzuchu.

– Masz rację – skomentowała z uśmiechem. – Minęła pora obiadu, ale znajdziemy ci coś do jedzenia.

Usypiacz dzieci ucieszył się, że ktoś przejmuje się potrzebami Nica.

– Czy monitoring jego celi pozwolił wam zauważyć jakieś zmiany jego nastroju? – zapytał i spodziewał się tej co zawsze negatywnej odpowiedzi.

– Jaki monitoring? – odparła zdziwiona kobieta.

Gerber zdał sobie sprawę, że jej koleżanka go oszukała.

– Nico wciąż jest odseparowany od pozostałych chłopców, prawda?

– Początkowo tak było, teraz już nie. Przykro mi, ale nie dostaliśmy takich dyspozycji.

Poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość. Jak tamta harpia mogła tak bezwstydnie go okłamywać? Najwyraźniej zmieniła wszystko w prywatną potyczkę; prawdopodobnie była przekonana, że robi mu na złość, tymczasem zaszkodziła tylko chłopcu.

– Ale jak to?! – wykrzyknął zrozpaczony. – Przecież poleciłem, żeby utrzymywać go pod stałą obserwacją. W takich przypadkach nawet najmniejsza zmiana jego zachowania może być bardzo ważną wskazówką.

– To znaczy? – zainteresowała się kobieta.

Chwycił Nikolina za ramię i lekko nim potrząsnął.

– Czy pani w to wierzy, czy nie, pod tym niewzruszonym okryciem z ciała kryje się pulsująca dusza dziecka, która błaga, by ją uwolnić.

Nico oczywiście nie zareagował na jego gest; zachował się jak bezwładna lalka i gdy tylko Gerber zwolnił uścisk, chłopiec odzyskał równowagę i znów prawie znieruchomiał.

Pracownica socjalna miała jednak możliwość skupić się na oczach chłopca, być może w poszukiwaniu jakiejś iskry, która wskazałaby na to, że psycholog ma rację.

– Było jednak coś... – zaczęła nagle.

Usypiacz dzieci zatrzymał się, by jej wysłuchać.

– Być może nie jest to ważne, ale... – Przerwała. Pewnie nie chciała wyjść na kogoś, kto sądzi, że coś wie, a tymczasem się myli. – Chłopcy, którzy śpią w jego sali, twierdzą, że czasem mówi przez sen.

Mówi przez sen. Te trzy słowa wbiły się w głowę Pietra Gerbera niczym nieoczekiwane objawienie. Nie wiedział, na ile kobieta jest świadoma znaczenia tej informacji. Do tej pory Nikolin nigdy nie „mówił”, tylko udzielał swojego głosu fabularzowi.

– A czy jego koledzy powiedzieli, co mówi? – zapytał nieśmiało.

Kobieta pokręciła głową.

– Wypowiada zdania w niezrozumiałym języku.

Gerber pomyślał od razu o albańskim, języku ojczystym chłopca. Jeśli go używał, to znaczy, że przez sen nie mówił fabularz, ale prawdziwy Nikolin.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na chłopca. Zyskał dowód, że się nie pomylił i że w tym dziecku przetrwało coś, co walczy, by wydobyć się z muliska ciszy, w którym ugrzęzło. Długo się zastanawiał, jak wejść w kontakt z duchem Nica w zagubionym pokoju.

Dostał odpowiedź, której szukał: sny.

Pietro Gerber wiedział już, co zrobić.

34

Zaccaria Acher był człowiekiem łagodnym, może nawet najłagodniejszym z ludzi. Nigdy nie okazywał niepokoju, był przesadnie wstrzemięźliwy w zachowaniu i języku, a także zawsze wobec wszystkich uprzejmy.

Niedawno skończył siedemdziesiąt lat i mieszkał na trzecim piętrze budynku przy via Ricasoli, niedaleko Accademii, w apartamencie, który urządził z dużym smakiem, wyszukując razem z mężem Philipem antyki w sklepikach i na targach. Philipa, dwadzieścia lat młodszego Szkota, poznał, gdy stracił już nadzieję, że znajdzie kogoś, kto będzie mu towarzyszył przez resztę życia.

Prowadzili dość spokojne życie. Podczas gdy Zaccaria poświęcał się przede wszystkim nauce oraz bezsensownej pasji naprawiania starych zegarów, co jeszcze podkreślało jego łagodność, jego mąż zajmował się wszystkimi domowymi sprawami: robił zakupy i gotował. Nie byli zbyt ekstrawagancy i rozrzutni, z wyjątkiem wakacji na Elbie i koncertów muzyki klasycznej w niedzielne popołudnia. Raczej nie włączali się w życie towarzyskie: nie uczestniczyli w przyjęciach, nie chodzili do klubów i restauracji. Chlubili się tym, że wcześniej chodzą spać, najpóźniej o dwudziestej pierwszej.

Ale właśnie w tym momencie dnia pojawiała się prawdziwa ekstrawagancja ich życia.

Zanim położyli się do łóżka, Zaccaria zakładał na pizamę kaftan bezpieczeństwa sięgający mu aż do kostek. Mąż, po ułożeniu mu pod głowę poduszki, żeby leżał wygodnie, przechodził do starannego zapinania, jeden po

drugim, skórzanych pasków, które miały zmusić Zaccarię do nieruchomego leżenia na plecach. Po całusach na dobranoc Philip gasił światło, a jego mąż pozostawał w takiej pozycji aż do przebudzenia, które prawie zawsze następowało o szóstej rano. Przyczyna tych środków ostrożności była prosta, a jednocześnie zaskakująca.

Zaccaria Acher był wilkołakiem.

Ten termin, nadużywany przez literaturę gatunkową i horrory, ma bardzo ścisłą definicję naukową.

Pietro Gerber dowiedział się o tym niedługo po tym, jak poinformowano go, że to właśnie Zaccaria Acher jest osławionym panem Z., którego miejsce zajął jako młody człowiek tuż po dwudziestce podczas partii oblivio rozegranej na półpiętrze starej apteki pewnego czwartkowego zimowego wieczoru.

Czwarty członek Bractwa Florenckich Hipnotyzerów uznawany był za najważniejszego eksperta od parasomnii we Włoszech, a może też w Europie.

Zajmował się częstymi wśród ludzi zaburzeniami snu: od wydawania prostych dźwięków, przez wypowiadanie zdań czy monologów – często pozbawionych sensu – po prawdziwy somnambulizm. Wielu lunatyków ogranicza się do chodzenia bez celu po domu, ale niektórzy wstają w środku nocy, by wykonywać codzienne czynności, jak sprzątanie łazienki albo robienie prania. Innych dopada niepohamowany głód i opróżniają lodówkę, nie będąc nawet w stanie odróżnić, co pochłaniają. A jeszcze inni cierpią na nocne lęki; ci nie są w stanie wybudzić się podczas śnienia koszmaru. Niektórym przytrafiają się paraliże nocne: budzą się znienacka i choć są całkowicie przytomni, zdają sobie sprawę, że nie mogą poruszyć żadnym mięśniem ani wypowiedzieć słowa. Doświadczeniu lunatykowania towarzyszą czasem halucynacje.

Istnieją jednak jeszcze bardziej dramatyczne objawy parasomnii. Zgrupowane pod nazwą RBD – skrót od REM sleep Behavior Disorder – polegają na tym, że człowiek śni o nieistniejących sytuacjach zagrożenia i czując się w poważnym niebezpieczeństwie, reaguje w gwałtowny sposób. Konsekwencje tego ponoszą osoby dzielące z nim łóżko, które doznają urazów w wyniku zadrapań, ciosów albo

kopniaków. Te gwałtowne reakcje nie trwają długo – zazwyczaj kilka sekund – ale czasem to wystarczy, by wyrządzić poważne szkody.

Pan Z. odkrył, że jest z nim coś nie tak, w wieku dziewięciu lat, kiedy pewnej nocy próbował nieświadomie udusić śpiącą obok siostrzyczkę. Rodzice, nie potrafiąc sobie wytłumaczyć tego zachowania – zdiagnozowanego przez lekarzy jako forma schizofrenii – nie znaleźli lepszego wyjścia, niż zamknąć go we florenckim szpitalu psychiatrycznym San Salvi. Właśnie tam, na swoje szczęście, Zaccaria spotkał młodą lekarkę, która nie przejmując się krytyką większości kolegów mężczyzn z tego tylko powodu, że jest kobietą, mogła sobie pozwolić na postawienie jak na tamte czasy dosyć śmiałej diagnozy.

Likantropia.

Co zasadniczo znaczy tyle, że pacjent z powodu swojego somnambulizmu nie jest w stanie odróżnić wymiaru onirycznego od rzeczywistości. Nie zawsze konieczna jest pełnia, by zaistniały podobne objawy, najczęściej jednak ich występowaniu towarzyszy właśnie ta faza Księżyca. Stąd pochodzi cała seria ludowych wierzeń, które często przeradzają się w prawdziwe zabobony. Tak czy owak, istota schorzenia jest dość prosta.

Dotknięte nim osoby kontynuują sen również na jawie.

Pan Z., gdy wyszedł ze szpitala San Salvi, zdał sobie sprawę, że bez diagnozy lekarki mógłby spędzić całe życie w zamknięciu. Poświęcił się całkowicie badaniu parasomnii, przede wszystkim po to, by korzystając z hipnozy, pomóc tym, którym, jak jemu, groziło, że będą wytykani palcami jako szaleńcy albo – co jeszcze gorsze – zrobią krzywdę komuś bliskiemu tylko dlatego, że dzielą z nim łóżko.

Gerber zadzwonił do drzwi Zaccarii Achera około piątej po południu. Otworzył mu stary, dobry Philip w fartuchu w czerwono-białą kratkę i z ramionami w górze, jakby miał właśnie udzielić uroczystego błogosławieństwa, ale on po prostu rękę miał całe w mące, więc musiał nacisnąć klamkę łokciem.

– Pietro, wieki się nie widzieliśmy! – Powitał go jak zwykle serdecznym uśmiechem, pomijając milczeniem jego opłakany wygląd. – Wybacz, że cię nie

uściskam, ale zagniatam ciasto na focaccię i boję się pobrudzić ci trencz. – W każdym jego słowie słyszało się wyraźny szkocki akcent.

– Przyszedłem do pana Z.

Philip się uśmiechnął.

– Tylko ty tak go nazywasz, wiesz?

Był to delikatny sposób Gerbera, by podroczyć się z przyjaciółmi ojca, który kazał nazywać się swoim młodym pacjentom „pan Baloo” albo „pan B.”. Tyle tylko, że w stosunku do ojca Pietro Gerber używał tego przydomka w sposób pogardliwy, nawet po jego śmierci.

– Znajdziesz go oczywiście w pokoju zegarów – powiedział Philip, wskazując podbródkiem kierunek.

Gerber ruszył przez luksusowy apartament, witany prerafaelickimi malowidłami przedstawiającymi anielskie i obojętne damy. Był podekscytowany, bo do tej pory fabularz wyprzedzał go zawsze o krok, a on był zmuszony go gonić, bez możliwości przewidzenia jego ruchów. A teraz po raz pierwszy czuł, że ma małą przewagę.

Dotarł przed zamknięte drzwi i zapukał.

– Proszę.

Głos najłagodniejszego człowieka na ziemi zachęcił go do wejścia.

Zastał go siedzącego w czerwonym aksamitnym fotelu, ustawionym obok witraża z kwiatowymi motywami; pan Z. pochylał się nad stolikiem, na którym leżały zdemontowane zegarki. Był to dziwny człowieczek, przypominający mądrego starego elfa. Włosy, rosnące tylko po bokach głowy, miał zaczesane do tyłu, tak że odsłaniały nieproporcjonalnie duże uszy. Podniósł głowę znad swojej precyzyjnej pracy i spojrzał na gościa badawczo przez zegarmistrzowski monokl.

– Pietro Gerber – wymówił wyraźnie jego imię i nazwisko, odkładając malutki śrubokręt. Stary jamnik drzemał, zwinięty na jego kapciach.

Wszędzie dookoła ustawione były półki z zegarkami do reperacji. Jedynym, który działał, był stojący na stoliku zabytkowy model, ozdobiony połączanymi

ornamentami. Pośród absolutnej ciszy słycać było jego tykanie.

– Przypuszczam, że przyszedłeś przeprosić – skarcił go natychmiast pan Z., wkładając do ust bambusową fajkę Savinelli; pomieszczenie pogrążone było w mgiełce o zapachu Balkan Blend.

– Za co? – Gerber udał zdziwienie.

– Że zdezerterowałeś z apteki Münstermanna. Odkąd zmarł twój ojciec, zostaliśmy we trzech, a jak wiesz, w ten sposób nie da się grać w oblivio.

– Tak naprawdę przyszedłem w nieco istotniejszej sprawie...

Zaccaria spiorunował go wzrokiem.

– Co może być ważniejsze od zapewnienia przetrwania od wieków szykanowanej nielegalnej grze?

– *Habemus Malleum Animi* – oświadczył Gerber.

35

Po wymienieniu nazwy karty ze ślepyim człowieczkiem, która kończyła grę w oblivio, Pietro Gerber wziął krzesło stojące pod ścianą i usiadł przed panem Z.

– Musisz mi pomóc – powiedział poważnie.

Stary przyjaciel przechylił głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę, jakby chciał się dobrze przyjrzeć temu synowi marnotrawnemu, zanim udzieli mu przebaczenia.

– Jeśli przyszedłeś do mnie, musi chodzić o poważną sprawę – zawyrokował.

Gerber wiedział, że dotarł do granicy; musiał zdecydować, czy iść na całość i podzielić się z kimś posiadanymi informacjami, łamiąc pierwszy warunek postawiony przez fabularza.

Po pierwsze, nikomu o mnie nie powiesz.

Nie wiedział, co pociągnie za sobą przekroczenie tej cienkiej linii, ale pomyślał, że to nieprawdopodobne, by przeciwnik przewidział ten ruch. A poza tym – jaką miał alternatywę? Zaczął więc opowiadać historię Nikolina, chłopca uwięzionego w zagubionym pokoju. Zrobił to, niczego nie pomijając. Zabrał też ze sobą czarny notes z zapiskami i we właściwym momencie przekazał go Zaccarii Acherowi.

Ten zaczął gorączkowo przeglądać zeszyt.

Między miarowe uderzenia zegara stołowego wdarła się uciążliwa cisza, oczekiwanie zajęło miejsce słów.

– To niewiarygodne – odezwał się w pewnym momencie pan Z., podnosząc oczy znad notesu.

– Nie będziesz o tym z nikim rozmawiał, prawda? – upewnił się Gerber.

– Nawet gdybym to zrobił, kto by mi uwierzył? – odparł Zaccaria. – Wątpię, by ktoś poza naszym bardzo wąskim gronem był skłonny potraktować poważnie tego rodzaju historię.

– Masz rację – przyznał Gerber i po raz pierwszy zdał sobie sprawę z absurdalności tego, w co został wplątany. – Ta sprawa mnie spala – dodał, czując nagle ciężar zmęczenia. Podobnie jak Philip, Zaccaria dobrodusznie nie zwrócił mu uwagi, do jakiego stanu się doprowadził.

Pan Z. miał tylko jedną obawę.

– Nie jesteś w niebezpieczeństwie, prawda?

– Nie wiem – odparł Gerber i w gruncie rzeczy nie dbał o to. – Jedyne, co mnie gnębi, to bezpieczeństwo Silvii i Marca.

– Sądzisz, że rozstanie z nimi wystarczy, by ochronić ich przed możliwymi konsekwencjami?

– Tak – rzucił Gerber, ale bardziej by przekonać siebie. – Jeśli o mnie chodzi, to co jeszcze można mi zabrać? Wszystko, co mogłem stracić, utraciłem już dawno – skonstatował z goryczą.

– Ale Silvia i Marco mogliby jeszcze stracić ciebie – zwrócił mu uwagę stary przyjaciel.

To też już się stało, miał ochotę powiedzieć Gerber. Ostatni telefon od żony był tego dowodem.

Pan Z. zadowolił się jego milczeniem.

– Teraz możesz mi opowiedzieć całą resztę... – powiedział.

Wreszcie dotarli do sedna sprawy. Bo była jeszcze jedna rzecz, o której Pietro Gerber nie wspomniał: powód, dla którego się tu zjawiał.

– Nico mówi przez sen. Robi to w swoim języku ojczystym: po albańsku.

– Dlatego jest prawdopodobne, że stan trwałego transu, w który wprowadził go fabularz, ustępuje, kiedy chłopiec zasypia – snuł przypuszczenia Zaccaria.

– Jest tu luka – potwierdził Gerber.

Gospodarz przesunął stolik z częściami zegarka, wysunął stopy w kapciach spod jamnika i wstał z fotela. Przechadzał się po pokoju i rozmyślał, napełniając fajkę nowym tytoniem.

– Gdy mówimy przez sen, otwiera się jakby szpara w naszej podświadomości. Wydobywają się stamtąd rzeczy, których nie powiedzielibyśmy nigdy, gdybyśmy byli w pełni świadomi – wyjaśnił. – Miałem kiedyś pacjenta zdradzającego żonę, który co noc przyznawał się jej do swoich romansów.

Silvia też mówiła przez sen, przypomniał sobie Gerber. Była to jedna ze słodkich tajemnic, o których wiedział tylko on. Ciekawe, czy jej narzeczony – Luca – też docenia te drobne niedoskonałości jego byłej żony.

– Być może mógłbyś dotrzeć do umysłu chłopca podczas snu i oderwać go od tych bolesnych myśli – powiedział pan Z.

Dokładnie to Gerber chciał usłyszeć.

– Uważasz, że można nawiązać kontakt?

– Nie jest powiedziane, że to zadziała – ostrzegł go Zaccaria. – Zewnętrzny bodziec, na przykład twoje pytanie, mógłby po prostu przywrócić go do stanu zawieszenia stworzonego przez fabularza, kiedy Nikolin wygląda na czuwającego.

– Co więc mogę zrobić?

Zaccaria zatrzymał się, przez chwilę wpatrywał w zegar stołowy ze złożonymi zdobieniami, po czym położył na nim dłoń.

– Czas – rzucił. – Odpowiedzią jest czas.

Gerber czekał, aż to wyjaśni.

– Widzisz ten zegar? Wyszperałem go w antykwariacie wiele lat temu. Nie zapłaciłem nawet zbyt wiele, bo nigdy nie pokazuje właściwej godziny... Raz na jakiś czas staje, ale potem znów zaczyna chodzić.

Gerber popatrzył na niego z pytającą miną.

Wtedy Zaccaria wskazał na tarczę zegara.

– Teraz stoi już od kilku minut.

Ledwie to powiedział, Gerber przestał słyszeć tykanie.

Pan Z. się uśmiechnął.

– Nie zauważyłeś, prawda?

– Mój umysł powtarzał dźwięk w sposób automatyczny, jakby to było echo pamięci. – Wciąż jednak nie rozumiał, dlaczego Zaccaria podał mu ten przykład.

– Zdarzyło ci się kiedyś śnić o upadającym wazonie i potem obudzić się gwałtownie, bo w domu właśnie spadł wazon?

– Tak – przyznał Gerber. – Raz śnił mi się Marco, który płakał w łóżeczku, a potem naprawdę zaczął płakać.

– W rzeczywistości... i jest oczywiste... nie stałeś się jasnowidzem. Miało miejsce coś dokładnie odwrotnego: płacz Marca jest wydarzeniem poprzedzającym, ale twój śpiący umysł o ułamek sekundy wyprzedził wspomnienie, by umożliwić ci natychmiastową reakcję. W snach nie ma „przed” i „po”. W snach czas nie istnieje.

– Czas jest projekcją czuwającego umysłu, jak w przypadku tykania twojego zegara – wywnioskował Gerber, który zaczynał rozumieć, co kryje się za tą tajemnicą. – Natomiast w snach można podróżować w czasie.

– Za pomocą właściwego bodźca mógłbyś podczas snu Nikolina cofnąć go w przeszłość i w ten sposób wybudzić go ze stanu hipnotycznego transu, w który wprowadził go fabularz – potwierdził Zaccaria Acher. – Ale potrzebujesz czegoś, co jest związane z przeszłością chłopca. Może to być na przykład kołysanka, którą śpiewała mu matka, kiedy był mały, albo coś w tym rodzaju.

Entuzjazm Gerbera przygasł: nie wiedział praktycznie nic o przeszłości Nica.

Przyjaciel dostrzegł jego rozczarowanie.

– Nikt nie powiedział, że będzie łatwo – rzucił. – Ale to jedyny sposób.

Gerber zastanawiał się przez chwilę. Może coś by się znalazło, ale prawdopodobieństwo było takie jak w przypadku wygranej na loterii.

36

Pietro Gerber nie mógłby nigdy zapomnieć dziewczynki w lustrze.

Miała na imię Ambra. Ale to imię było zbyt bolesne dla pamięci. Natomiast kiedy przypominał sobie lustro, łatwiej mu było przywoływać to, co wydarzyło się pewnego listopadowego wieczoru przed wielu laty.

Po ukończeniu uniwersytetu Pietro rozpoczął staż u pana B. Codziennie udawał się do gabinetu na poddaszu i siedząc w przyczajeniu w lesie z papier *mâché*, przyglądał się rytuałowi, dzięki któremu ojciec zanurzał małych pacjentów w otchłani ich psychiki, po czym wchodził tam wraz z nimi, by eksplorować ukryty w ich wnętrzu nieznaną świat, niczym w powieści Juliusza Verne'a. Pietrowi zawsze podobało się to porównanie, przypominało mu dzieciństwo i willę nad morzem w Argentario, kiedy zamykał się w bibliotece matki, której dobrze nie poznał, w nadziei, że odnajdzie coś z niej w czytanych przez nią w dzieciństwie książkach.

Młody doktor Pietro Gerber miał kategorię zakaz ingerowania w sesje hipnozy ojca poprzez zadawanie pytań albo komentarze, nie mógł też oczywiście wchodzić w interakcje z dziećmi. Jego zadaniem było sprawdzanie, czy ukryte mikrofony działają, jednoczesne włączanie płyty z piosenką *Pod łapą masz* na adapterze i taśmy w magnetofonie, by nagrać to, co działo się w pokoju. W końcu mógł zająć pozycję za jednym z baobabów i nie miał prawa pisać ani słowa. Jego główna działalność w pierwszym roku praktykowania ograniczała się do tego

„technicznego” aspektu i przede wszystkim do troszczenia się o konserwację płyty, która dawała złudzenie umysłowej podróży.

Ale tamtego listopadowego wieczoru wszystko nagle uległo zmianie.

Po południu pan B. odebrał telefon. Zadzwoiła jego przyjaciółka, anestezjolożka ze szpitala Careggi. Pietro wiedział o działalności ojca jako wolontariusza na kilku oddziałach pediatrycznych, ale nie miał pojęcia, na czym dokładnie polegała. Przypuszczał, że pan B. łagodzi hipnozą bóle małych pacjentów, poddawanych często uciążliwym terapiom. Mogła to być alternatywa dla stosowania opioidów.

Nigdy, przenigdy nie mógłby sobie wyobrazić, że ojciec pomaga im wyruszyć w najtrudniejszą podróż. Tę poza własne życie.

Odkrył to dopiero wtedy, gdy poznał Ambrę.

Ośmioletnia dziewczynka jeszcze kilka godzin wcześniej miała przed sobą potencjalnie szczęśliwe życie. Wszystko zdarzyło się w krótkim czasie: jechała skuterem z matką, która odebrała ją po lekcji tańca klasycznego. Trasa do domu, pokonywana niemal codziennie, liczyła zaledwie parę kilometrów. Tyle że tamtego dnia zaskoczyło je oberwanie chmury, które w kilka sekund zatopiło ulice Florencji. Mama Ambry roztropnie zatrzymała skuter, gdy tylko zdała sobie sprawę z siły nawałnicy. Schowały się razem pod wiatą i czekały, aż burza ucichnie. Ale w tym momencie kierowca przejeżdżającego autobusu miejskiego stracił orientację z powodu gęstego deszczu, wypadł z trasy i rozbił się, potracając kobietę i jej córkę.

Matka zmarła na miejscu. Dziewczynka cudem ocalała; po przyjeździe karetki miała tylko złamaną prawą kość łokciową. Ale kiedy w szpitalu wkładali jej rękę do gipsu, zaczęła czuć ostry ból w brzuchu.

Wynik ultrasonografii był dramatyczny. Nieodwracalny krwotok wewnętrzny.

Kiedy pan B. i Pietro dotarli do szpitala Careggi, Ambrze pozostawało niewiele życia. Ale wciąż wzywała swojego tatę. Ojca, który był w podróży służbowej, zawiadomiono o wypadku i już znajdował się na pokładzie samolotu lecącego do

Florencji. Poinformowano go o śmierci żony, ale zapewniono, że córka ma tylko złamaną rękę. Nie mógł wiedzieć o dalszym rozwoju wypadków, a poza tym i tak nie zdążyłby dotrzeć na czas, by po raz ostatni uścisnąć dziewczynkę.

– Nie możemy nawet dać jej do posłuchania jego głosu przez telefon, bo ma wyłączoną komórkę – wyjaśniła im anestezjolożka.

Pomyślała, że pan B. może umożliwić dziewczynce spotkanie z tatą.

Pietro nie wiedział, jak można spowodować, żeby wydarzyło się coś, co było niemożliwe, i gdy zapytał o to ojca, ten odparł po prostu:

– Telepatia. Sprawimy, że skomunikują się w myślach. – Widząc zdumienie na jego twarzy, pan B. wyjaśnił: – Tata, z którym ją skontaktujemy, nie jest tym, który leci teraz samolotem, ale człowiekiem żyjącym od zawsze w jej wspomnieniach. – Spojrzał na Pietra i dodał: – Zahipnotyzujesz ją i wcielisz się w niego.

– Ja? – zapytał Pietro, który absolutnie nie czuł się na to gotowy.

– Będziesz postępował według moich wskazówek.

– Nie wydaje mi się, że to dobra chwila na eksperymenty – oświadczył stanowczo Pietro. – Jeśli to w ogóle jest możliwe, a mam co do tego poważne wątpliwości, ta dziewczynka ma tylko tę jedną szansę i nie chcę jej zmarnować.

Pan B. położył ręce na ramionach syna i spojrzał mu głęboko w oczy.

– Gdybyś w tym momencie był jedynym, który może to zrobić, cofnąłbyś się?

– Właśnie w tym rzecz: nie jestem jedyny – odpowiedział Pietro, mając nadzieję, że przemówi ojcu do rozsądku. – Ty tu jesteś.

– Ale ja tego nie zrobię – padła wyraźna odpowiedź z ust pana B. – Dlatego jeśli ci się nie powiedzie, będziesz zawsze mógł obarczyć winą mnie.

Pietro umilkł, bo wiedział, że wszelki protest będzie daremny.

– A więc? Wybrałeś już jakiś przedmiot, który zastosujesz przy wprowadzaniu pacjentów w hipnozę?

Pan B. miał płytę z piosenką, inni używali wahadełka, spirali, małej latarki elektrycznej... wybór był ogromny. Jak wyjaśnił ojciec, niektórzy jego koledzy

woleli posługiwać się dotykiem albo głosem. Ale używanie „empirycznego przedmiotu” albo „fetyszu przejścia” było jego zdaniem praktyczniejsze.

Pietro nie był zaskoczony – myślał o tym od pewnego czasu.

– Użyję metronomu – powiedział.

W następnych latach na stoliku w jego gabinecie będą się pojawiać różne egzemplarze: poczynając od tych klasycznych – mechanicznych – przez cyfrowe, po elektroniczny model z lat siedemdziesiątych, którego używał ostatnio. Wybierał je starannie w zależności od wydawanego przez nie dźwięku i był w stanie odróżnić nawet niuanse. Ale tamtego dnia zdecydował się na metronom ze wskazówką, zamknięty w metalowym pudełku. Nosił go już od jakiegoś czasu.

– Bardzo dobrze – pochwalił wybór pan B. – Będziemy też potrzebowali lustra.

Pielęgniarze zdjęli je ze ściany jednej z łazienek w szpitalu i przynieśli do pokoju Ambry; umieszczono je dokładnie przed jej łóżkiem.

– Teraz staniesz za jej plecami – powiedział pan B. – W taki sposób, żeby widziała w odbiciu ciebie, ale także siebie. Gdy tylko wprowadzisz ją w trans, twój obraz zostanie zastąpiony obrazem jej ojca.

Dziewczynka miała mieć przez cały czas otwarte oczy.

Zmniejszono dawkę morfiny, którą lekarze uśmierzali ból fizyczny, żeby umożliwić Ambrze odzyskanie poziomu świadomości umożliwiającego przeprowadzenie sesji hipnozy. Z napiętymi nerwami i mocno bijącym sercem Pietro rozpoczął swój pierwszy eksperyment z dziecięcą hipnozą. Zaskakujące było odkrycie tego, że podczas gdy dziewczynka poddawała się jej działaniu, on też się rozluźniał. Początkowo pan B. szeptał mu do ucha instrukcje, potem przestał.

Ciągle stojąc za dziewczynką, Pietro ujął jej dłoń i mocno ścisnął. Potem, korzystając ze wspomnień zgromadzonych przez Ambrę w ciągu ośmiu lat jej życia, przywołał postać ojca, mając nadzieję, że zmaterializuje się w lustrze.

Gdy dziewczynka się uśmiechnęła, zdał sobie sprawę, że jej tata się pojawił i że go widzi.

Pietro zaczął do niej mówić, jakby był nim; wypowiadał czułe, choć mało konkretne słowa, bo nic nie wiedział o człowieku, którego udawał, ani o stosunkach, jakie łączyły go z córeczką. Zadziwiające było to, że nie dostrzegła różnicy.

Ambra naprawdę słyszała głos ojca.

Poprosił, żeby była silna i odważna, i obiecał, że już niedługo ból minie na zawsze. Pietro nie wierzył w zaświaty, więc nie mógł jej zapewnić, że po drugiej stronie coś albo ktoś na nią czeka, na przykład mama. Ale zdał sobie sprawę, że Ambra nie oczekiwała tego rodzaju pocieszenia. Chciała zobaczyć ojca z konkretnego powodu.

Miała dla niego wiadomość.

– Guendalina trafiła na dno zielonej szafy. A kiedy ona płacze, ja też źle się czuję.

Zarejestrował te dziwne słowa z zamiarem przekazania ich temu, do kogo były skierowane, przekonany, że ojciec Ambry na pewno zrozumie ich znaczenie.

Potem dostrzegł, że oddech dziewczynki staje się coraz słabszy. Z wyrazu twarzy w lustrzanym odbiciu zorientował się, że Ambra nie odczuwa już bólu; była spokojna. Nadszedł moment ostatecznego rozstania.

Powiedział, żeby zamknęła oczy, i pozwolił jej odejść.

Zobaczył, że oddala się w lustrze, jakby zabierał ją odpływ jakiegoś nieznanego srebrnego morza. Gdy zwolniła uścisk jego dłoni, zrozumiał, że nie ma jej już z nimi.

Często słyszał pana B. mówiącego, że „nasz umysł jest o wiele potężniejszy od naszej świadomości”, i o „potędze umysłu okłamującego samego siebie”, nie rozumiał jednak w pełni sensu tych słów. Teraz jednak miał dowód na ich prawdziwość i wiedział, że ma w posiadaniu bardzo skuteczne narzędzie, które może poprawić życie ludzi.

Ostatni akt daru pana B. dokonał się przed oczami umierającej dziewczynki. Przekazywanie instrukcji zostało zakończone.

Kiedy więc Pietro Gerber spotkał ojca Ambry, który – jak było do przewidzenia – pojawił się za późno przy łóżku córki, był już pełnowartościowym usypiaczem dzieci. Choć poprowadził swoją pierwszą pacjentkę przez sen, z którego się już nie obudziła.

Gdy przekazał mężczyźnie ostatnie słowa córeczki, ten zareagował zdumieniem. Biedak, przytłoczony cierpieniem po nagłej utracie rodziny, nie miał pojęcia, kim jest Guendalina, i powiedział, że w ich domu nigdy nie było zielonej szafy. W tym momencie musiał jeszcze zdecydować, czy pozwolić na pobranie narządów Ambry, by jej śmierć nie była całkowicie daremna, Pietro postanowił więc nie nalegać i nie zadrećczać go dłużej tą sprawą; ostatnie słowa dziewczynki tłumaczył sobie majaczeniem zazwyczaj poprzedzającym koniec.

Po upływie kilku lat, już po śmierci pana B., którego Pietro stał się godnym następcą, ojciec Ambry pojawił się jednak w gabinecie na poddaszu. Początkowo Gerber go nie rozpoznał, ale gdy zrozumiał, kogo ma przed sobą, czas cofnął się w jednej chwili.

– Wiem, kim jest Guendalina – oznajmił triumfująco mężczyzna. – Odkrycie tego zajęło mi bardzo dużo czasu, ale w końcu się udało. Obawiam się jednak, że to, co zaraz powiem, będzie dla pana wstrząsem.

Gerber chciał odpowiedzieć, że w swojej pracy miał już wiele dowodów na to, jak szokująca może być czasem rzeczywistość, lecz postanowił tego nie mówić.

Dowiedział się, że Guendalina to lalka. I to nie ona płakała, ale dziewczynka, do której należała. Mieszkała w Bergamo i nie mogła się pogodzić z tym, że ją zgubiła.

– Zadzwoiłem do jej rodziców i powiedziałem, żeby poszukali w zielonej szafie – opowiadał mężczyzna. – Nie wiedzieli nawet, że mają w domu mebel tego koloru. A lalka rzeczywiście leżała na dnie szafy, schowana za stertą starych koców.

Ambra i dziewczynka z Bergamo nigdy się nie spotkały. Dziewczynka z Bergamo nie mogła znaleźć lalki, kiedy rodzice przywieźli ją do domu ze

szpitala, gdzie wszczepiono jej nowe serce, bo jej nie pracowało tak, jak trzeba.

Serce Ambry.

A kiedy ona płacze, ja też źle się czuję.

Właśnie tak powiedziała Ambra w lustrze tuż przed śmiercią. Zwiastun przyszłego bólu – bólu innej dziewczynki – którego ona nigdy nie dozna. Ale jej serce być może tak.

I dlatego według jej ojca, gdziekolwiek była, wciąż pozostawała połączona ze światem, z którego na zawsze odeszła.

Pietro Gerber nie potrafił na to znaleźć racjonalnego wyjaśnienia; nigdy nie wierzył w istnienie mostu łączącego naszą rzeczywistość z jakąś drugą, niewidoczną. Nie chciał jednak odbierać złudzeń temu człowiekowi i pozwolił, by ten pocieszał się myślą, że śmierć ośmioletniej dziewczynki miała sens w ramach niewytłumaczalnego uniwersalnego planu.

A przecież odkąd Silvia wyprowadziła się z ich florenckiego mieszkania, zabierając ze sobą Marca, za każdym razem, gdy wchodził do pokoiku syna, ogarniało go dziwne uczucie dyskomfortu. Każdy przedmiot wciąż nosił w sobie smutne szczęście.

Tak również było tego wieczoru, po powrocie ze spotkania z Zaccarią Acherem.

Dzieci przemawiają do nas poprzez swoje zabawki, pomyślał. To im, a nie nam, powierzają swoje sekrety. Jakby zabawki wiedziały rzeczy, o których nie mówi się dorosłym.

Tak jak lalka Guendalina.

Po zapaleniu lampy w kształcie klauna Gerber zaczął grzebać w rzeczach syna, przekonany, że znajdzie coś, co mu pomoże wejść w sny Nikolina i nawiązać z nim kontakt.

Do pudełka z autkami i koparkami we wszystkich kolorach i rozmiarach, które były pasją Marca, trafił wydający różne dźwięki świecący telefon. Taki sam jak ten,

który Anita Baldi pokazała mu poprzedniego dnia, wyjąwszy go z papierowej torby z dziecinnymi rysunkami Nica.

Gerber wziął telefon syna i usiadł na podłodze z nogami wyciągniętymi na wykładzinie i plecami opartymi o ścianę.

Trzymał telefon i przyglądał mu się.

Wyobrażał sobie albańskiego chłopca zamkniętego w zagubionym pokoju. Krzyczącego rozpaczliwie i uderzającego pięściami w ścianę, w nadziei, że ktoś mu pomoże. Ale nikt nie mógł go usłyszeć.

Gdy te nieme krzyki rozbrzmiewały w jego wyobraźni, Gerber zdał sobie sprawę z tego, co próbował ignorować przez cały dzień: nie szukał wyzwalacza, by odblokować nowy fragment opowieści fabularza. Miał inny cel. I nie chodziło po prostu o stworzenie kanału komunikacji dla Nikolina, lecz o to, by wykorzystując jego ulubioną zabawkę, przenieść go w czasie do wczesnego dzieciństwa – tak poradził Zaccaria Acher.

Ale jakie byłyby konsekwencje w przypadku, gdyby Gerber się pomylił? Na tym polegało ryzyko. Jeszcze kilka godzin i dowie się, czy dokonał właściwego wyboru.

Ledwie zobaczył Nikolina w białym kombinezonie, wchodzącego na poddasze i kierującego się do bujanego fotela, Pietro Gerber natychmiast pożałował tego, co zamierzał zrobić. Bo tym razem, ponownie przeciwstawiając się zaleceniom fabularza, narażał bezpieczeństwo chłopca.

Może powinien przemyśleć to dobrze, zanim zacznie działać. Ale może było za późno i nie mógł się już wycofać.

Odesłał nową pracownicę socjalną i strażników, po czym zamknął drzwi. Podeszedł do dzbanka z wodą i nalał szklanekę dla Nica, nie czekając jak zawsze na koniec sesji. Ale zanim mu ją podał, wziął fiolkę, przechylił ją i wlał do wody kilka kropel diazepam; rozpuściły się od razu w przezroczystym płynie.

Nico jak za każdym razem przyjął szklanekę i pochłoniął jej zawartość. Dopiero w tym momencie Gerber popchnął bujany fotel, w milczeniu wrócił na swoje miejsce i czekał.

Kiedy jego pacjent zamknął oczy, Gerber, wiedząc, że chłopiec śpi, mógł rozpocząć eksperyment.

Wyjął z kieszeni telefon zabawkę Marca, identyczny jak ten znaleziony w aucie, w którym Nikolin mieszkał z matką, i nacisnął czerwony guzik na atrapie wyświetlacza. Ekran zaświecił się i zadźwięczał wesoły dzwonek przypominający karylion. Muzyczka trwała kilka sekund, potem umilkła.

Nie zrobiło to na chłopcu żadnego wrażenia.

Gerber spróbował powtórnie, nacisnął jeszcze raz guzik i czekał. Znowu nic. Postanowił się nie spieszyć. Nie istniały żadne reguły czy procedury, których musiał przestrzegać – wszystkie jego działania były improwizacją. Dlatego nie wiedział, czy postępuje właściwie. Mógł mieć tylko taką nadzieję.

Wziął czarny notes z zapiskami dotyczącymi sprawy Nikolina i przekartkował go pobieżnie; zatrzymał się na ostatniej stronie. Po nieudanej ucieczce opowieść dwunastoletniego fabularza przerwała się w miejscu, kiedy „wujek” przedstawił mu szalony plan stworzenia rodziny z rudowłosą kobietą z polaroida, która nie mogła mieć dzieci. Ork zapowiedział też zbliżający się przyjazd „nowej matki”.

Kim była ta kobieta? Być może Gerber nigdy się tego nie dowie.

W tej historii uderzył go jednak pewien szczegół: „wujek” powiedział chłopcu, że poznali się z kobietą korespondencyjnie. Choć działo się to przed ponad dwudziestu laty, to jednak istniały już wtedy telefony komórkowe i internet, były szybsze i bardziej skuteczne sposoby nawiązywania relacji i komunikowania się. Usługi pocztowe wydawały się już trochę przestarzałe. Ten anachronizm nie pasował, ale nie był to jedyny absurdalny element tej historii, która coraz bardziej przypominała niepokojącą bajkę. Gerber zanotował ten szczegół.

Poznali się listownie.

Podniósł wzrok znad notatnika i zauważył, że pod powiekami Nikolina zaczynają się pojawiać ruchy gałki ocznej – znak, że chłopiec śni. Uznał, że to może być dobry moment na kolejną próbę.

Zamknął notes i włączył telefon zabawkę.

Tym razem chłopiec zareagował na bodziec: podniósł głowę i pokręcił nią w obie strony, jakby dźwięk mu przeszkodził. Albo jak ktoś, kto tonie i próbuje się z trudem wynurzyć, żeby zaczerpnąć powietrza, pomyślał Gerber.

Nico poruszył wargami. Niewiarygodne! Gerber nie mógł jednak ustalić, czy chłopiec rzeczywiście coś powiedział. Wstał i podszedł do niego, nadstawiając

ucha. Nikolin powtórzył coś szeptem. Było to jakieś słowo, ale usypiacz dzieci nie potrafiłby go powtórzyć. W końcu usłyszał wyraźniej.

– *Mamae...* – Rozpaczliwe wołanie skierowane do matki.

Było mu żal chłopca, ale coś w jego głosie wydało mu się dziwne.

– *Mamae... mamae... mamae...* – Nico mówił z miękkim akcentem, pozbawionym szorstkości języka albańskiego.

Gerber postanowił na razie nie zaprzętać sobie tym głowy; musiał wykorzystać kontakt, jaki udało mu się nawiązać. Żeby wydobyć chłopca z zagubionego pokoju, powinien przyciągać go powoli i spokojnie. Najpierw należało przekonać go, by mu zaufał, następnie, by poszedł za nim w ciemności, która na pewno go otaczała, żeby w końcu wydostać się na powierzchnię, do światła.

– Nikolin – wezwał go, rozpoczynając proces odzyskiwania.

Chłopiec miotał się na bujanym fotelu, jakby walczył z jakąś tajemniczą gorączką albo koszmarem, z którego nie mógł się wybudzić.

– Nico – spróbował jeszcze raz. – Nico, jeśli mnie słyszysz, musisz mi odpowiedzieć.

Przez kilka minut powtarzał to, ale bezskutecznie. Chłopiec jęczał, lecz nic więcej nie powiedział.

Gerber zastanawiał się, jak inaczej pokonać opór i prawdopodobnie także lęki Nikolina, kiedy jego spojrzenie przyciągnęło czerwone światełko na suficie gabinetu: na chwilę się zapaliło. Podniósł głowę, myśląc, że się pomylił. Ale sygnał znów się pojawił.

Kto naciskał guzik w poczekalni zarezerwowany dla pacjentów?

Wstał z fotela i zrobił kilka kroków w stronę światełka, które niewzruszone domagało się jego uwagi. Wpatrywał się w nie jak zaczarowany, nie wiedząc, jak się zachować. Przypomniał sobie pierwszą wizytę fabularza, przed tym, jak znalazł igłę z nitką wbitą w jabłko. Prawdopodobnie teraz lampka karciała go za to, że łamie warunki, które mu postawiono.

Zdemaskował mnie, pomyślał. A teraz przyszedł, bo chce odebrać dziecko.

Pomysł był poroniony, ale nic innego nie przychodziło Gerberowi do głowy. Nie wiedział, jak zareagować. Nagle ktoś zapukał do drzwi.

– Doktorze! – usłyszał głos pracownicy socjalnej z zakładu.

Serce Gerbera przestało wprawdzie bić jak oszalałe, lecz całkiem się nie uspokoiło. Co się dzieje? Ta kobieta powinna czekać na dole razem ze strażnikami, więc co tu robi?

– Przyszliśmy zabrać chłopca – oznajmiła spokojnym, ale stanowczym tonem.

– Proszę nas wpuścić.

Zaskoczony, odwrócił się do Nica – chłopiec nadal spał niespokojnie – po czym podszedł do drzwi.

– Jeszcze nie skończyliśmy – powiedział cicho.

– Zadzwoniła do nas sędzia Baldi i kazała zabrać stąd Nikolina.

Gerber był zaskoczony. Nie zastanawiając się nad powodem decyzji sędzi, rozważał, co może zrobić w tej sytuacji.

– Musi mi pani dać jeszcze kilka minut – oświadczył. – Muszę wyprowadzić chłopca z transu. – Nie przyznał się, że tym razem uspił go diazepamem, co było zresztą sprzeczne z wszelkimi zasadami deontologicznymi.

Po drugiej stronie drzwi zapadła na chwilę cisza.

– Dobrze, ale proszę się pospieszyć. Poczekamy na korytarzu.

Zyskał trochę na czasie. Nie za wiele, ale musiało mu wystarczyć. Wrócił do chłopca i postanowił zrezygnować z początkowego pomysłu stopniowego wybudzania. Powinien skorzystać z tej szczęśliwej sytuacji, w której Nikolin wynurzył się częściowo ze stanu permanentnego transu wywołanego przez fabularza, i spróbować natychmiast obudzić go całkowicie.

– Chciałbym, żebyś podązał za moim głosem – powiedział. – Żebyś się go uchwycił, jakby to była lina.

Chłopiec w żaden sposób nie zareagował, Gerber spróbował więc jeszcze raz, ale ruchy ciała pacjenta spowolniły się: Nico prawie przestał się szarpać i wracał do początkowego stanu spokoju.

Usypiacz dzieci zorientował się, że okno świadomości się zamyka.

– Nikolin, zabiorę cię do twojej matki – obiecał, wiedząc, że to niemożliwe, bo kobieta na pewno nie żyje. Był jednak zdesperowany i nie wiedział, czego się uchwycić, by zyskać jego zaufanie. – Słyszałeś? Znów uściśniesz Mirę – powiedział, używając czułego zdrobnienia, jakim wszyscy się do niej zwracali.

Na dźwięk tego imienia Nico wydobył się z na poły katatonicznego stanu, w którym znów się pogrążył. Gerberowi wydawało się, że osiągnął cel, ale – w przeciwieństwie do tego, czego oczekiwał – reakcja chłopca okazała się bardzo gwałtowna.

Zaczął wrzeszczeć z zamkniętymi oczami.

Jego krzyk wdarł się w ciszę poddasza. Usypiacz dzieci wycofał się, zбитy z tropu. Kiedy Nikolin zaczął walić się pięściami po głowie w ataku hysterii, Gerber spróbował chwycić go za ręce, ale ten stawiał opór.

Piski przyciągnęły uwagę strażników; wpadli do pokoju bez pukania, a za nimi pracownica socjalna. Ruszyła prosto do bujanego fotela, żeby spróbować uspokoić wciąż bijącego się po głowie Nica.

– Niech go pani nie dotyka – nakazał jej psycholog.

– Musimy coś zrobić – rzuciła twardo. Otworzyła zamykaną małą saszetkę, którą ze sobą nosiła, i wyjęła z niej strzykawkę ze środkiem uspokajającym. Przygotowała ją szybko, chwyciła mocno ramię chłopca, ścisnęła i wbiła w nie igłę.

Po kilku sekundach było po wszystkim.

Nikolin otworzył oczy jakby nigdy nic. Ale jego źrenice były szkliste niczym okna pustego domu.

Gerber wziął małą latarkę i zajrzał w jego tęczówki; wiedział, że poniósł porażkę. Zwrócił się do kobiety z wściekłym spojrzeniem.

– Dlaczego nam przerwaliście? Czego, do diabła, sędzia Baldi chce od tego dziecka?

Spojrzała na niego surowo.

– Znalaziono jego matkę – oznajmiła.

Ta wiadomość sparaliżowała Pietra Gerbera. Ależ oczywiście, powinien był się tego domyślić. Ale to nie było wszystko.

– Żyje.

38

Znalazły ją psy szukające zwłok, gdy krążyła zagubiona po lasach Mugello, parę kilometrów od miejsca, w którym hodowczyni koni spotkała kilka dni wcześniej jej syna. Mirbana Xhuljeta Laci, zwana Mirą, miała na sobie czyste ubrania i poza odmrożeniami po spędzeniu nocy na dworze była w dobrym stanie.

Ratownikom wydała się zdezorientowana. Wiedziała, kim jest, ale jej pamięć zatrzymywała się na dniu, kiedy złapała gumę, jadąc z synem drogą lokalną 477.

Śledczy przypisali amnezję szokowi, ale byli przekonani, że wkrótce uda im się uzyskać od niej informację, gdzie przebywała z synem przez ostatnie osiem miesięcy. Gerber natomiast natychmiast pomyślał, że fabularz, stosując hipnozę, wymazał jej wspomnienia.

Gdy wracał do domu piechotą przez opustoszałą już w pierwszych godzinach deszczowego popołudnia Florencję, nie zwracając uwagi na to, że mimo trencza moknie, szukał wiarygodnego powodu, dla którego porywacz ją wypuścił.

Było wykluczone, że od niego uciekła, bo tego nie pamiętała.

Mogło być tysiąc wyjaśnień. Aż do tego dnia karabinierzy byli przekonani, że Nikolin zabił matkę, dlatego szukali tylko zwłok.

Nikt nie polował na porywacza. Tylko Pietro Gerber wiedział o jego istnieniu.

Ale może ktoś, kto ją przetrzymywał, mimo wszystko miał wrażenie, że jest osaczony, może wyczuł zaciskający się wokół niego krąg. Niewykluczone, że policja dotarła blisko miejsca jego kryjówki, więc żeby uniknąć zdemaskowania, wolał pozbyć się zakładniczki; wiedział, że Mira i tak nie będzie mogła dostarczyć

informacji, które pozwolą go zidentyfikować. Gdyby ją zabił i znaleziono by ciało, to stwierdzony przez patologa czas zgonu wykluczyłby winę Nikolina, który znajdował się już w zakładzie. Wtedy śledczy szukaliby nie tylko porywacza, ale też zabójcy. Takie rozwiązanie wybrane przez fabularza byłoby najprostsze, a jednocześnie najbardziej przebiegłe.

W ten sposób pozostałby niewidzialny.

Ale Gerber wciąż nie był w stanie pojąć jednej rzeczy: dlaczego fabularz porwał również Mirę, choć dla swoich celów potrzebował tylko Nica? Zajmowanie się dwojgiem zakładników na pewno niosło ze sobą zwiększone ryzyko i sporo trudności logistycznych.

Nie miało to sensu.

No właśnie, pomyślał Gerber. Jaki zatem był prawdziwy cel tajemniczego hipnotyzera o nadzwyczajnych zdolnościach manipulacji? Dlaczego obmyślił taki plan? Tylko po to, żeby Nikolin odkrył przed Gerberem starą historię sprzed dwudziestu dwóch lat? A poza tym – dlaczego wybrał właśnie jego jako słuchacza tej opowieści?

Do tej pory usypiacz dzieci nie zadawał sobie takich pytań zbyt często; był skoncentrowany wyłącznie na ocaleniu Nica, bo wiedział, że tylko on jest w stanie wyciągnąć chłopca z zagubionego pokoju.

Ale teraz nadszedł czas, by zmierzyć się z innymi kwestiami.

Historia przekazywana za pośrednictwem Nikolina, zaszczerpiona w jego umyśle, pozostała w zawieszeniu. W tym leżał problem. Może gdyby była kontynuowana, wyszłyby też na jaw motywacje ukryte w kryminalnym planie fabularza.

Ten człowiek nie pozostanie przyczajony w cieniu, gdy wszystko się wokół niego wali, założył Gerber. Jeśli postawił sobie cel, zrobi wszystko, by go osiągnąć. Albo, zanim zniknie na zawsze, będzie chciał wziąć odwet.

Masz mnie nie szukać na zewnątrz.

A może powinien zacząć go szukać? Gerber wiedział jednak o nim tylko to, że łamał podstawowe zasady kodeksu każdego hipnotyzera, na których przestrzeganie pan B. tak bardzo nalegał, zanim przekazał synowi swój dar.

Nie manipulować pacjentem. Nie sterować nim. Nie wpływać na niego. Nie tworzyć mu fałszywych wspomnień. Nie zmieniać jego postrzegania rzeczywistości. Nie rozbudzać jego nadziei. Nie uzależniać. Nie wywierać wpływu. Nie przekupywać go. Ale przede wszystkim nie uwodzić. Uwodzenie polega na tworzeniu fałszywego przekonania, że określone zachowanie jest właściwe. Można je stosować do nakłaniania kogoś, by zrobił sobie krzywdę albo skrzywdził kogoś innego.

Gerber zatrzymał się kilka metrów od bramy swojego domu. Deszcz smagał go ze wszystkich stron, nie mógł się przed nim zasłonić, jakby małe krople nie chciały go zostawić w spokoju i uderzały w niego i jego myśli z szyderczą zaciętością. Pietro Gerber odwrócił się i spojrzał w kierunku, z którego nadszedł.

Za zasłoną deszczu krył się cień.

– Kim jesteś? – spytał głośno usypiacz dzieci, próbując nie zdradzić się ze strachem, że zna odpowiedź. – Wiem, że mnie śledzisz, że nie umyka ci nic, co robię. Ale czego ode mnie chcesz?

Cień nie był jednak rzeczywisty. Czaił się w jego głowie.

Jeśli teraz zrezygnuję, będzie mnie prześladował już zawsze, pomyślał. Nie mógł pozwolić, żeby przeciwnik pozostał na wolności i kontynuował swoje dzieło. Dlatego ruszył z powrotem w stronę wyobrazonego cienia, niemal jakby chciał się z nim zmierzyć. Nie, nie wróci do domu. Nie będzie się ukrywał.

Znajdzie go, zmusi, by się ujawnił.

I tak nie spełnił już jednego z żądań fabularza: tego, by wysłuchał jego opowieści „do końca”. Pozostałe dwa warunki były w pewien sposób ze sobą powiązane.

Nikommu o mnie nie powiesz.

Pietro Gerber podjął już decyzję, że pójdzie do Anity Baldi i powie jej o wszystkim, co wie. W ten sposób fabularz utraci niewidzialność, która go do tej pory chroniła.

Kiedy podążał szybkim krokiem w kierunku sądu dla nieletnich, poczuł w kieszeni płaszcz wibrującą komórkę. Wyjął aparat. To była Silvia. Po ostatniej kłótni nie spodziewał się telefonu od byłej żony. Zwolnił kroku.

– Dowiedziałam się – powiedziała, gdy tylko odebrał. Ton głosu wskazywał na to, że jest jej przykro. Zadzwoiła prawdopodobnie, żeby go przeprosić.

– Nie powinnaś mieć wyrzutów – odparł, próbując zachować dystans, bo wciąż miał do niej pretensje o to, że oskarżyła go o niepotrzebne narażanie kariery. – Jak ci mówiłem: chłopiec jest niewinny, ale nikt nie chciał mi wierzyć. – Baldi powinna mu przynajmniej podziękować, zamiast przerywać gwałtownie jego sesję z Nikiem, tak jakby Gerber od początku się mylił.

– Nie o to mi chodzi – odparła Silvia.

Wyczuł w jej głosie nutę niepokoju.

– Więc o co?

– Jak to? Nie wiesz?

– Co? Co się stało? – wybąkał, przeczuwając coś niedobrego.

– Zaccaria Acher zaatakował we śnie swojego męża Philipa.

Gerber stanął jak wryty na zalanym deszczem bruku starej florenckiej ulicy. Wstrząśnięty wiadomością, zachwiał się.

– Philip jest w bardzo poważnym stanie – dodała Silvia. – A Zaccaria przebywa na obserwacji w szpitalu.

– Jak mogło do tego dojść? – zdobył się na odwagę, by zapytać słabym głosem, choć obawiał się, że to on jest prawdziwą przyczyną tego nieszczęścia.

– Sąsiadka zadzwoniła wczoraj w nocy na policję, bo z ich mieszkania dochodziły krzyki, ale zdaje się, że wcześniej słyszała dzwoniący u nich telefon.

Jak wszyscy somnambulicy, Zaccaria miał bardzo głęboki sen, przypomniał sobie Gerber. Nie usłyszał dzwonka telefonu. Zresztą i tak odebrać mógł tylko

Philip, bo w tym momencie pan Z. był w kaftanie bezpieczeństwa.

– Z tego, co twierdzi policja, wynika, że po rozmowie telefonicznej Philip wrócił do sypialni z nożem i przeciął pasy krępujące męża.

To musiało wywołać reakcję Zaccarii, który z powodu stresu związanego z przerażeniem dostał gwałtownego ataku RBD, wynioskował Gerber. Bronił się, dodał w myślach.

Był to odwet fabularza za złamanie zasad, za to, że on opowiedział panu Z. historię, którą powinien zachować w sekrecie. A zapłacił za to Philip. Hipnotyzer wydał mu rozkaz przez telefon, doszedł do wniosku Gerber.

– Mogę sobie wyobrazić, jak się czujesz, bo wiem, jak bardzo się przyjaźnicie – powiedziała Silvia.

– Rzeczywiście – przyznał i nie dodał nic więcej, bo nie był nawet w stanie oddychać.

– Nie chciałam przekazywać ci tej okropnej wiadomości. Ale obawiałam się, że może nikt cię nie zawiadomił.

– W porządku – powiedział. – Nie przejmuj się.

– Jeśli masz ochotę porozmawiać albo odreagować, to jestem.

Ta jej nagła gotowość zaskoczyła Gerbera. Nie wierzył, że po ostatniej sprzeczce może być jeszcze przestrzeń do jakiegokolwiek relacji. Poza tym taka uczynność nie była w stylu Silvii. Ale może się zmieniała... albo jako były mąż nie znał jej już wystarczająco dobrze.

– Dziękuję – rzucił i miał się już rozłączyć.

– Wieczorem widzę się z kilkorgiem przyjaciół w barze w Four Seasons – oznajmiła. – Może nie jesteś w nastroju... ale jeśli chciałbyś się do nas przyłączyć, byłoby mi miło.

Ten wielki hotel mieścił się w palazzo della Gherardesca. Kiedy Silvia obroniła pracę magisterską z psychologii, poszła tam po raz pierwszy, zupełnie sama, wypić kieliszek szampana. Potem stało się to tradycją, lecz nigdy nikomu o tym nie

powiedziała – dopóki nie poznała Gerbera: od tamtej pory dzieliła ją z nim, a po rozwodzie kontynuowała ten zwyczaj z kimś innym.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – powiedział skruszonym tonem. – Przepraszam, że zapomniałem.

– Nic nie szkodzi. – Nie żywiła urazy. – Cześć, Pietro – rzuciła i zakończyła połączenie.

Na chwilę zapomniał o Zaccarii i powrócił do przeszłości. Zaproszenie Silvii wydawało się absurdalne, ale nagle ogarnęła go ochota na beztroski wieczór. Poza tym to, co przytrafiło się panu Z., było przestrogą, a fakt, że Silvia zadzwoniła właśnie wtedy, gdy szedł do Anity Baldi, by po raz kolejny złamać warunki postawione przez fabularza, mógł być dziełem opatrności. Najrozsądniej byłoby znów odwrócić się na pięcie i pójść do domu, co jeszcze niedawno miał w planie. I przygotować się na ewentualną wizytę w Four Seasons. Choć może nie był to najlepszy pomysł.

Miał już dosyć tej sytuacji, tego ciągłego poczucia zagrożenia.

Samo się to nie skończy, pomyślał. Nie przestawał moknąć, a niebo zdawało się z niego drwić. Ja muszę to zakończyć.

Był jednak zmęczony samotnym mierzeniem się z nieznanym i sadystycznym wrogiem. Dlatego zapomniał o orkiestrze w hotelu Four Seasons, o dźwięcznych śmiechach, o wabiącym obrazie przyjęcia i o Silvii w wieczorowej sukni i postanowił iść dalej w deszczu w stronę sądu.

39

– Porywacz?

Reakcja Baldi była mieszaniną zdumienia i nieufności. Ale Pietro Gerber nie mógł się tym zadowolić, musiał ją przekonać.

– Tak – potwierdził, mocząc podłogę kroplami deszczu skapującymi z jego trencza. Po czym opowiedział jej wszystko, poczynając od trzech warunków postawionych przez fabularza, z powodu których do tej pory milczał.

Znajdowali się na korytarzu starego pałacu, w którym mieścił się sąd dla nieletnich. Gerber natknął się na sędzię przypadkiem, gdy wychodziła z rozprawy. Wciąż była na niego zła i uprzedziła, że ma dla niego tylko kilka minut.

– I jaki miałyby być cel tego... „fabularza”? – zapytała, z podejrzliwością podkreślając to słowo.

– Nie wiem – odparł szczerze.

– Diaboliczny plan, któremu brakuje celu równie... diabolicznego – podsumowała ironicznie.

– Rozumiem, że może się to wydawać absurdalne, ale jeśli umożliwi mi pani przeprowadzenie kolejnych sesji z Nikolinem, będę mógł poznać resztę historii orka i chłopca.

– Jeśli ta historia jest prawdziwa i chłopiec uciekł orkowi, by ją opowiedzieć... Nie sądzisz, że gdyby dwadzieścia dwa lata temu doszło do czegoś takiego, to coś bym na ten temat wiedziała?

– Owszem, to dziwne, bo ja też nie znalazłem żadnego śladu w prasie z tamtego okresu ani w internecie – przyznał. – Ale i tak jestem przekonany, że istnieje jakieś wyjaśnienie takiego stanu rzeczy. Muszę jeszcze tylko poszukać nowego wyzwalacza i na pewno się tego dowiemy.

– Wyzwalacza? – powtórzyła Baldi z pobłażliwością, unosząc brew.

– Wy tłumaczyłem pani, jak to działa, prawda? – Nie mógł dopuścić, by defetystyczna postawa sędzi na niego wpłynęła. – Wyzwalaczem może być przedmiot, dźwięk, zapach albo jakieś słowo. Jak igła z nitką, której użyłem z Nikolinem w pokoju zabaw za pierwszym razem; dopiero wtedy chłopiec zaczął mówić. Pamięta pani?

Baldi wciąż jednak była sceptyczna.

– A zatem tym zajmowałeś się do tej pory – skomentowała. – I z tego powodu zamierzałeś wycofać swoje orzeczenie?

– To nie była groźba, zostałem do tego zmuszony – sprostował Gerber, który zaczynał odczuwać rozdrażnienie.

– Może mnie przekonasz, pokazując mi nagrania z sesji Nikolina. – Jego stara przyjaciółka nie ustępowała.

– Nie filmowałem ich – przyznał się z zakłopotaniem. – Fabularz powiedział bardzo wyraźnie, że sprawa ma pozostać między nim a mną.

Sędzia nie zareagowała na tę informację.

– Wygląda na to, że mamy dwie wersje faktów – powiedziała ze spokojem. – Twoją, z porywaczem hipnotyzerem i całą resztą. Oraz wersję karabinierów, którzy utrzymują, że matka i syn po tym, jak w czerwcu, jadąc samochodem, złapali gumę, porzucili go i włączyli się po lasach Mugello, znajdując schronienie w przypadkowych miejscach, kradnąc żywność i ubrania gdzie popadnie albo wyjmując potrzebne im rzeczy ze śmietników, co zresztą robili już wcześniej. Tak się działo, dopóki ktoś ich dziwnym trafem nie odnalazł: najpierw chłopca, a potem kobietę, w prawie tygodniowym odstępie. – Baldi zrobiła krótką pauzę. – Gdybyś był na moim miejscu, której z tych dwóch wersji zdarzeń dałbyś wiarę?

Mówiła oczywiście z sarkazmem. Ale Gerber nie miał najmniejszego zamiaru się poddać.

– Dlaczego nie wysłucha pani opowieści hodowczynie koni, która czuła się jakby „zmuszona” udać się do Valle dell’Inferno, gdzie spotkała Nica? Dlaczego nie zapyta pani strażnika leśnego o rysunek, który wykonał na ścianie rozżarzoną węglą, w ogóle nie czując bólu? A skoro już przy tym jesteśmy, niech pani porozmawia też z Zaccarią Acherem, może pani powie, dlaczego jego mąż Philip uwolnił go z kaftana bezpieczeństwa w środku nocy, choć wiedział, że wywoła to gwałtowną reakcję. – Przerwał na chwilę, a potem dodał: – Fabularz zdołał też zmanipulować Lavinie, czternastolatkę, która przychodzi do mnie na terapię.

Na wiadomość, że w sprawę wmieszana została młoda pacjentka, w spojrzeniu Anity Baldi pojawiło się poważne zaniepokojenie.

– Nie naraziłeś bezpieczeństwa tej dziewczynki?

– Oczywiście, że nie – odparł.

– Mam nadzieję, że to prawda, bo w przeciwnym razie musiałabym przedsięwziąć jakieś kroki. – Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, patrząc z grymasem twarzy na jego fatalny stan, tak jak wtedy, gdy odwiedziła go w gabinecie. – Pietro, spójrz na siebie, nie poznaję cię. – Tym razem była o wiele bardziej bezlitosna; potraktowała go tak, jakby dotknęło go coś w rodzaju wyczerpania nerwowego. – Jesteś przemoknięty, blady. Dlaczego nie dasz sobie z tym spokoju i nie pójdziesz do domu?

– A dlaczego pani nie chce mi uwierzyć? – spytał, czując, że do oczu napływają mu łzy wściekłości. Nigdy wcześniej nie czuł się tak bezradny. – Jeśli nie chce pani szukać fabularza, w porządku. Ale tylko ja mogę uwolnić Nikolina z zagubionego pokoju. Proszę mi pozwolić kontynuować terapię. Inaczej skaże pani tego chłopca na to, że przez resztę swoich dni pozostanie więźniem samego siebie...

Baldi patrzyła na niego w milczeniu przez kilka sekund, a potem powiedziała:

– Chodź ze mną, chcę ci coś pokazać.

40

Pietro Gerber i Anita Baldi przemierzyli długi korytarz, odprowadzani milczącymi spojrzeniami obecnych tam osób. Czuł się obnażony, bezbronny. Kiedy bywał tu wcześniej, wyglądał godnie, a przynajmniej przyzwoicie. Teraz był duchem samego siebie i trochę się tego wstydził.

Sędzia zaprowadziła go do swojego gabinetu, nie mówiąc po drodze ani słowa. Zastanawiał się, co tak ważnego mogło się znajdować w tym pokoju, w którym bywał już dziesiątki razy.

Gdy weszli do środka, Anita Baldi zamknęła drzwi, podeszła do biurka, na którym stał komputer, oparła się o blat i zaczęła poruszać myszką. Fresk, który rozpościerał się za jej plecami, przedstawiający piekielny krąg, jakby przygniatał Gerbera stojącego w oczekiwaniu po drugiej stronie biurka. Mimo że ściana wciąż była obwieszona rysunkami podarowanymi sędzi przez dzieci, oderwał od niej wzrok, bo nie mógł znieść tego widoku.

– O, jest, teraz będziesz się mógł przekonać na własne oczy – powiedziała sędzia, odwracając monitor komputera w jego stronę.

Postąpił krok naprzód i zobaczył na ekranie przewijające się obrazy sfilmowane przez ukrytą kamerę. Na ujęciach widać było Nikolina z drobną i wynędzniałą kobietą około pięćdziesiątki, z krótkimi i przedwcześnie posiwiałymi włosami. Jego matka, pomyślał. Mira wyglądała na naprawdę uszczęśliwioną widokiem syna: nie przestając płakać, obejmowała go i całowała. Nico wydawał się zachwycony takim zalewem czułości. Ale najbardziej uderzające dla Gerbera było

to, że mimo niewątpliwego oszołomienia wywołanego odnalezieniem matki chłopiec nie wydawał się już zagubiony.

Nikolin mówił.

Rozmawiali po albańsku. Nie było jednak trudno odgadnąć, co mówili. Prawdopodobnie oboje myśleli, że utracili się na zawsze, tymczasem znów byli razem. Okropna przygoda znalazła szczęśliwe zakończenie.

– Nie wygląda na to, by był katatoniczny – zauważyła Baldi.

Ostatnie, co Gerber zapamiętał, to krzyki, jakie wydał z siebie Nico na zakończenie sesji, kiedy usłyszał kłamstwa, że wkrótce zobaczy Mirę. Teraz jednak usypiacz dzieci zrozumiał, że widok matki zdjął zakłęcie fabularza.

Nico wyszedł z zagubionego pokoju. Znowu mrugał.

To Mira była kluczem do jego uwolnienia.

Gerber nie potrafił powiedzieć, czy to efekt przypadkowy, czy może kolejna niespodzianka zaplanowana przez bardzo zręcznego hipnotyzera. Tak czy owak, zrozumiał, że od tej chwili nie jest już do niczego potrzebny.

– Co się teraz stanie? – zapytał.

– Powierzmy ich oboje opiece społecznej i może w końcu ktoś naprawdę się nimi zajmie, żeby mieli dom, stałą pracę dla niej, odpowiednie wykształcenie dla Nica, po prostu przyszłość.

Nagle zaczął współczuć temu drugiemu chłopcu – temu, który został z orkiem. Miał wrażenie, że z powodu braku pozostałej części tej historii tamten dwunastolatek utknął w starym koszmarze sprzed ponad dwudziestu lat.

Tymczasem na ekranie matka Nikolina ujęła twarz syna, żeby spojrzeć mu w oczy. Zapytała go o coś, a on odpowiedział: *Po mami*.

Cały czas zwracał się do niej, nazywając ją *mami*.

– Dziwne – rzucił Gerber. – Myślałem, że w ich języku mama to *mamae*. – Kiedy starał się obudzić Nica, ten powtarzał właśnie to słowo.

Baldi spojrzała na niego, próbując się zorientować, czy naprawdę uważa ten szczegół za godny uwagi. W tej sytuacji nie mógł mieć do niej pretensji, że

uważała go za paranoika.

– Przykro mi – rzucił. I był szczery. – Choć nie mam dowodów na nic z tego, co pani zrelacjonowałem, proszę uwierzyć, że naprawdę chciałem pomóc Nikolinowi.

– Nie wiem, jak bardzo przydała mu się twoja pomoc, ale nie sądzę, żeby poddanie go terapii hipnozą było dla niego w tym momencie dobre – odparła. – Ale może zdążyliśmy na czas, by zapobiec najgorszemu.

Gerber nie odzywał się przez chwilę, a potem powiedział nagle:

– Będę musiał przeprosić Silwię.

Tak, powinien to zrobić. Może była jeszcze jakaś nadzieja na zbudowanie między nimi cywilizowanych relacji. Będzie musiał przeobrazić złość i tęsknotę w coś pozytywnego. Ale żeby to się powiodło, będzie musiał zrezygnować z Silvii. Tym razem na zawsze. I nie będzie to łatwe.

– Uważaj na siebie – poprosiła Baldi. – Teraz, jeśli pozwolisz... mam dużo pracy.

Spuścił głowę i odwracał się już do wyjścia, gdy zobaczył coś, co odebrało mu dech.

– Od jak dawna to tam jest? – zapytał, podnosząc rękę i wskazując palcem.

– Co?

– Tamten rysunek... – Z trudem przełknął gorzką ślinę.

Kobieta odwróciła się w stronę rysunków zasłaniających fresk.

– Który? O czym mówisz? – spytała zirytowana.

– Trzeci od prawej – uściślił Gerber drżącym głosem.

Baldi wciąż nie wiedziała, o który rysunek chodzi, więc Gerber okrążył biurko i zdjął go ze ściany. Przyjrzał mu się uważniej, po czym pokazał go sędzi.

– Proszę spojrzeć...

Na rysunku było wiele małych ludzików stojących obok siebie, jak aktorzy po zakończonym spektaklu, oczekujący na brawa.

Sędzia wciąż nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi.

– No i? – rzuciła.

– Skąd to się wzięło? Od jak dawna wisi na ścianie? – Gerber powstrzymywał się z wyjaśnieniem.

– A skąd mam wiedzieć! – odparła zniecierpliwiona Baldi. – Pewnie od lat.

– Od lat? – Nie wierzył w to. – Jak to od lat? To niemożliwe...

– Nie wiem, prawdopodobnie... – Zawahała się. – Ale jakie to ma znaczenie?

O czym ty w ogóle bredzisz?

– Pamięta pani przynajmniej, kto to narysował? – naciskał.

– Dziecko. – Odpowiedź była oczywista, a Baldi wyraźnie rozdrażniona.

Odwrócił kartkę, żeby sprawdzić, czy jest tam jakiś podpis albo coś, co mogłoby mu pomóc zidentyfikować nazwisko lub datę. Znalazł tylko trzy litery, skrót umieszczony na dole.

A.D.V.

– Jeśli natychmiast nie powiesz mi, co się dzieje, przysięgam, że każę cię wyprowadzić karabinierom – ostrzegła go sędzia.

– Jak pani może tego nie widzieć? – zapytał coraz bardziej zmartwiony Pietro Gerber, machając jej kartką przed twarzą. Przecież było to tak oczywiste. Czy to możliwe, że tylko on zdawał sobie z tego sprawę?

Choć postaci na rysunku przedstawiono w uproszczonym stylu – typowym dla dzieci – bez trudu dało się rozpoznać hodowczynię koni, strażnika leśnego, Lavinę, Zaccarię Achera i Philipa, a także samą Baldi... no i oczywiście Gerbera, Nica i jego matkę. A na koniec dziesiątą postać, która do tej pory nie pojawiała się w opowieści.

– Musisz już iść, Pietro – nakazała mu Baldi, wskazując na drzwi.

Ostry i kategoryczny ton nie pozostawiał mu wyboru.

– Czy mogę przynajmniej zachować ten rysunek? – Błagał niczym szaleniec czujący rozpaczliwą potrzebę, by ktoś spełnił jego życzenie.

– Idź sobie – rzuciła szorstko.

Gerber ruszył do wyjścia ze spuszczoną głową, trzymając kurczowo rysunek. Gdy zamknął za sobą drzwi, zatrzymał się na korytarzu; próbował uspokoić

wzburzenie i odzyskać kontrolę nad własnymi emocjami.

Co, do diabła, miał znaczyć ten żart?

Nie wierzył, że naprawdę chodziło o przepowiednię przyszłości pozostawioną tam przed laty. Ktoś wszedł ostatnio do pokoju Baldi i przyczepił rysunek na ścianie, żeby on go zobaczył jako swoistą wiadomość.

Ktoś, kto próbował doprowadzić go do szaleństwa.

Gerber wiedział, że jeśli nie chce całkowicie stracić zmysłów, nie ma alternatywy. Może istniało jakieś wytłumaczenie. Ale żeby go poszukać, musiał wrócić do gabinetu na poddaszu. Zapomnieć o żalu. I wejść do od dawna zamkniętego pokoju.

Bo na kartce przedstawiony był także pan B.

41

Otworzył drzwi do pokoju i od razu uderzył go słodkawy zapach kleju, który utrzymywał razem dżunglę z papier mâché. Dzieci uwielbiały ten zapach. On też, gdy był mały, ale nigdy nie wyjawiał tego ojcu, bo w gruncie rzeczy był zazdrosny o szczególną więź, jaką pan Baloo budował z jego rówieśnikami, miał więc zawsze skłonność do lekceważenia wszystkiego, co go dotyczyło.

Ale teraz poczuł nagłą tęsknotę. Mimo że był wciąż na niego wściekły.

I ten gniew miał go nigdy nie opuścić.

Wyciągnął rękę w stronę włącznika na ścianie i zapalił gwieździste sklepienie, pod którym ojciec hipnotyzował swoich pacjentów, każąc im położyć się na wykładzinie przypominającej łąkę i kładąc się obok nich, by kontemplować to migotanie wszechświata przy usypiających dźwiękach *Pod łapą masz*.

Wszystkie dzieci dawały się na to nabrać.

W tej fikcji nie było nic poetyckiego ani romantycznego. Była to tylko sztuczka wymyślona przez czarodzieja, który chciał dostać się do ich głowy. Pietro Gerber nie był zachwycony tym spektaklem, dlatego do swojego gabinetu wybrał prosty bujany fotel.

Teraz zignorował sprzeczne wspomnienia i uczucia, które się w nim kłębiły, i ruszył od razu w stronę baobabu, gdzie pan B. miał swoje archiwum. Chwytał gałki ukryte w korze i ciągnąc je do siebie, otworzył zamaskowane drzwi wielkiej szafy.

Ukazały się przed nim półki, na których ustawione były teczki z dokumentacją, posegregowane chronologicznie.

Gerber zaczął szukać tych z roku 1999. Żeby chronić tożsamość pacjentów, na grzbiecie każdej okładki podane były tylko ich inicjały.

A.D.V., powtórzył w myślach, przypominając sobie skrót pod rysunkiem znalezionym na ścianie u Baldi.

Znalazł to, czego szukał. Wyglądało na to, że autor niepokojącego dzieła był w dzieciństwie na terapii u jego ojca. W teźce znajdowały się cztery kasety zawierające nagrania audio z sesji.

Postanowił je przesłuchać.

Odnalazł starego walkmana pana B. i wziął go na syntetyczną łąkę. Usiadł na „trawie”, założył słuchawki i wsunął pierwszą kasetę do kieszeni urządzenia. Gdy uznał, że jest gotowy, nacisnął PLAY.

Zrobiło na nim pewne wrażenie, gdy rozpoznał głos ojca, który wprowadzał małego pacjenta w głąbiny jego psychiki. Ale przede wszystkim po raz pierwszy słyszał prawdziwy głos fabularza, choć ten w czasie, gdy go nagrano, miał zaledwie dwanaście lat.

Na tych kasetach znajdowała się historia orka i chłopca.

Bardziej realistyczna – i szokująca – niż ta, którą poznał za pośrednictwem Nikolina, ale żywe wspomnienia jej uczestnika nie odbiegały specjalnie od tego, co Gerber już usłyszał.

Początek koszmaru odpowiadający ostatniemu dniu szkoły chłopca. Obecność w domu intruza, który chciał, by nazywać go „wujkiem”. Bujda o rodzicach, którzy wyruszyli bez niego na wakacje kamperem. Zamknięte drzwi do piwnicy. Pies, który zniknął, a potem znów się pojawił. Nieudana ucieczka z winy strażnika leśnego. Absurdalny liścik od ojca, który informował syna, że on i matka już nigdy nie wrócą i dlatego od tej chwili chłopiec zostaje powierzony opiece obcego mężczyzny. Polaroid przedstawiający rudą kobietę w barze. Bezimienna kobieta i ork, którzy poznali się korespondencyjnie. Ich zamiar założenia rodziny. Jej

bezpłodność. Szalony plan zabrania ze sobą dwunastolatka, by stać się dla niego rodzicami.

Będiesz mógł mówić do niej „mamo”.

Gdy Gerber dotarł do końca trzeciej kasety, spojrzął na ostatnią; wyobraził sobie, że zawiera epilog historii i przede wszystkim wyjaśnia, w jaki sposób chłopiec pokonał orka i jego współpracowniczkę, uciekając i ratując się.

Przed włożeniem jej do walkmana wahał się przez kilka sekund.

Dojrzało w nim przekonanie, że znajduje się dokładnie w tym miejscu, które zaplanował sobie fabularz. Po odnalezieniu matki albańskiego chłopca i wyjściu Nikolina z zagubionego pokoju mogło się wydawać, że Gerber nie ma już możliwości poznania całej prawdy o tej historii i – co ważniejsze – motywacji, które pchnęły tajemniczego hipnotyzera do uknucia intrygi. Ale podrzucając rysunek do gabinetu Anity Baldi, fabularz niespodziewanie wprowadził go z powrotem do gry.

Kto wie, czy nie było to przewidziane od samego początku? Może wszystko miało przebiegać w ten właśnie sposób? Na tym etapie nic by już Gerbera nie zdziwiło.

Zaczął przesłuchiwać czwartą kasetę.

– *Jak tam dzisiaj, Mang?* – Zwracając się do pacjentów, Pan B. używał imion zaczerpniętych z *Księgi dżungli*. Dzieciom się to podobało, czasem jednak służyło zachowaniu na nagraniach ich anonimowości. Mang był nietoperzem.

Pietro Gerber również korzystał z przydomków w szczególnie skomplikowanych przypadkach.

– *Dobrze* – zapewnił chłopiec uprzejmym tonem.

– *Udało ci się zaprzyjaźnić z kimś w zakładzie?* – Po raz pierwszy pan Baloo wspomniał o tym miejscu; na poprzednich kasetach nie było o nim mowy.

Gerber pomyślał, że chodzi o to samo miejsce, do którego wysłano Nikolina.

– *Jeszcze nie* – odparł chłopiec, trochę przygnębiony.

– *Zobaczysz, że niedługo się przyzwyczaisz i poczujesz dobrze z kolegami.*

Dlaczego go tam umieścili? – zastanawiał się Pietro Gerber. Zbieżność z tym, co przytrafiło się po dwudziestu dwóch latach albańskiemu chłopcu, była dość podejrzana. Co zrobił dwunastolatek w 1999 roku, by umieszczono go w zakładzie dla nieletnich?

– *Jeśli jesteś gotowy, możemy zaczynać... Co ty na to?*

– *Zgoda.*

Pan B. włączył płytę z *Pod łapą masz*.

Pietro Gerber zczekał na moment, kiedy igła się zacinała. Gdy to nastąpiło, wydało mu się, że słyszy, jak oddech chłopca spowalnia. Był w transie.

– *A więc, Mang, ostatnim razem skończyłeś swoją opowieść na tym, że miała do was przyjechać kobieta z fotografii...*

– *Tak – potwierdził chłopiec. – Ork właśnie tak mi powiedział i uprzedził mnie, że będę musiał mówić do niej „mamo”.*

– *I tak się stało? Kobieta z polaroida przyjechała, żeby z wami zamieszkać?*

Młody pacjent wyraźnie się denerwował.

– *Nie ma pośpiechu – zapewnił go pan B. – Masz tyle czasu, ile potrzebujesz...*

– *Drzwi do piwnicy – rzucił chłopiec z niepokojem. Ale nic więcej nie dodał.*

– *Co jest w piwnicy?*

Poruszali już ten temat podczas wcześniejszych sesji, dokładnie tak samo, jak robił to Gerber z Nikiem. Ale na nagraniach sprzed dwudziestu dwóch lat ta kwestia również pozostała nierozstrzygnięta. Może nadeszła chwila, by rozwiązać zagadkę.

– *W piwnicy...* – powtórzył chłopiec i przerwał. – *W piwnicy...* – Mimo wysiłków nie był w stanie kontynuować. Wyraźnie cierpiał.

– *Zszedłeś do piwnicy?*

Cisza.

– *Jeśli nie chcesz mi teraz tego powiedzieć, nie szkodzi – uspokoił go pan B. – Dojdziemy do tego stopniowo, zgoda?*

Ale chłopiec ciągnął:

- *W piwnicy jest...*
- *Dobrze, Mang. Co jest w piwnicy?*
- *Ropa.*

42

Tata zgromadził prawie tysiąc litrów ropy naftowej w naszej piwnicy. Zrobił zapas na zimę. Skorzystał z momentu, kiedy cena była najniższa – tak mi wyjaśnił, kiedy przyjechała cysterna – by przelać paliwo do zbiornika pod domem, gdzie kiedyś składowano moszcz.

Przypominam sobie tamten dzień, kiedy długa czerwona rura wyciągnięta z cysterny była z bulgotem wpuszczana pod ziemię. W powietrzu unosił się zapach palący nozdrza, od którego kręciło się w głowie. Chwilami przyprawia o mdłości, ale potem jest nawet przyjemny. Wystarczy przywyknąć.

Nie wiem dlaczego, ale ta scena wciąż do mnie powraca, kiedy jadę do domu z orkiem, który prowadzi stare volvo taty. Przez całą drogę nie wspomina o mojej ucieczce i ani razu mnie nie karci. Spodziewam się kary już w domu, tymczasem on mówi:

– Musisz być zmęczony, na pewno nie wyspałeś się wystarczająco w nocy.

Ma rację, ale nie rozumiem, dlaczego tak się mną przejmuje.

– Tak, chyba się położę. Dziękuję – odpowiadam. Nie wiem nawet, dlaczego silę się na traktowanie tego człowieka z szacunkiem. Może się do niego przyzwyczajam, jak tamtego dnia do odoru ropy.

Powinienem się umyć, ale jestem wykończony. Rzucam się więc na łóżko w ubraniu. Przecież i tak nikomu nie będzie to przeszkadzało.

– Rozumiesz, mamó?! – krzyczę, przyciskając twarz do poduszki. – Twoje dziecko jest obrzydliwcem i się nie umyje! Jestem wstrętny i nikogo to nie

obchodzi!

Nikogo to nie obchodzi.

Ta prosta prawda jest dla mnie wstrząsająca. Do tej pory zawsze kogoś obchodziłem. I wtedy zaczynam płakać. Moje gorące łzy wsiąkają w poszewkę poduszki. Z nosa kapie mi śluz; wycieram go grzbietem ręki. Bella podchodzi i zaczyna mi ją oblizywać. Nie mam nawet siły, by ją odsunąć. Ale ta pieśczoła jest pocieszająca.

W ten sposób zapominam o wszystkim i zasypiam.

Gdy się budzę, wciąż jest dzień. Wydaje mi się, że spałem przez miesiąc. Ile czasu minęło? Leżę w tej samej pozycji, w jakiej usnąłem. Kiedy się przeciągam, wszystko mnie boli: ramiona, nogi, szyja, plecy. To musi być efekt długiego marszu przez las. Sprawdzam godzinę: jest dopiero dziewiąta. Byłem kompletnie nieprzytomny, ale przespałem tylko trzy godziny.

Zaschło mi w gardle. Wstaję, żeby się czegoś napić.

Schodzę na dół i zastaję tam orka; on też wcześniej wstał i siedzi teraz przy kuchennym stole w brudnych dżinsowych ogrodniczkach. Teraz rywalizujemy już w tym, który bardziej śmierdzi, ale dziś przynajmniej nie będę zmuszony oglądać go jak zwykle w majtkach. Dziwna rzecz, że przegląda stare czasopismo mamy, w którym piszą tylko o ubraniach, butach i innych tego typu rzeczach. Mama nie jest kobietą, która śledzi modę – woli powieści – ale czasem lubi odpocząć przy takich magazynach. Zawsze myślałem, że służą jej przede wszystkim po to, by mogła sobie wyobrazić inne życie niż to ze mną i tatą, jakiego – jestem tego pewny – nigdy nie pragnęła. Ale czasem pięknie jest uciec gdzieś w wyobraźni. Teraz jednak zastanawiam się nad tym, dlaczego ork poświęca się takiej lekturze.

– Pomyślałem, że moglibyśmy zrobić jej prezent, co ty na to?

Jak zawsze, początkowo mam problem, by załapać, o co mu chodzi.

– Coś w rodzaju daru powitalnego, żeby pokazać, że nie mogliśmy się jej doczekać – kontynuuje, mimo mojego pytającego spojrzenia. Po czym dodaje z uśmiechem: – Twoja nowa mama byłaby przeszczęśliwa.

Ruda z polaroida, myślę i uznaję się za głupka, skoro wcześniej się nie kapnałem.

– A kiedy przyjedzie? – pytam niby mimochodem.

– Jutro.

JEZUPRZENAJŚWIĘTSZY! Kiedy skończy się ta popieprzona historia? Jest coraz gorzej. A teraz jeszcze to! Jakaś nieznajoma, która tu jedzie i kto wie, czego będzie ode mnie chciała!

– Przeglądałem ten magazyn, szukając jakiegoś pomysłu – wyjaśnia ork.

Wszystko, co tam znajdzie, jest dla niego za drogie i choć jestem pewny, że zagarnął pieniądze moich rodziców, nie bardzo widzę go jadącego do Florencji, wchodzącego do jakiegoś butikku i kupującego drogą torebkę albo buty. Postanawiam jednak go zadowolić.

– To dobry pomysł – przyznaję, choć w rzeczywistości mam to w nosie i chcę tylko go nabrać.

Ork rozpromienia się.

– Naprawdę?

– Pewnie! Kobiety szaleją za prezentami. – Z trudem zachowuję powagę. – A wybrałeś już coś, co mogłoby się jej spodobać? – pytam, pozwalając mu wierzyć, że naprawdę mnie to interesuje.

Wstaje gwałtownie z krzesła; oczy mu błyszczą.

– Chodź, pokażę ci, co znalazłem.

Jestem zaskoczony. Ale też ciekawy. Ruszam za nim.

Wchodzimy na górę i on prowadzi mnie do sypialni rodziców, która teraz jest jego pokojem. Gdy tylko przekraczam próg, nie mogę uwierzyć w to, co mam przed oczami.

Szafa jest szeroko otwarta i wszędzie wokół leżą ubrania mamy.

Ork chwytając wieszak z kwiecistą sukienką i pokazuje mi.

– Pomyślałem o tej. Co ty na to?

Chciałem mu powiedzieć, że ta sukienka to prezent od taty. I że mama nosiła ją latem, razem z turkusowymi kolczykami swojej babci, gdy w pobliskiej miejscowości odbywał się festyn. A kiedy miała ją na sobie, ja i tata czekaliśmy na parterze, żeby zobaczyć, jak wygląda. I choć ta sukienka nigdy się nie zmieniała, za każdym razem, gdy mama pojawiała się u szczytu schodów, było to prawdziwe widowisko. Uśmiechała się do nas i kiwała głową, coś w rodzaju ukłonu. Mówiła, że jest wielką szczęściarą, mając „aż dwóch rycerzy!”. A my czuliśmy się naprawdę ważni, bo byliśmy z taką pięknnością jak ona. Ork nie może tego wszystkiego wiedzieć. I nie sądzę, by go to obchodziło. Dlatego milczę.

– A więc? – ponagła mnie.

Nie mogę pogodzić się z tym, że ten łajdak chce podarować kobiecie, której nigdy nie widziałem, rzeczy mojej mamy.

– To na pewno jej rozmiar? – pytam z gulą w gardle i mam nadzieję, że ta wątpliwość go zniechęci.

– No właśnie – rzuca, jakby o tym nie pomyślał. – Po zdjęciu, które przysłała, trudno poznać.

– Właśnie – przyznaję. Przypominam sobie, że ork powiedział, że poznali się listownie, więc nigdy się nie widzieli. – Moja mama ma wąskie biodra – dodaję. – A kobiety złością się, kiedy ktoś daje im do zrozumienia, że są za grube, zwłaszcza jeśli robi to narzeczony.

– To nie jest miłe – zgadza się ze mną.

Widzę, że zaraz ustąpi. Czasem wydaje mi się, że jest olbrzymem z mózgiem dziecka. Ale po chwili jakby go olśniło. Wkłada rękę do dużej kieszeni spodni i wyjmuje plik otwartych i wymiętych listów; jest ich sześć.

– Pomóż mi sprawdzić, czy nie da się z czegoś wywnioskować, ile ona waży – mówi, podając mi trzy koperty.

Otwieram usta ze zdumienia, zdziwiony takim dowodem zaufania. Nie spodziewałem się, że przeczytam tak intymne rzeczy, a przede wszystkim że będę

miał okazję poznać jego prawdziwe imię, bo nie sędzę, żeby ruda nazywała go „wujkiem”. Ale na każdej kopercie jest tylko skrót z numerem.

C.P. 9001

Może to jego inicjały, myślę, nie rozumiem jednak, co może oznaczać ten numer. Wyciągam kartkę i od razu patrzę na nagłówek.

Drogi Misiaczk. Autorka podpisuje się: Kicia.

Czułość, od której mnie mdli. Reszta to tylko stek przesłodzonych zdań, pełnych błędów gramatycznych. Moja nauczycielka od włoskiego zapełniłaby te kartki poprawkami na czerwono. Kobieta przyrzeka orkowi wieczną miłość i takie tam. Pisze, że bardzo jej go brak, a ja się zastanawiam, jak to możliwe, że nigdy się nie spotkali. Powtarza mu do znudzenia, że nie może się doczekać spotkania i rozpoczęcia wspólnego życia. Nie ma nawet wzmianki o seksie; odnoszę wrażenie, że czytam list napisany przez dziewczynkę z podstawówki: w gimnazjum rozmawiamy na ten temat o wiele bardziej otwarcie. Ale najbardziej uderza mnie to, że kobieta nalega na to, by mieć dziecko. *Bóg, niestety*, nie chciał, by mogła urodzić własne, i jest przekonana, że nigdy nie dadzą dziecka do adopcji takiej parze włóczęgów jak oni, radzi więc, by po prostu *wziąć sobie jedno*, bo *wokół jest tyle nieszczęśliwych dzieci*. Nie musi to być niemowlę, wystarczy, że będzie miała kogo kochać i ktoś tę miłość odwzajemni. Nie uważa, żeby było w tym coś złego; jest przekonana, że to coś w rodzaju dobrego uczynku. *Bo mam do ofiarowania wiele miłości*. Nawet nie przyjdzie jej do głowy, że to straszne odebrać dziecko rodzicom i że to dziecko będzie nieszczęśliwe. Wierzy, że z czasem dziecko zaakceptuje sytuację. *Bo będę dobrą matką*, powtarza nieustannie. Ma w związku z tym obsesję.

Dopiero w ostatnim liście znajduję coś, co mrozi mi krew w żyłach.

Nie mogę się doczekać, kiedy poznam syna, którego dla nas znalazłeś.

To jej słowa. Czytam to zdanie jeszcze raz, bo nie mogę uwierzyć. Ork opisał mi swój szalony plan, ale teraz mam potwierdzenie, że to ja jestem przyczyną wszystkiego. To wszystko stało się przeze mnie. Mama i tata nie mieli z tym od

początku nic wspólnego i nie wiadomo, co się z nimi stało. Czuję się winny. Ale przecież nie zrobiłem nic złego. To oni mnie wybrali. Dlatego ten człowiek pozbył się moich rodziców.

– Przykro mi, nie ma nic, co by wskazywało, ile ona może ważyć – mówię do orka, oddając mu listy.

On najwyraźniej też nic nie znalazł i ma nadąsaną minę, jak dziecko, które nie znosi przegrywać.

– Ale myślę, że sukienka w kwiaty będzie dobra – dodaję, bo nic mnie to już nie obchodzi.

Ork się ożywia.

– Pomożesz mi poszukać jeszcze jakiejś pięknej pary butów?

Po kilku minutach jest już kompletny strój. Sukienka w kwiaty, białe czółenka na niewielkim obcasie i lakierowana czarna torebka. Poszczególne części garderoby wcale do siebie nie pasują, ale ork tego nie dostrzega. Wybrał torebkę tylko dlatego, że się „błyszczą”. Zaniósł wszystko do kuchni; ramiączka sukienki zawiesił na kołku na drzwiach do piwnicy, a buty postawił na podłodze. Przez całą resztę poranka mam przed oczami to zwisające bez życia ubranie. Co jakiś czas materiał faluje od powiewów powietrza z otwartego okna.

Jakbym widział zjawę.

Wyobrażam sobie ciało, które wypełniało sukienkę, i to, które wkrótce ją wypełni. Jakie wrażenie na mnie zrobi, gdy zobaczę ją na innej kobiecie? I myślę, że za drzwiami, na których jest zawieszona, na dole schodów prowadzących do piwnicy, mogą być odpowiedzi na wszystkie moje wątpliwości.

Te drzwi nigdy nie miały zamka ani klucza. Jest tylko klamka. Ale jestem zbyt strachliwy, by zejść i sprawdzić.

Wracam do swojego pokoju i kładę się na łóżku, patrzę w sufit i zastanawiam się: dlaczego nie czuję smrodu dochodzącego z piwnicy? Ale to pytanie jest dla mnie również wytłumaczeniem. Jeśli mama i tata naprawdę by tam byli, powinienem poczuć odór zwłok. Bella jednak wciąż tam wraca i drapie w drzwi,

jakby coś wyniuchała. Odciągam ją, zanim ork to dostrzeże i znów zaproponuje, żebym dał jej środki nasenne mamy. Może powinienem podać je jeszcze raz jemu. Wszystkie. Pomieszać je z jedzeniem i go otruć. Ale obawiam się, że tym razem by się zorientował. Nie dlatego, że jest bystry. Początkowo tak myślałem, lecz w końcu zrozumiałem, że jest głupi. Inteligencją głupców jest nieufność, powtarzała mi zawsze mama. Kiedy głupcy czegoś nie rozumieją, od razu stają się podejrzliwi. Dlatego możesz z nimi pogrywać tylko do pewnego stopnia. Potem nie ma sposobu, by skłonić ich do zmiany zdania albo przekonać, że robisz coś w dobrej wierze. Najgorsze, że nigdy nie wiesz, co taki typ może zrobić albo jaka będzie jego reakcja. Dlatego ze wszystkich ludzi głupcy są najbardziej niebezpieczni.

– Masz się więcej nie zbliżać do drzwi piwnicy – nakazuję Belli, która siedzi obok mojego łóżka, patrzy na mnie i przechyla łeb z niewinną miną.

Psy mają wyjątkowy węch, wiadomo. Zwłaszcza golden retrievery. Co przyciąga Bellę? Tam na dole jest tylko ropa, powtarzam sobie wciąż. Ale może ciała unoszą się w zbiorniku. I zapach oleju napędowego pokrywa odór zwłok. Powinienem zejść na dół, podnieść właz i zajrzeć do środka. Ale tata mi tego zabronił. Bo od ostrego zapachu mogłoby zakręcić mi się w głowie i mógłbym stracić przytomność. A wtedy udusiłbym się albo wpadł do środka. To mógłby być nawet niezły pomysł. Może w ten sposób położyłbym kres strachowi, który zżera mi trzewia. Nie chcę się tak dłużej czuć. Proszę, Boże, niech to się skończy.

Ale prawdopodobnie będzie jeszcze gorzej.

Kwiecista sukienka faluje zawieszona na drzwiach. Rudowłosa kobieta z polaroida się zbliża.

A od jutra będzie ich dwoje na jednego. To nie jest przyjemna perspektywa. Jeśli teraz mam marne możliwości ucieczki przed tą sytuacją, za kilka godzin będą jeszcze mniejsze. Nie potrafiłem postawić się mamie i tacie, kiedy jednoczyli się przeciwko mnie, a co dopiero w przypadku wariata i godnej niego partnerki.

Nie ma dla mnie nadziei.

Może naprawdę powinienem zejść do piwnicy, otworzyć pokrywę zbiornika z ropą, położyć się na podłodze i czekać, aż usnę na zawsze. Ciekawe, jak poczułby się ten łotr, kiedy znalazłby moje zwłoki. *Misiaczek* musiałby wymyślić coś, co powie swojej *Kici* po tych wszystkich obietnicach, jakie jej złożył.

W tym momencie zamieram. Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? Prezentem nie są sukienka, buty i torebka. To ja nim jestem! Więc ork nie może zrobić mi nic złego.

Nie może.

Nie jestem mistrzem strategii, ale sądzę, że może jest to rodzaj mojej przewagi nad nim, nie?

Czyli ork nie zrobi mi krzywdy, ale ja sobie mogę. Jeśli się na to zdobędę, utraci miłość kobiety, która tu przyjeżdża.

Im dłużej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że to najlepsze wyjście.

Czekam w pokoju na wieczór. Około wpół do ósmej schodzę i szykuję mu kolację. Jajka ze słoniną w sosie pomidorowym. Mama wytłumaczyła mi, że słonina poprawia smak potraw, że można by nawet ugotować but taty i wyszłaby z tego pyszna potrawa. Mieszam więc składniki na patelni, nie zwracając uwagi na proporcje. Tymczasem mama obserwuje mnie z drzwi do piwnicy. Bo gdy patrzę kątem oka na wiszącą tam sukienkę, wydaje mi się, że to właśnie mama.

Jestem pewny, że popiera to, co robię.

Gdy wchodzi ork, talerz z jajkami stoi już na stole. Mój „wujek” wygląda inaczej niż zwykle; uśmiech odsłaniający krzywe i zepsute zęby przecina jego dokładnie ogoloną twarz.

– Jak się prezentuję? – pyta, przesuwając dłonią po policzkach. Nawet się umył; włosy ma jeszcze mokre i zaczesane z przedziałką na bok. Wyszykował się tak dla rudej z polaroida. – Wziąłem porządną kąpiel – oznajmia, po czym spogląda na kolację, wytrzeszczając oczy. – Wygląda nieźle.

Siada i zajada jajka ze słoniną. Używa widelca tak, jakby to była łopata, i opycha się. Byłoby wspaniale, gdyby jakiś kęs stanął mu w gardle. Ale wiem już, że tak się nie stanie, takim jak ja nie dopisuje szczęście. Kiedy skończył, opiera się na krześle, podnosi głowę, gładzi się po brzuchu i wydaje z siebie przeciągłe beknięcie.

– Naprawdę dobre – chwali.

Nic nie mówię.

Ork wstaje i wlecze się na swoje stałe miejsce na kanapie. Gdy on ogląda telewizję, wkładam talerze do zlewu i porządnie je płuczę. Potem czyszcze kuchenkę i marmurowy blat. Wycieram wszystko do sucha. Wyprowadzam Belle na werandę i daję jej jeść. Przytulam ją, daję całusa, po czym wracam do kuchni. Gaszę światło i siadam przy stole. Czekam. Słyszac w tle jakiś film rysunkowy, obserwuję mężczyznę zapatrzonogo w ekran i zastanawiam się, co mu chodzi po głowie.

Podjąłem już decyzję.

Wiem, że on niedługo znów zgłodnieje. Wtedy przyjdzie do kuchni i zacznie szperać w lodówce w poszukiwaniu jakiejś przekąski.

Ale zanim to nastąpi, mam mnóstwo czasu.

Gdy czuję się gotowy, wstaję i podchodzę do drzwi piwnicy. Wtulam twarz w kwiecistą sukienkę mamy i wciągam głęboko powietrze w nadziei, że poczuję jej zapach. Odnajduję jej nikły ślad. Dziwi mnie to i wzrusza.

Potem chwytam za klamkę i w końcu otwieram te przeklęte drzwi.

Z podziemia unosi się jakby oddech. Pachnie bardziej wilgocią niż ropą. Na dole nie ma światła, żadnej lampki. Mimo to zaczynam schodzić. O ile dobrze pamiętam, na dół prowadzi jakieś dwadzieścia stopni. Nie czuję odoru śmierci, którego się spodziewałem. Mogłem zabrać ze sobą latarkę taty, ale wołałem przyjść tu w ciemności, żeby nie musieć widzieć, co tam jest. Nie chcę tego wiedzieć. Wyczuwając podłozę pod nogami, znajduję pokrywę zbiornika. Pochylam się i macając, odnajduję zawór służący do zamykania jej; ma kształt małej kierownicy.

Chwytam go i próbuję przekręcić. Muszę włożyć w to trochę siły, ale w końcu się odblokowuje. Uniesienie pokrywy nie jest łatwe. Opieram się na piętach i udaje mi się odrzucić ją w miarę cicho na bok. Hałas mógłby przywołać orka, a nie mogę sobie na to pozwolić.

Zapach ropy wydobywa się z otworu w ziemi niczym więziony od wieków duch. Roznosi się natychmiast dookoła, szukając drogi wyjścia, by wydostać się na zewnątrz. Dobrze, myślę. Właśnie tak ma się to odbyć.

Po kilku minutach ork pojawia się u szczytu schodów.

– Chłopcze, jesteś na dole?! – woła z nutą rozpaczony w głosie. Przyciągnął go odór ropy, który dotarł aż do kanapy, rozbudzając jego zmysły.

Nikt mu nie odpowiada.

– Mówiłem ci, żebyś nie schodził do piwnicy! – złości się. – Chłopcze, słyszysz mnie?! – Zaczyna schodzić i dostaje ataku kaszlu. – Wychodź stąd, idziemy! – krzyczy w pustkę.

Nie boję się ciebie, odpowiadam mu w myślach i stoję nieruchomo z zamkniętymi oczami.

Schodzi niżej i kaszle; ropa drażni mu gardło i wdziera się do płuc.

– Co zrobiłeś, chłopcze? – jęczy, szukając mnie w ciemności. Ale nie znajduje.

Jeśli chcesz poznać prawdę, musisz przyjść i zobaczyć ją na własne oczy.

– Twoja nowa mama nie będzie zadowolona – mówi, jakby mogło mnie to obchodzić. – Robisz jej krzywdę, wiesz?

Nie, robię ją przede wszystkim tobie. I cieszę się z tego.

Nagle chyba zbiera się na odwagę i pokonuje ostatnie stopnie, bo odgłos jego kroków jest inny: ork idzie po podłodze piwnicy, kierując się w stronę włazu do zbiornika ropy.

Otwieram oczy. I wiem, że to ta chwila. Wyskakuję zza lodówki, za którą schowałem się po powrocie do kuchni. Pułapka zadziałała. Ruszam w stronę drzwi do piwnicy i zamykam je, zatrzaszukując z całej siły. Powtarzam sobie, że nie ma zamka ani klucza.

Ale ciemność wystarczy, by przytrzymać go na dole. Ork zaczyna wrzeszczeć.

Wybiegam na zewnątrz i siadam na ziemi obok Belli. Obejmuję ją i zerkam do wnętrza domu. Ucieczka nie ma sensu; już mi udowodnił, że na nic by się zdała, i odebrałem dobrze tę lekcję. Jeśli ork zdoła się wydostać z piwnicy, koniec ze mną. Nawet jeśli nie spadnie mi włos z głowy – co mogłoby zepsuć prezent dla jego *Kici* – i tak będę musiał spędzić resztę moich dni z tą dwójką. Co równałoby się śmierci.

Drzwi do piwnicy pozostają zamknięte.

Ork wykrzykuje swoją wściekłość. Wreszcie okazuje gniew, myślę, wyobrażając go sobie, jak miota się w ciemności w poszukiwaniu schodów, by wydostać się z piwnicy.

Ale im bardziej się drze, tym szybciej jego płuca wypełnią się trującymi oparami.

Może...

Ta wątpliwość jest rozdzierająca, ale wygląda na to, że mój plan zadziałał – już wkrótce „wujek” straci przytomność. A potem nadejdzie sen, ten prawdziwy, z którego nie zdoła się już nigdy obudzić.

Chowam się za Bellą, mocno ją do siebie przyciskając.

Mijają sekundy, próbuję nie myśleć o orku; zamiast tego myślę o mamie i tacie pływających w zbiorniku. Będę musiał powiedzieć policji, żeby tam ich szukali, kiedy już znajdą orka. Nienawidzę go. A nienawiść pozwala mi trzymać z daleka strach.

Myśli giną w ułamku sekundy. Czuję, że unoszę się nad ziemią razem z Bellą. Nawet nie zdaję sobie sprawy z huku, bo jest zbyt potężny. Rozumiem tylko, że lecę.

Lecę!

Nie czuję bólu. Ale gdy z głuchym łomotem upadam na ziemię, moje kości roztrzaskują się, jakbym był zrobiony z kryształu. Wyginam plecy, głowa mi się

przechyla. I widzę. W miejscu domu jest dziura wyglądająca jak mały wulkan: wypływa płomień i gęsty dym, unoszące się ku pięknemu gwieździstemu niebu.

Żyję? Umarłem? Nie wiem. Ale trzymam w rękach łeb mojego psa. Reszty już nie ma. Chciałbym krzyknąć, ale brak mi tchu w płucach. Mózg mi się przepalił. Mówi mi tylko, że trzymałem Bellę przed sobą, kiedy nastąpiła eksplozja.

Uderzenie trafiło najpierw w nią zamiast we mnie.

Odrzucam jej łeb, a ona wciąż na mnie patrzy. W uszach słyszę nieustanny gwizd. Pieką mnie ramiona i twarz. Patrzę na siebie. Jestem nagi, ale pozostały na mnie strzępy ubrań, które mieszają się ze schodzącą czarną i czerwoną skórą.

Nie mogę zamknąć oczu. Nie jestem nawet w stanie krzyknąć. Jedyne, co mogę zrobić, to płakać.

Ruda z polaroida, myślę. Kiedy tu dotrze, niczego już nie zostanie.

43

Gdy tylko pan B. rozpoczął wybudzanie A.D.V., alias Mang, Pietro Gerber przerwał słuchanie.

Usłyszał wystarczająco i był wstrząśnięty. Eksplozja przywołała w jego pamięci szczątki domu, które dostrzegł pośród zarośli, kiedy wdrapał się o świcie na wieżę obserwacyjną Służby Leśnej.

To zdarzyło się tam, pomyślał.

Znajomość miejsca wypadków dodawała całej historii jeszcze bardziej niepokojącego wymiaru i podnosiła stopień zaangażowania Gerbera. Zdał sobie sprawę, że wciąż wstrzymuje oddech. W końcu wypuścił powietrze, uwalniając się od napięcia.

Udało mu się, pomyślał. Chłopiec zdołał uciec i zabił orka.

Tak jak w bajkach. Tyle że tu wszystko było prawdą. A opis epilogu był tak realistyczny, że Gerberowi przez chwilę zdawało się, że tam jest. Co się dokładnie wydarzyło? – zastanawiał się. W piwnicy nasyconej oparami ropy wystarczyła iskra, by wywołać wybuch. Tarcie podeszwy buta o podłogę, energia elektrostatyczna zatrzymana w ubraniach.

Tak musiało się to odbyć, powtarzał sobie, przebiegając wstecz kronikę wydarzeń, na wypadek gdyby coś mu umknęło. Początkowo robił zapiski w czarnym notatniku, ale potem, niemal bezwiednie, zatrzymał się, bo zbyt go porwała opowieść dwunastolatka poddanego hipnozie. Ostatnia notatka brzmiała:

C.P. 9001

Chłopiec z 1999 roku myślał, że na kopertach listów wysłanych przez rudą z polaroida zapisane są inicjały orka. Mylił się.

Skrytka pocztowa, powtórzył w myślach Gerber, przypominając sobie czasy, kiedy ludzie wysyłali do siebie listy opatrzone znaczkami, a nie maile. Żadnego adresu: korespondencja trafiała czasem do jednej z wielu metalowych skrzynek, oznaczonych kolejnymi numerami i rozmieszczonych w różnych urzędach pocztowych miasta. Każdy mógł wynająć taką skrytkę. Korzystały z nich osoby, które nie miały miejsca zamieszkania, nie chciały zostać namierzone albo wołały pozostać anonimowe. Okresowo ich właściciele – albo ktoś w ich imieniu – szli odebrać pocztę. Nikt poza posiadaczami kluczy do skrytki nie miał do niej dostępu.

Gerber poszperał w kieszeni i wyjął zdjęcie, na którym twarz tajemniczej kobiety była nie do rozpoznania. Kto wypożyczył numer 9001, żeby się z nią komunikować? – zastanawiał się. „Wujek” na pewno nie żył, ale wciąż pozostawał bezimienny. Gerbera ciekawiła jeszcze jedna rzecz.

Dlaczego A.D.V. był na terapii u pana B.?

Przypomniał sobie, że nie znalazł w sieci i cyfrowych archiwach lokalnych gazet z tamtego czasu żadnych informacji na ten temat. Dlaczego ta sprawa pozostawała w tajemnicy? Gerber był przekonany, że ma to jakiś związek z terapią prowadzoną przez jego ojca, ale nie miał pojęcia jaki. Już chciał zamknąć teczkę, by odłożyć ją na półkę w baobabie, kiedy dostrzegł karteczkę przyklejoną z tyłu okładki. Oderwał ją i zobaczył, że jest na niej krótka notatka. Szokująca.

– *Kłamie* – przeczytał szeptem, rozpoznając pismo pana B.

Pomysł orka i rudej kobiety z polaroida, by porwać chłopca i zrobić z niego ich syna, mógł się wydawać szalony, ale miał szansę na powodzenie.

Wielu uważałoby taki plan za nieprawdopodobny i uznałoby, że nawet gdyby ta para trzymała A.D.V. w uwięzieniu i zachowała całkowitą izolację od świata, i tak ryzykowałyby, że ktoś zauważy tę nienormalną sytuację albo że dzieciak ucieknie i na nich doniesie. Ta ostatnia możliwość stawałaby się coraz bardziej prawdopodobna, w miarę jak chłopiec zbliżałby się do dorosłości.

Gerber wiedział jednak, że niekoniecznie musiałyby tak być. Istnieje bowiem coś takiego jak syndrom niewoli uczuciowej, dzięki któremu plan orka i jego partnerki mógłby się powieść. Dlatego też usprawiedliwiał zachowanie dwunastolatka, który próbował uniknąć straszego przeznaczenia.

A przede wszystkim, w odróżnieniu od pana B., wierzył w historię chłopca.

Niewola uczuciowa jest zjawiskiem pokrewnym syndromowi sztokholmskiemu, którego nazwa pochodzi od pierwszego przypadku stwierdzonego w Szwecji w 1973 roku, kiedy uciekinier z więzienia usiłował dokonać napadu na bank, biorąc jako zakładników trzy kobiety i jednego mężczyznę. Policja oblegała budynek przez sto trzydzieści godzin, podczas których zakładnicy zbudowali coś w rodzaju solidarności z porywaczem, choć wiedzieli, że ten nie zawaha się zrobić im krzywdy, jeśli byłoby to konieczne. Taki empatyczny związek znalazł potwierdzenie po uwolnieniu zakładników: cała czwórka stanęła w obronie przestępcy, usprawiedliwiając większość jego działań.

Według psychiatrów ich zachowanie wynikało z tego, że przechodzili przez trzy fazy. Zaprzeczenie niebezpieczeństwu: jeśli nie mogę go uniknąć, odsuwam od siebie zagrożenie. Przyzwyczajanie się do strachu: psychika nie mogłaby długo wytrzymać niepokoju, więc chroni się w całkowicie iluzorycznym pozytywnym uczuciu – zakładnicy często wręcz zakochują się w swoich porywaczach. Ta druga faza przygotowuje ostatnią i definitywną: rezygnację albo akceptację nowego status quo, czyli „zamieniam swojego kata w wybawcę”.

Niewola uczuciowa działa w sposób bardziej podstępny, dla osiągnięcia celu nie jest bowiem konieczna przemoc ani nawet zagrożenie nią.

Ofiary zmuszane są miłością.

Chodzi oczywiście o chore uczucie, całkowicie jednostronne, ale potem rodzi ono coś w rodzaju wzajemności. Najślynniejszy przypadek dotyczył Nataschy Kampusch, która zaginęła w wieku dziesięciu lat i pojawiła się po ośmiu latach. Wyjawiała, że była więziona przez mężczyznę, ale przyznała się, że przez cały ten czas wielokrotnie miała okazję uciec, zrobiła to jednak dopiero po kłótni z porywaczem. Po odzyskaniu wolności Natascha nie chciała utrzymywać kontaktów ze swoją rodziną; kupiła dom, w którym ją więziono, kiedy został wystawiony na licytację po samobójstwie jej prześladowcy.

Gerber potrafił to wyjaśnić: po spędzeniu iluś lat w niewoli ofiary porwania rozwijają w sobie coś w rodzaju wstrętu do reszty świata, który – jak im się zdawało – o nich zapomniał. Żeby przeżyć, nieświadomie wchodzą w sojusz z człowiekiem, który wyrwał ich z poprzedniego życia, mimo że odbyło się to siłą.

W następstwie występuje swoisty *imprinting*.

Ofiara niewoli uczuciowej ma skłonność do upodabniania się pod każdym względem do tego, kto ma nad nią władzę. Wielu obserwatorów potwierdzało, że Natascha Kampusch przejęła pewne zachowania maniaka, który ją porwał, a nawet jego sposób mówienia, z przeciąganiem końcówek słów.

Dla uzyskania tego skomplikowanego rezultatu nie zawsze jest konieczny akt przymusu. Gerber widywał, jak odbywało się to w przypadku dzieci oddawanych

do adopcji: dorastając, wiele z nich zapominało o rodzicach biologicznych.

Jeśli istniało choć niewielkie prawdopodobieństwo, że dziecięce przeżycia fabularza rzeczywiście miały miejsce, to notatka na karteczce przyklejonej do akt dwunastolatka, który uciekł przed orkiem i rudowłosą z polaroida, niosła ze sobą wiele pytań.

Kłamie.

W którą część historii A.D.V. nie wierzył pan B.?

Dla uzyskania jasności, usypiacz dzieci wykonał parę telefonów, by umówić się na spotkanie, i po wyjściu z gabinetu na poddaszu około siódmej wieczorem udał się natychmiast na umówione miejsce.

45

W te przeklęte dni pod koniec lutego z powodu mgły Florencja wydawała się bardziej widmowa niż zwykle. Fasady kamienic wyglądały jak niedokończone katedry, latarnie stawały się mirażami, a dźwięk kroków na połyskującym trotuarze ginął w białym całunie i człowiek nie mógł się zorientować, z której strony dochodzą, a nawet czy to są rzeczywiście kroki.

Wyglądało to jak posępna scena gry cieni.

Pośród nich krążył cień człowieka zdolnego do złamania woli każdego i nagięcia jej do własnych celów. Fabularz był cyniczny i przewrotny. To niemal poetyckie określenie – „fabularz” – nie powinno Gerbera zwieść i pozwolić mu zapomnieć, że ma do czynienia z potworem, który rości sobie prawo do ingerowania w cudzą psychikę, tłumacząc to swoimi traumatycznymi doświadczeniami sprzed dwudziestu dwóch lat.

Na opustoszałych ulicach historycznego centrum jedynym pocieszeniem był zapach rozpalonych kominków. Węchowe wspomnienie, które towarzyszyło Gerberowi od dzieciństwa, prowadziło go również teraz aż do opuszczonej do połowy rolety apteki Münstermanna.

Na półpiętrze siedzieli dwaj członkowie Bractwa Florenckich Hipnotyzerów.

Pan F. przechadzał się tam i z powrotem w ciasnym pomieszczeniu, z rękami założonymi za plecami.

– Mów, co się dzieje – rzucił zaniepokojony, widząc Gerbera pojawiającego się u szczytu kamiennych schodów.

Wie, co przytrafiło się panu Z., nic więc dziwnego, że nie czuje się pewnie, pomyślał Gerber.

– Jak was już częściowo uprzedziłem telefonicznie, pojawił się nieprzyjaciel, który nam zagraża, stosując nasze zawodowe umiejętności jako broń – oznajmił. – Dlatego to, co chcę wam powiedzieć, może was wystawić na poważne niebezpieczeństwo.

– Kontynuuj – zachęcił go siedzący spokojnie przy stoliku pan R., w płaszczu z wielbłądziej wełny, z cygarem w zębach, tasujący karty do oblivio.

Przez kolejną godzinę Gerber próbował opisać sytuację dwóm hipnotyzerom. Zaczął od zniknięcia przed ośmioma miesiącami pochodzących z Albanii matki i syna, a skończył na tym, co spotkało przed laty dwunastoletniego wówczas fabularza. Wydawało mu się, że niczego nie pominął. Choć rozdział dotyczący Nikolina i Miry znalazł już pozytywny epilog, a Gerber zainteresowany był przede wszystkim historią orka, uznał, że powinien opowiedzieć kolegom o wszystkim.

– I to z tego powodu Zaccaria Acher siedzi w areszcie, a Philip jest w szpitalu?
– zapytał skonsternowany pan F.

– Tak – przyznał Gerber. – I to moja wina – dodał. – Dlatego was ostrzegałem, zanim opisałem tę historię.

– Czego dokładnie chciałbyś się od nas dowiedzieć? – dociekał pan R.

– Baldi nie uwierzyła mi, gdy przedstawiłem jej swoje odkrycie, ale dziwi mnie notatka pozostawiona przez mojego ojca na teczce A.D.V.

– Wyobrażam sobie, że uderzyło cię to, że ktoś może kłamać w stanie hipnozy?
– domyślił się pan F.

– Nie sądziłem, że to możliwe – przyznał Gerber. – Słyszałem o pacjentach, którzy udając, że są w transie, dostarczają terapeutom fałszywych informacji; robią to, by zaspokoić pragnienie odgrywania pierwszoplanowej roli, albo są egocentrykami. Zazwyczaj my, hipnotyzerzy, jesteśmy w stanie wychwycić sygnały fikcji i ich zdemaskować. Ale taka manipulacyjna postawa jest właściwa dorosłym, nigdy nie spotkałem się z nią u dziecka.

– Dzieci są o wiele sprytniejsze, niż sobie wyobrażasz – zauważył pan R.

Gerber wyczuł, że przyjaciel pana B. o czymś wie.

– Mój ojciec wspominał ci o tym przypadku? – spytał.

– Tak. Ale nie wyjawiał mi imienia i nazwiska pacjenta – natychmiast uprzedził go pan R., domyślając się, że Gerber o nie zapyta.

– Mnie nic nie powiedział – poskarżył się pan F.

– Myślę, że ojciec zwrócił się do jedyne go specjalisty od hipnozy regresyjnej – próbował go pocieszyć Gerber. – Panu Z. też o tym nic nie mówił – dodał, po czym zwrócił się znów do pana R.: – I co ci powiedział o przypadku A.D.V.?

– Baldi nie uwierzyła ci prawdopodobnie dlatego, że zna inną historię. A w gazetach i internecie nie ma o tym żadnych informacji, bo fakty bardzo się różniły od tego, co opowiadał chłopiec – odparł pan R. – Śledczy nie znaleźli potwierdzenia jego opowieści: gdy dotarli na miejsce eksplozji, zastali tam zniszczony dom i poznali wersję dwunastolatka z oparzeniami na całym ciele, który mówił o orkach.

– Kilka dni wcześniej strażnik leśny widział mężczyznę z chłopcem i powinien był potwierdzić przynajmniej obecność nieznanego, który przedstawił mu się jako wujek – powiedział Gerber.

– Strażnik zaprzeczył – oznajmił pan R.

– A jeśli zrobił to, by zatuszować własny błąd? Przecież oddał uwięzionego chłopca porywaczowi – nie dawał za wygraną Gerber.

– Spróbuj postawić się przez chwilę na miejscu prowadzącego śledztwo – poradził mu starszy kolega pewnym tonem. – W gospodarstwie nie było śladu ciała: ani rodziców chłopca, ani orka.

– Prawdopodobnie wybuch ropy usunął wszelkie pozostałości DNA.

– Ale po kilku dniach odnaleziono kamper, którym cała rodzina miała wyjechać na wakacje do Europy Północnej: znajdował się w opuszczonym kamieniołomie, zalany podziemną warstwą wodonośną.

„Wujek” pozbył się pojazdu, bo jeśli chłopiec by go zobaczył, miałby dowód na to, że opowieść orka o rodzicach, którzy wyjechali bez syna, jest bujdą.

– Na kamperze zidentyfikowano odciski palców należące do trzech osób: ojca, matki i syna – wyliczył pan R. – To samo powtórzyło się w przypadku rodzinnego auta... jeśli się nie mylę, starego volvo, które zostało tylko uszkodzone przez wybuch... Gdyby był tam jakiś nieznajomy, powinny pozostać cztery komplety odcisków, nie wydaje ci się?

Jak to możliwe? Gerber nie był w stanie tego pojąć.

– Fakty wyraźnie przeczą słowom chłopca – wtrącił się pan F., który przysłuchiwał się uważnie rozmowie.

– Twój ojciec został wezwany, by sprawdzić, czy chłopiec powtórzy tę samą wersję w stanie hipnozy – oznajmił pan R. – Wszystkie inne próby się nie powiodły, więc prokuratura miała nadzieję dotrzeć w ten sposób do prawdy.

– Chłopiec podczas hipnozy potwierdził swoją wcześniejszą wersję zdarzeń, ale mój ojciec i tak mu nie uwierzył...

– Miał ku temu powody – oświadczył poważnym tonem pan R. – Dlaczego chłopiec od samego początku był tak pewny, że w piwnicy znajdują się ciała rodziców? Nie mówił tego otwarcie, ale pozwalał się tego domyślać po tym, jak porywacz polecił mu, by nie schodził na dół. I powtarza to przez całą opowieść.

Gerber, który dotąd nie zwrócił na to uwagi, musiał się zgodzić z przyjacielem ojca.

– Dlaczego nie pomyślał na przykład, że rodzice są po prostu w piwnicy związani i zakneblowani? Nie przyszło mu do głowy, że w takim wypadku mógłby im pomóc. Dlaczego nic nie zrobił? – zadał pytanie pan R. i po chwili sam na nie odpowiedział: – Bo wiedział, że taka jest jedyna odpowiedź. Wiedział od samego początku, że na dole są dwa trupy.

Gerber był wstrząśnięty, ale to nie był jeszcze koniec.

– Może to prawda, że eksplozja nie była przewidziana – ciągnął pan R. – Może chciał tylko, żeby rodzice zatruli się oparami ze zbiornika z ropą. Prawdopodobnie

zwabił ich do piwnicy tym samym podstępem, który zastosował wobec „wujka”. Kiedy chłopiec mówił o sukience, którą ork chciał podarować narzeczonej, wyraźnie przyznał, że zrozumiał, że to on miał być prawdziwym „prezenterem” dla kobiety. Można to odnieść do jego rodziców: był ich jedynym dzieckiem, darem, który otrzymali. Uznali, że syn jest w niebezpieczeństwie, i rzucili się do piwnicy, by go ratować, a on zamknął ich w środku.

Ta wersja zdarzeń była zatrważająca.

– Twój ojciec powiedział mi, że do tamtej chwili A.D.V. nie zdradzał oznak zaburzeń psychicznych, nie przejawiał dziwnych czy gwałtownych zachowań. Nie był nieśmiały ani introwertyczny, ani zamknięty we własnym świecie. Krewni, koledzy i nauczyciele opisywali go jako chłopca dobrze wychowanego, okazującego szacunek starszym, zdolnego do nawiązywania kontaktów.

– Więc jak to możliwe? – zapytał Pietro Gerber, wciąż nie dowierzając. – Żeby zrobić coś podobnego rodzicom, trzeba nosić w sobie głęboką nienawiść.

– To nie jest powiedziane – rzucił pan F., włączając się do rozmowy. – Jako hipnotyzer kliniczny mogę ci powiedzieć, że często zdarzają mi się przypadki, kiedy małe dzieci reagują w sposób niewspółmierny na sytuacje, które dla dorosłego wydają się mało istotne. Iskrą może być źle przyjęta nagana, kłótnia z powodu złego stopnia albo kara uznana za niesprawiedliwą.

– Pomyśl, Pietro, czy bardziej prawdopodobne jest istnienie złego orka, czy to, że dziecko może być sprawcą straszliwego czynu, jakim jest zabicie kogoś, kto wydał je na świat? – Pan R. wyciągnął z talii oblivio kartę *Malleus Animi* i pokazał mu ją.

Młot umysłu.

Ślepy człowieczek jest jedynym, który widzi rzeczywistość i kończy grę, pomyślał Gerber. Do tej pory był ofiarą oszustwa, iluzji. Włożył rękę do kieszeni płaszcza i wyciągnął zdjęcie, na którym twarz rudowłosej kobiety była wymazana przez ogień. Zdał sobie sprawę, że miało to sugerować, że fotografia ocalała z eksplozji domu. A on dał się na to nabrać. Choć gdyby pomyślał logicznie, to

wiedziałyby, że powinna ona zostać zniszczona, skoro znajdowała się w marynarskim worku z pozostałymi rzeczami orka.

Jakiż byłem głupi! – pomyślał. Prostota tej sztuczki była rozbijająca, dlatego dał się oszukać. Kto wie, kim była kobieta w białym podkoszulku, która wznosiła toast kuflem piwa, stojąc przy barze.

Wierzy pan czy nie, istnieją tylko dwa zdjęcia demona. To jest jedno z nich... Jego prawdziwe imię nie ma znaczenia. Ale kiedy diabeł przyjmuje wygląd tej kobiety, musisz go nazywać „mamą”.

Gerber podarł zdjęcie i je wyrzucił.

46

Nikt nie jest skłonny wierzyć historiom opowiadanym przez dzieci.

Czy nie to powtarzał zawsze pan B., wypominając dorosłym nieuzasadnioną często nieufność wynikającą z uprzedzeń wobec młodego wieku? Ale być może istniały wyjątki.

Bo dzieci czasem ukrywają mrozącą krew w żyłach prawdę.

Pietro Gerber był teraz przekonany, podobnie jak jego ojciec, że historia z orkiem była tylko wymysłem. Skomplikowanym kłamstwem dwunastoletniego chłopca, który próbował ukryć czyn straszliwie kłócący się z jego wiekiem. Ale najwyraźniej, dorastając, fabularz nie pogodził się z tym, że wytyka się go palcem jako kłamcę.

Oto jaki był jego cel od samego początku. Zrobić wszystko, by Gerber doznał tego, czego on doświadczył.

Usypiacz dzieci poczuł ciężar poniżenia, kiedy Anita Baldi nie uwierzyła w jego teorię o istnieniu porywacza, który przez osiem miesięcy trzymał w niewoli Mirę i Nica, hipnotyzując chłopca, żeby opowiedział Gerberowi swoją historię. Próba przekonania sędzi była uciążliwa i kiedy w końcu poniósł porażkę, poczuł się bezsilny.

Wyszedł z apteki Münstermanna i idąc pieszo do domu, na zakończenie tego bardzo długiego dnia próbował sobie wyobrazić, jaki los spotkał A.D.V. po tym, jak pan B. go zdyskredytował i oskarżono go o zabicie rodziców. Śledczy nie mieli dowodów, ale rodzinna masakra wydawała się najbardziej prawdopodobną wersją.

Ze względu na wiek A.D.V. i tak nie wytoczono by procesu karnego. Prawdopodobnie pozostał długo w zakładzie – tym samym, w którym kilka dni spędził Nikolin – przynajmniej do uzyskania pełnoletności.

Po dwudziestu dwóch latach wszystko powtarzało się jak w lustrzanym odbiciu.

Również Nica podejrzewano o zabicie matki. Ale potem fabularz uwolnił kobietę, by udowodnić prowadzącym śledztwo, że mylą się co do jej syna. To dlatego porwał również ją, pomyślał Gerber. Fabularz chciał mu pokazać, jak mylne mogą być wnioski śledczych, a przede wszystkim jak ulotne jest to, co uznaje się za fakty.

Tajemniczy hipnotyzer miał obsesję na punkcie tego, że nie uwierzono mu w dzieciństwie.

Nikommu o mnie nie powiesz. Wysłuchasz tego, co mam do powiedzenia... aż do końca. Masz mnie nie szukać na zewnątrz.

Trzy warunki, które postawił, nie służyły zapewnieniu sobie bezkarności czy anonimowości. Celem było utrudnienie usypiaczowi dzieci uzyskania wiarygodności, gdy postanowi wszystko ujawnić. Fabularz chciał, by Gerber pozostał w całkowitym osamotnieniu wobec tej historii.

Miał być jedynym widzem. Jedynym sędzią.

Telefon zawibrował w kieszeni płaszcza. Gerber wyjął go i przeczytał esemesa.

Czekam na ciebie...

Trzy kropki zawieszenia na końcu sugerowały bliskość i pewną zażyłość. Tak jakby te słowa zostały mu wyszeptane do ucha. Gerber poczuł coś między zakłopotaniem a miłym zdziwieniem, jakby został przyjemnie połaskotany. Bo esemesa wysłała jego była żona.

Urodziny, pomyślał, przypominając sobie, że Silvia zaprosiła go do Four Seasons, kiedy zadzwoniła, by powiedzieć o tym, co przytrafiło się Philipowi i panu Z.

Sprawdził godzinę. Dochodziła jedenasta i prawdopodobnie impreza z przyjaciółmi dobiegała końca. Rytuał lampki szampana, który podtrzymywała przez lata sama, a potem postanowiła dzielić go z nim, po ich rozstaniu zmienił się w wydarzenie towarzyskie. W okazję do spotkania się z przyjaciółmi, którzy po rozwodzie opuścili Gerbera, by opowiedzieć się po jej stronie. Zresztą jak nie przyznać im racji, zważywszy na to, w jaki sposób ją potraktował. Ciekawe, co by pomyśleli, gdyby pojawił się bez żadnego uprzedzenia.

Nie, lepiej nie iść.

Wydłużył krok, marząc tylko o gorącym prysznicu i długim śnie. Doszedł do placu przy Santa Maria del Fiore. Minął baptysterium i katedrę i szedł dalej via dell'Oriuolo. Zobaczył przed sobą grupę zakonnicy i księży; uśmiechali się i gawędzili jak zwykli turyści wracający do hotelu po wspólnym spędzeniu przyjemnego wieczoru. Gdy ich mijał, zobaczył ją.

Hanna Hall odbijała się w wygaszonej wystawie sklepu z ubraniami po drugiej stronie ulicy. I wpatrywała się w niego.

Gerber zwolnił kroku i nagle dziwnie podekscytowany, zaczął obchodzić grupkę w sutannach i habitach, by lepiej przyjrzeć się kobiecie. Ale gdy w końcu miał odsłonięty widok, już jej nie było.

Gdzie się podziała?

Rozejrzał się, szukając miejsca, z którego odbiła się w szybie. Ale nie zdołał go zlokalizować.

A przecież to była ona, nie mógł się mylić. Luźny czarny sweter, blond włosy zebrane w koński ogon, bardzo blada cera i melancholijny wyraz twarzy. Poruszające piękno jej spojrzenia.

Wyglądała identycznie jak półtora roku temu, gdy widział ją po raz ostatni, i kiedy zdał sobie z tego sprawę, zrozumiał, że to nie mogła być ona.

Wiedział, co się właśnie stało. Za tą tajemnicą nie kryła się jakaś igraszka umysłu. Był to miraż tęsknoty.

Zdał sobie sprawę, że jest tylko jeden sposób, by go odpędzić. Naprawdę pragnął zobaczyć Silvię.

Wytworny pałac przy Borgo Pinti pochodzi z końca piętnastego wieku. Tonie w czterech i pół hektara zieleni, dlatego jest zaliczany do *casini di delizia*, budynków otoczonych wielkimi parkami, dzięki czemu sprawiały wrażenie, jakby znajdowały się na wsi. Zanim stał się własnością rodziny Della Gherardesca, której nazwisko wciąż zachowywał, stanowił część majątku Medyceuszy.

Pietro Gerber wszedł głównym wejściem i otoczyła go renesansowa świetność. Jego wytarty trencz kontrastował z posągami, marmurami i eleganckimi meblami. Ale Gerber nie przejął się tym i ruszył do Atrium Bar, gdzie kiedyś on i Silvia umawiali się, by świętować rocznice albo specjalne okazje, lub szli tam, gdy po prostu spotykało ich coś przyjemnego. W rzeczywistości to ona nalegała, by tam chodzili. On nie mógłby sobie na to pozwolić, gdyby nie praca byłej żony jako doradczynie małżeńskiej. Silvia była na pewno bardziej ambitna niż on i kiedy zaraz po zdobyciu dyplomu poszła do tego baru, by wznieść samotnie toast za przyszłe sukcesy, miała w głowie bardzo jasny plan, czego chce od życia. Jej pacjenci byli gotowi płacić sownie za czas, który im poświęcała, zmuszona wysłuchiwać narzekań, historii zdrad, opowieści o rozczarowaniach i małżeńskiej nudzie.

Wkroczył do obszernej sali, w której mieściły się salon i bar z drewna orzechowego, za którym połyskiwały dziesiątki cennych butelek z alkoholem. Rozpoznał od razu twarze niektórych starych znajomych. Osób, z którymi jadał kolacje i jeździł na wakacje, a które po rozwodzie zniknęły z jego życia, wybrawszy Siliwę. Natychmiast odwróciły się do niego z pytającym spojrzeniem.

Tak, to właśnie ja, miał ochotę rzucić im śmiało. Ale ograniczył się do uprzejmego uśmiechu.

Jeszcze przed kilkoma minutami sądził, że jest spóźniony i że zaproszeni wrócili już do domów. Tymczasem wszyscy tam jeszcze byli.

Zauważył pogrążoną w rozmowie, odwróconą plecami solenizantkę, która miała na sobie wieczorową suknię odsłaniającą połowę pleców. Rozpoznał ją po swobodzie, z jaką trzymała kieliszek z szampanem, podczas gdy drugą ręką bawiła się długim sznurem pereł. Ale to łuk szyi upewnił go, że to właśnie Silvia: zniewalająca linia, którą jego była ukochana odsłaniała rzadko, tylko wtedy, gdy decydowała się związać włosy.

Obok niej stał mężczyzna. Ze sposobu, w jaki na nią patrzył, Gerber domyślił się, że to osławiony Luca, jej nowy partner... czy narzeczony... już nie pamiętał. Ruszył w ich stronę, by się przywitać, podziękować za zaproszenie i stąd wyjść. Tak jak sobie obiecał.

Gdy podchodził, najlepsza przyjaciółka Silvii dyskretnie się do niej zbliżyła, by coś jej powiedzieć; dostrzegła go i prawdopodobnie informowała ją o jego obecności. Silvia odwróciła się i Gerber od razu zauważył jej wyraz twarzy. Wydawała się zaskoczona.

Dobrze, pomyślał, udało mi się zrobić wrażenie.

Przeprosiła gości i podeszła do niego, zanim zdążył przyłączyć się do grupy znajomych.

– Pietro – powitała go niepewnym tonem.

Najwyraźniej nie poinformowała nikogo o tym, że go zaprosiła. Uwaga wszystkich była teraz skupiona na nich dwojgu. Jak za dawnych czasów, pomyślał Gerber.

– Przyszedłem z pustymi rękami – przeprosił. – Chciałem ci przynieść żółte tulipany, ale nie wiedziałem, gdzie je o tej porze znaleźć.

– Pietro... – powtórzyła, nie wiedząc, od czego zacząć. Spuściła głowę, jakby szukała słów na podłodze. – Co się dzieje? – zapytała w końcu, jakby nie miała nic

innego do powiedzenia.

Nie rozumiejąc, o co jej chodzi, spojrzął po sobie.

– Na pewno nie mam właściwego stroju, ale wydawało mi się, że i tak zależało ci na mojej obecności.

– Zależało mi?

– Pomyślałem, że może to być okazja, by pokazać wszystkim, że potrafimy zachować się jak cywilizowani ludzie.

Silvia zmierzyła go od stóp do głów, po czym zbliżyła się o krok i powiedziała szeptem:

– Nie wiem, dlaczego wprawiasz w zakłopotanie nas wszystkich i przy okazji siebie. Co chcesz udowodnić?

Gerberowi wystarczyła chwila, by uświadomił sobie, że jej wcześniejsza reakcja nie wynikała z zaskoczenia. Raczej z przerażenia. A on wcale nie zrobił na byłej żonie wrażenia, tylko ją zranił.

– Esemes – spróbował powiedzieć na swoją obronę.

– Jaki esemes?

– I twoje telefony... – wybełkotał.

– O czym ty mówisz? Nie rozmawialiśmy od przynajmniej dwóch tygodni. Tak czy owak, co to ma teraz do rzeczy?

Dwa tygodnie? Nie rozmawiali od dwóch tygodni? Gerber nie był w stanie poskładać myśli i przyporządkować ich tej nowej wersji rzeczywistości. Zauważył, że Luca obserwuje ich, gotowy do interwencji, gdyby Silvia tego potrzebowała. Ale dała mu znak, że ma wszystko pod kontrolą. Kiedyś dawałaby takie znaki mnie, pomyślał Gerber, zapominając na chwilę, że to, co się właśnie dzieje, nie ma żadnego sensu. Milczał, lecz tylko dlatego, że nie wiedział, jak się usprawiedliwić. Zakręciło mu się w głowie.

Była żona położyła mu rękę na ramieniu.

– Pietro, wszystko w porządku? – spytała zaniepokojona.

Litość, z jaką go traktowała, bolała bardziej niż kłujące spojrzenia znajomych. Silvia zwracała się do niego, jakby był biednym szaleńcem, którego lepiej nie denerwować; to było straszne.

– Wszystko dobrze – zapewnił ją, ale sam nie był o tym wcale przekonany. – Wybacz... – powiedział. – Wybaczcie – zwrócił się do oniemiałej widowni, także do Luki.

Po czym zakończył ten żaloszny spektakl, ruszając szybko do wyjścia. Ale zanim opuścił salę, nie umknął mu współczujący wyraz twarzy kobiety, która w przeszłym życiu była jego żoną. I pomyślał, że nie ma nic gorszego, niż rozczarować kogoś, kto kiedyś nas kochał.

48

Z kim rozmawiał przez telefon przez cały ten czas?

To pytanie go prześladowało, ale odpowiedź była prosta. Prosta jak najprostsze z oszustw. W jego głowie głos fabularza zabrzmiał jak głos Silvii.

Po powrocie do domu Gerber nie zdjął nawet płaszcza i teraz siedział na stałym miejscu na kanapie, w ciemności, przed wyłączonym telewizorem.

I z telefonem w ręce.

Po sprawdzeniu jakiegoś dziesięć razy numeru Silvii w spisie w końcu musiał pogodzić się z oczywistością.

Numer był inny.

Kiedy go zmienił, zastępując tym drugim? Bo nie było wątpliwości, że sam to zrobił. Ale pominięto jego wolę, zlekceważono ją, podeptano.

Usypiacz dzieci został uśpiony.

Kiedy to się stało? Jak? Czy teraz wciąż był pod wpływem mrocznej mocy? Co jeszcze zrobił zupełnie nieświadomie? I jakie dalsze polecenia nosił w sobie? Zadawał sobie pytania jedno po drugim, ale nie był w stanie skupić się choćby na jednym.

Zacząć od początku, pomyślał, przywołując maksymę, którą powtarzał zawsze młodziutkim pacjentom.

Dziewczynka w lustrze.

Pietro Gerber po raz pierwszy spróbował swoich sił z hipnozą wiele lat temu, z umierającą dziewczynką pragnącą po raz ostatni porozmawiać z tatą. Pan B.

wyjaśnił mu, co zrobić, żeby zastąpić mężczyznę w wyobraźni małej Ambry. I ten cud się wydarzył: Gerber przyjął postać ojca w psychice dziewczynki. A ona mogła porozmawiać z człowiekiem, który w tamtym momencie znajdował się w samolocie na wysokości tysięcy metrów. I w żadnym wypadku nie zdążyłby na czas.

Doskonałe złudzenie.

Przy tamtej okazji uzyskał praktyczny dowód nauki udzielanej każdemu adeptowi sztuki hipnozy: że „nasz umysł jest o wiele potężniejszy od naszej świadomości”. A przede wszystkim dostał próbkę „potęgi umysłu, który oszukuje sam siebie”.

Za każdym razem, gdy pojawiała się na wyświetlaczu imię Silvii, psychika Gerbera automatycznie zastępowała głos rozmówcy głosem byłej żony. Zamiana nastąpiła poza jego świadomością. Była to tylko reakcja na konkretne polecenie.

Fabularzowi udało się to tylko dlatego, że po sprawie Hanny Hall Silvia stała się dla Gerbera słabym punktem. Miękką szczeliną, przez którą można było przeniknąć do jego jaźni. Wykorzystując tę szczelinę, fabularz wprowadził do jego głowy pasożytniczą myśl, która zaczęła sobie budować wygodne gniazdo, przejmując stopniowo nad nim kontrolę.

Czekam na ciebie...

Jak bardzo cię bawiło udawanie Silvii?

Te kłótnie z ostatnich dni. Napięcia i następujące po nich pojednania. Ale też nadzieja, że uda się w końcu odbudować relacje po tym, jak półtora roku wcześniej rozpadły się z powodu zauroczenia Gerbera dziwną pacjentką przybyłą znikąd. To wszystko było fałszem. A co gorsza, by uczynić tę grę wiarygodną, fabularz wprowadził w nią wspomnienia z życia Gerbera.

Ile rzeczy skradłeś z mojej pamięci?

Na chwilę zapominając o Silvii, wrócił do początku sprawy Nikolina: do znalezienia igły z nitką wbitej w jabłko i do pierwszego spotkania z chłopcem w pokoju zabaw. Zdał sobie sprawę, jak bardzo niektóre jego działania były sterowane przez intuicję.

Podpowiadane.

Tak jakby pewne odpowiedzi i pewne rozwiązania już w nim były, zapisane tajemnym kodem. Realizował jakiś scenariusz, nie było wątpliwości. Poruszał nim jakiś chory, pokręcony lalkarz, i być może teraz kontynuował swoje przedstawienie.

W jaki sposób Gerber otrzymywał instrukcje?

Przyłożył ręce do skroni w nadziei, że powstrzyma ból głowy, który napierał niczym ruszająca do ataku kawaleria. Chciałby ułożyć się na tej kanapie, skulić, wtulić się w poduszkę i czekać na sen bez snów. Ale nie mógł.

Nie przed rozwiązaniem tej ostatniej zagadki, najważniejszej.

Czyżby spotkał osobiście fabularza i go nie rozpoznał, a ten skorzystał z okazji, by go zahipnotyzować? Niemożliwe, natychmiast wyczułby technikę i zawodowe sztuczki. Wykluczone, że nastąpiło to przez telefon, jak w przypadku biednego Philipa: umysł Gerbera był zbyt wyćwiczony, by dać się nabrać.

Po raz kolejny podpowiedzią okazała się mała Ambra. Ale Gerber pamiętał, że dla uzyskania tamtego efektu potrzebne było lustro. W ciemności salonu rozpoznał to, którego użyto w jego przypadku.

Czarne lustro.

Widząc swoje odbicie na jego powierzchni, zrozumiał, w jaki sposób przebiegły fabularz zdołał włamać się do jego umysłu. Ekran telewizora był do tego celu idealny. Gerber spojrzał na stary odtwarzacz wideo.

Jaki byłem głupi! Instrukcje były na kasecie ze wspomnieniami, którą oglądałem każdego wieczoru.

Fabularzowi wystarczyło wejść do mieszkania i zastąpić oryginalną kasety podrobioną, na której obrazy Silvii, Marca i ich rodzinnego życia przeplatane były

z wiadomościami podprogowymi.

To nie było trudne. Wystarczyło mieć przygotowanego osobnika. A Gerber, ze swoimi doświadczeniami autohipnozy, praktykowanymi codziennie rano przed wyjściem z domu w celu wyparcia rzeczywistości, w której pozostał sam, znakomicie się do tego nadawał.

Wstał z kanapy i podszedł do odtwarzacza. Pochylił się i wcisnął przycisk, żeby wyjąć kasetę. Wziął ją w ręce i wbił w nią wzrok. Dla potwierdzenia swojej teorii powinien ją przejrzeć.

Ale się bał.

Kto wie, co jeszcze kryło się w tym nagraniu. Nie mógł ryzykować. Zrobił więc jedyną sensowną rzecz: otworzył obudowę i zaczął spokojnie odwijać taśmę. Gdy skończył, popatrzył na leżącą u swoich stóp plataninę. Podniósł ją z podłogi i wrzucił do kominka. Wziął zapalki z półki, zapalił jedną i bez wahania wrzucił na kupkę. Ogień błyskawicznie strawił taśmę.

Odwrócił się plecami do wciąż płaszących płomieni i wrócił na kanapę, na której zostawił telefon. Wziął go do ręki i zaczął szukać fałszywego numeru Silvii.

Nadszedł moment, by porozmawiać, pomyślał. Przekonany, że jego oczyszczony teraz umysł rozpozna głos fabularza, nie mógł się doczekać konfrontacji.

Dotknął zielonej ikonki ze słuchawką.

Oto jestem, zapowiedział się w myślach, gotowy nawiązać znajomość z człowiekiem, który wyzwiał go na pojedynek i w końcu pokonał.

Po kilku sygnałach ktoś odebrał, ale się nie odezwał. Słyszał tylko w oddali jakąś melodię. Ostatnia kpina. Stara płyta z piosenką *Pod łapą masz*.

– Bardzo zabawne – skomentował usypiacz dzieci. – Ale ja nie wierzę w duchy. Potem ktoś po drugiej stronie przerwał połączenie.

49

Gdy zobaczył, jak wyłaniają się z lasu, Gerber podniósł rękę w pozdrowieniu.

– Chłopiec ma zadatki – zawyrokowała z oddali hodowczyni koni. – Mieliśmy ładną przejażdżkę, prawda, Marco?

Zadowolony chłopiec pokiwał głową. Gerber zauważył, że syn trzyma się jeszcze zbyt kurczowo uzdy kucyka. Kobieta siedziała na siodle starego konia rasy rodem z pobliskiej Maremmy, którego, jak mu wyjaśniła, używała do przejażdżek z turystami albo do lekcji jazdy konnej z najmłodszymi.

Gerber czekał na nich przez prawie dwie godziny, krążył po maneżu i cieszył się spokojem tego miejsca, korzystając z jednego z ostatnich dni pięknej pogody przed nastaniem długiej jesieni. Od jakiegoś czasu znów zaczął regularnie odwiedzać Marca w Livorno i zapewnił Silwię, że będzie z nim spędzał co najmniej dwa weekendy miesięcznie w starym domu we Florencji. Ojciec i syn byli jeszcze na etapie docierania się, ale zaczęli już mieć utrwalone wspólne przyzwyczajenia. Gerber postanowił wprowadzać od czasu do czasu coś nowego, na przykład lekcje jazdy konnej. Zarezerwowane dla nich dwóch rytuały, na których mogliby zbudować nową relację. Ale bez przeginania. I w sumie wydawało mu się, że chwilowo sprawy szły w dobrym kierunku.

– Więc podobało ci się? – zapytał chłopca, pomagając mu zsiąść z kucyka.

– Było odjazdowo! – wykrzyknął z entuzjazmem Marco.

Ojciec nie był zachwycony tym, że syn, który nie ukończył jeszcze czterech lat, używał już języka nastolatków. Była to jednak cena za to, że nie mógł sprawować

stałej kontroli nad jego wychowaniem. Tak czy owak, był zadowolony, że wpadł na ten pomysł i że syn dobrze się bawił: kolejny medal dla dzielnego taty, który mógł zawiesić sobie na piersi.

– Teraz odprowadzimy Rocka i Poldina do stajni – powiedziała hodowczyni koni. – Damy im jeść i pić i trochę je wyszczotkujemy, bo one też na pewno są zmęczone i mają prawo do odrobiny pieszczot.

– W porządku – zgodził się natychmiast Marco, dumny, że wyznaczono mu odpowiedzialne zadanie.

– W ten sposób nauczę cię, jak używać szczotki, i Poldino następnym razem będzie cię pamiętał.

– Naprawdę? – zapytał chłopczyk z niedowierzaniem.

– Konie zawsze pamiętają, kto się nimi opiekuje – odparła kobieta. – A kiedy skończymy, zjemy sobie schiacciatę i popijemy świeżą wodą ze studni – zaproponowała.

Marco wychodził ze skóry.

– Czy ja też zasłużyłem? – spytał Gerber.

– Zobaczymy. – Hodowczyni uniosła brew.

Pół godziny później, po wypełnieniu obowiązków w stajni, kobieta przygotowała dla nich obiecaną przekąskę i podała ją na zewnątrz, na drewnianym stole, który być może już ponad wiek stał pod górskim wiązem.

Marco chwycił kawałek schiacciaty i zanim wbił w nią zęby, zapytał ojca:

– Mogę zadzwonić do mamy i Luki, żeby im opowiedzieć, co robiłem?

– Oczywiście – odparł Gerber, podając mu telefon. Zobaczył, jak synek odchodzi uszczęśliwiony kawałek dalej, z tłustym plackiem w jednej ręce i telefonem w drugiej.

Już niemal pogodził się z myślą, że jakiś inny mężczyzna zastępuje go pod jego nieobecność. A nawet – po początkowej nieufności i pewnej dozie zazdrości – zrozumiał, że ten Luca nie jest wcale złym człowiekiem i że może to dobrze, że Marco się z nim dogaduje, zwłaszcza po tym, jak Silvia sformalizowała związek z nowym partnerem – czy narzeczonym, wciąż nie wiedział, jak powinien go nazywać – i mieszkają pod jednym dachem.

– Miał pan jakieś wieści o Nicu? – zapytała hodowczyni koni, gdy zostali sami.

Gerber pamiętał jeszcze, jak wzięła sobie do serca los chłopca po tym, jak znalazła go wałęsającego się nocą w lesie.

– Niestety, nie – przyznał.

– Ja trochę popytałam i powiedzieli mi, że pomoc społeczna znalazła mieszkanie dla niego i matki nad barem w Luco i pracę dla niej w samym lokalu.

– To już duży postęp – zauważył Gerber. – Wcześniej mieszkali w starej pandzie i żyli z dnia na dzień.

– Ważne, że matka i syn znów są razem – uznała kobieta. – Mam tylko nadzieję, że chłopiec dobrze się czuje.

– Jak idą ćwiczenia na koncentrację, które pani zaleciłem? – spytał Gerber, zmieniając temat.

Kobieta westchnęła.

– Wykonuję je, ale zbyt wiele się nie zmieniło.

– Proszę powiedzieć coś więcej.

– Cóż... nie budzę się już o trzeciej czterdzieści siedem i nie czuję się „zmuszona” chodzić co noc do Valle dell’Inferno, żeby wyprowadzić psy, ale bezsenność pozostaje i od czasu do czasu mam dziury w pamięci: chwilę wcześniej jestem w kuchni i opłukuję szklankę albo myję zęby w łazience, a zaraz potem stoję za stajniami, nie wiedząc, jak się tam znalazłam.

Od miesiący próbował uwolnić ją od pozostałości poleceń zaszczepionych w jej umyśle przez fabularza, hipnotycznego porządku, na podstawie którego

dwudziestego trzeciego lutego nastąpiło pozornie przypadkowe spotkanie z Nikolinem w lesie w Valle dell'Inferno.

– Za stajniami nie ma nic i nie wiem, czemu wciąż tam wracam – podkreśliła kobieta z niepokojem. – Jest pan pewny, że nie jest to choroba związana z wiekiem?

– Fizycznie ma się pani znakomicie – uspokoił ją. – Przeprowadzimy jeszcze kilka sesji hipnozy – powiedział, próbując sprawić wrażenie, że jest w stanie rozwiązać problem.

Choć wcale nie był tego pewny.

On też cierpiał na zaburzenia związane z oglądaniem tej przeklętej kasety. Bóle głowy i drobne „dziury w pamięci”, jak określiła je hodowczyni, które były typowe dla następstw nawet lekkiego transu. Na szczęście Gerber nie „teleportował się” z miejsca na miejsce. Raczej blokował się, jakby myślami był gdzie indziej. Zdarzało się to, gdy zakładał na rękę zegarek albo gdy stawał przed otwartą szafą, pod prysznicem lub na klatce schodowej, kiedy wsuwał klucz do zamka. Gdy zdawał sobie z tego sprawę, wracał do rzeczywistości. Niepokojące było to, że te zawieszania trwały coraz dłużej. Od kilku sekund przeciągały się do prawie minuty. Zdarzały się rzadko i zawsze wieczorem. W związku z tym przestał prowadzić samochód po zmroku. Kto wie, co może się zdarzyć, jeśli nie znajdzie sposobu na całkowite wybudzenie się ze stanu hipnozy wywołanego przez fabularza? Przerwy, gdy czas zdawał się zatrzymywać, mogłyby rozciągać się na godziny albo, z upływem lat, nawet na całe dni.

Nie przyznawał się do tego nawet przed samym sobą, ale się bał.

Potrzebował kolejnego polecenia, by złamać zaklęcie. Zdania, słowa, dźwięku, obrazu, dotknięcia albo nawet zapachu, żeby na zawsze dezaktywować tę psychiczną pułapkę. Najwyraźniej fabularz chciał, by to on zapłacił za nieufność pana B., który dwadzieścia dwa lata wcześniej nie uwierzył w historię o orku. Dlatego prawdopodobnie nie istniała żadna formuła, która mogłaby wyzwolić Pietra Gerbera spod władzy hipnotyzera, w którego sidła wpadł.

Choć obawiał się, że istnieją marne szanse dotarcia do tożsamości ukrytej za inicjałami A.D.V., od lutego Pietro Gerber nie zaprzestał poszukiwań. Jego śledztwo zaangażowało kolegów z połowy świata; wysłał im notatkę z opisem umiejętności człowieka, na którego polował. Obiecujące było to, że hipnotyzer obdarzony podobnym talentem nie przeszedłby niezauważony w ich niewielkiej społeczności. Lecz poszukiwania nie przyniosły jeszcze żadnych rezultatów.

Marco skończył rozmowę z mamą i teraz bawił się patykiem; rysował nim kreski na ziemi, podśpiewując.

– Czas wracać do Florencji – powiedział Gerber do hodowczynie koni, bo przyglądając się synowi, zauważył, że światło się zmienia; słońce zaczęło zachodzić i wrześnie niedziela dobiegała końca.

– Czekam na was w przyszłym tygodniu – oznajmiła kobieta.

– Za dwa tygodnie – sprostował.

– Możecie się tu zatrzymać na noc albo dwie, jest wolny pokój z małą łazienką. Mój mąż przygotował go dla naszych dzieci, żeby przyjeżdżały z wnukami. Ale nie lubią tu wracać. Dlatego po jego śmierci myślałam, żeby zrobić tu pensjonat, wciąż jednak to odkładam... Prawda jest taka, że nie mam ochoty mieć obcych w domu... Ale z wami byłoby inaczej.

Gerber uśmiechnął się.

– Dziękuję za zaproszenie, na pewno skorzystamy.

– Cieszę się – odparła stara hodowczynie z zadowoleniem.

Gerber wypił ostatni łyk wody i wstał od stołu, by pójść do Marca i powiedzieć mu, żeby szykował się do powrotu. Gdy zbliżał się do synka, ten wciąż podśpiewywał. Dostrzegł z pewnej odległości, że czubkiem patyka chłopiec narysował na piachu uproszczone postacie: dziecko, kobietę i dwóch dorosłych mężczyzn. Wyobraził sobie, że ci dwaj przedstawiają jego i Lucę. Przynajmniej jestem jeszcze częścią rodziny, pocieszył się. Kiedy znalazł się parę kroków od Marca, usłyszał lepiej jego głos nucący tylko jedno słowo.

– *Mamae... mamae... mamae* – powtarzało dziecko.

Jego ojciec zamarł. Właśnie w taki sposób Nikolin wzywał matkę podczas snu. Zdarzyło się to w trakcie ich ostatniej sesji, kiedy Gerber spróbował skontaktować się z nim w zagubionym pokoju, idąc za wskazówkami pana Z. i podając mu diazepam, by nakłonić go do mówienia przez sen.

Chwycił Marca za ramiona i zmusił, by odwrócił się w jego stronę.

– Gdzie słyszałeś to słowo? – zapytał nieco zbyt ostro.

Chłopiec cofnął się wystraszony. Patrzył na ojca, próbując zrozumieć, co zrobił złego.

Nie było czasu na delikatność czy przeprosiny. Gerber był przerażony podejrzeniem, że fabularz zrobił krzywdę jego dziecku, wchodząc bez pozwolenia do jego głowy i wszczepiając tam wrogą myśl tylko po to, by znów w niego uderzyć.

– No więc? – naciskał gwałtownie. – Gdzie je słyszałeś?

Malec wybałuszył oczy, które zachodziły łzami. Podniósł rękę, pokazując palcem.

– Jest napisane na murze za stajniami...

Gerber odwrócił się na chwilę we wskazanym kierunku.

– Dobra – rzucił, uspokoił się i pogłaskał synka po głowie. – Zaraz wracam.

Gdy okrążał pokrytą dachówką konstrukcję z drewnianych belek, gdzie trzymano konie, serce biło mu mocno, ale i tak czuł ulgę, że nikt nie skrzywdził jego syna. Dokładnie tak, jak powiedział Marco, na tyłach obszernej stajni, gdzie hodowczyni trafiała często bez powodu, o czym mu wcześniej wspomniała, na ścianie widniał wielki napis drukowanymi literami. Wryty był w kamieniu, a pod nogami Gerber zobaczył coś w rodzaju zużytego szpikulca rzuconego w trawę. Litery były odświeżane kilkakrotnie na przestrzeni czasu, by zaznaczyć jedno jedyne słowo.

Mamae.

Pierwsza myśl była taka, że kiedy Nikolin wypowiedział to słowo w gabinecie na poddaszu, gdy byli tam sami, to mówił je jako on, albański chłopiec, a nie

dwunastolatek porwany przez orka dwadzieścia dwa lata wcześniej.

Skąd więc fabularz dowiedział się o tym słowie?

50

Po powrocie do Florencji odprowadził Marca do gabinetu Silvii, tak jak się umówili. Chłopiec był jeszcze trochę urażony z powodu tego, jak ojciec potraktował go w stajni. Gerber próbował go przeproszać w samochodzie, w końcu jednak się poddał, bo syn najwyraźniej był równie dumny jak matka. Gerber nie uważał tego za wadę, wręcz przeciwnie: chciałby być do nich podobny.

– Wrócimy do stajni – obiecał, gdy żegnali się w obecności byłej żony.

Niespodziewanie chłopiec zarzucił mu ramiona na szyję.

– Widzę, że jesteś w formie – powiedziała Silvia, komentując wygląd Gerbera.

Po wydarzeniach z lutego starał się jadać regularnie posiłki, nosić czyste ubrania i kłaść się wcześniej spać. Ale były to tylko pozory, bo konsekwencje tego, co zrobił fabularz, wciąż były obecne. Gerber nie mógł tego jednak powiedzieć kobiecie, którą kiedyś kochał, bo groziłoby to wywołaniem starych duchów, a przede wszystkim sprawy Hanny Hall.

– Dziękuję – rzucił tylko na pożegnanie.

Był już wieczór i zamiast wrócić do domu, postanowił wstąpić do gabinetu na poddaszu. W głowie wciąż pobrzmiwało mu słowo wyryte na murze i chciał sprawdzić, czy przypadkiem kilka miesięcy wcześniej czegoś nie przegapił.

Napis na tyłach stajni nie był nowy. Głęboko wyryte litery i zużyty szpikulec wskazywały na to, że poprawiano je wielokrotnie od dłuższego czasu. Tak jak pobudka dokładnie o trzeciej czterdzieści siedem i impuls, by udawać się

codziennie do Valle dell'Inferno, również to było zachowaniem kompulsywnym, wywołanym u hodowczynie koni przez fabularza.

Tyle że do tej pory nikt nie zwrócił na to uwagi.

Najwyraźniej tajemniczy hipnotyzer znał słowo wypowiedziane przez Nikolina w obecności Gerbera, gdy byli tylko we dwóch. I nie tylko znał – uważał je za ważny element. Bo po co kazałby starszej pani wykonać napis? Może chodziło o nowy wyzwalacz?

Czemu to słowo jest tak ważne?

Usypiacz dzieci rozpoznał uczucie, które dusił w sobie od jakiegoś czasu, choć nie umiał go nazwać. Coś jakby niekompletność. Miał wrażenie, że w historii orka czegoś brakuje, mimo eksplozji domu, którym zakończyła się opowieść. Prześladowało go zwłaszcza jedno pytanie.

Dlaczego teraz?

Z jakiego powodu fabularz czekał dwadzieścia dwa lata, by zemścić się za coś, co zrobili mu wszyscy, poczynając od pana B.? Czy nie mógł porwać jakiegoś dziecka wcześniej i poddać go hipnozie, tak jak to zrobił z Nikiem?

Było tysiąc odpowiedzi na te pytania. Na przykład taka, że hipnotyzer mógł się nie czuć całkowicie gotowy czy pewny, że osiągnął konieczne kompetencje do zrealizowania planu. Albo że próbował wcześniej z innymi dziećmi, lecz te próby się nie powiodły.

Gerber miał jednak przeczucie, że fabularz potrzebował właśnie Nica i jego matki.

Gdy dotarł do gabinetu, nie zatroszczył się nawet o to, by zapalić światło: wystarczył mu poblask smartfona. Usiadł w fotelu i zaczął szukać w internecie tłumaczenia słowa „mama” na albański. Uzyskał potwierdzenie, że mówi się *mami*. Na nagraniu przedstawiającym spotkanie Nikolina z jego matką Mirą, które pokazała Gerberowi Baldi, chłopiec zwracał się do kobiety właśnie w ten sposób.

W takim razie co znaczy *mamae*?

Poszukiwane słowo nie występowało w słowniku albańskim. Wpisał je do Google'a i nie pojawił się żaden zadowalający rezultat. Jedyne, czego Gerber się dowiedział, to że po portugalsku słowo oznaczające matkę brzmiało podobnie, tyle że miało akcent: *mamãe*.

Dlaczego albańskie dziecko miałoby zwracać się do matki po portugalsku? Nie miało to sensu.

Usypiacz dzieci wstał, żeby pójść do archiwum po czarny notes poświęcony sprawie Nica. Wrócił z nim, usiadł, zapalił lampę obok fotela i zaczął kartkować notes w poszukiwaniu jakiejś wskazówki albo pomysłu. W swoich zapiskach nie znalazł nic, co rzucałoby się w oczy albo co mu umknęło. Zatrzymał się na notatce umieszczonej w ostatniej linijce na ostatniej stronie.

C.P. 9001

Dla śledczych, a także według pana B., ork i tajemnicza rudowłosa byli tylko owocem wyobraźni A.D.V.: dwiema postaciami wymyślonymi po to, by ukryć straszną zbrodnię, którą dwunastolatek popełnił na rodzicach. Według chłopca para poznała się korespondencyjnie i komunikowała się listownie. Wiadomości od pragnącej mieć dziecko narzeczonej były wysyłane na skrytkę pocztową.

Na tę skrytkę pocztową, pomyślał Gerber.

Szczegół zbyt konkretny, by go wymyślić, i do tej pory usypiacz dzieci nie zastanawiał się nad nim dogłębnie. Dwadzieścia dwa lata wcześniej karabinierzy lub policja na pewno sprawdzili, kto płacił za skrytkę, uznał. I zapewne nie pojawiło się żadne nazwisko czy punkt wspólny z wersją A.D.V.

A jeśli jednak tego nie zrobili? Jeśli nikt tego nie zbadał?

Do głowy usypiacza dzieci wkradła się wątpliwość, co go zirytowało. Był przekonany, że istnieje jakieś wyjaśnienie, że tak ważna wskazówka nie mogła umknąć komuś, kto miał ustalić prawdę, ani też panu B.

A jednak coś mu mówiło, żeby pójść i sprawdzić osobiście.

51

Skrytki pocztowe oznaczone były rosnącymi liczbami i we Florencji zgromadzono je w jednym miejscu.

Imponująca siedziba Palazzo delle Poste mieściła się w dziewiętnastowiecznej części miasta i zajmowała całą przecznicę między via Pellicceria, via Porta Rossa i piazza Davanzati. By się tam udać, Pietro Gerber musiał poczekać do siódmej trzydzieści w poniedziałek rano, licząc na to, że znajdzie kogoś, kto pomoże mu ustalić właściciela skrytki numer 9001 w odległym 1999 roku. Nie mając żadnych uprawnień do tego, by zażądać podobnej informacji, postanowił wykorzystać sztukę perswazji oraz wręczyć suty napiwek.

Po przekroczeniu głównego wejścia do budynku znalazł się w holu o pokrytym majolikami sklepieniu w kształcie kopuły, który prowadził do jasnej galerii na parterze. Kroki Gerbera rozbrzmiewały na marmurowej posadzce, nad jego głową rozciągał się ozdobiony stiukami sufit. Wkrótce potem wkroczył do obszernej sali, przypominającej renesansowy dziedziniec, otoczonej portykami, gdzie znajdowała się stalowa konstrukcja, na której zawieszono bardzo kolorowe witraże przepuszczające połyskujący blask jednego z ostatnich letnich poranków. Światło osiadało na wszystkim, co znajdowało się poniżej.

W tym pomieszczeniu znajdowały się okienka dla klientów. Ale chwilowo, poza urzędnikami, był tylko on.

Gerber zawsze lubił urzędy pocztowe. Dawały mu poczucie porządku i czystości. Z tego pozornie statycznego miejsca promieniowały tysiące połączeń

z resztą świata. Przewinęły się tedy miliony istnień i historii pod postacią listów, paczek czy telegramów, ale też przekazów pieniężnych czy bonów skarbowych. Nie wspominając o pocztówkach, które miliony turystów wciąż jeszcze wysyłały, by udowodnić przyjaciołom i krewnym, że odwiedzili jedno z najpiękniejszych miast stworzonych przez człowieka.

Szczególnie w tym pałacu oddychało się pełną uroku pradawną atmosferą.

Rozejrzał się dookoła, bo nagle poczuł się dziwnie, jakby o tym, że się tu znalazł, zdecydowała jakaś mroczna siła. I jakby przyglądała mu się para niewidzialnych oczu. Właściciel tych oczu był wprawdzie gdzieś daleko, lecz nawet z odległości wiedział o wszystkim, i to w tym samym momencie, kiedy się to działo. Spinacze, które wypadły z rąk kobiety i rozsypały się po podłodze. Lekki szelest pliku formularzy przeglądanych przez urzędnika, który pomagał sobie, zwilżając językiem opuszkę palca. Stukot klawiatury komputera. Głuche i rytmiczne uderzenia stempla.

Usypiacz dzieci zatrzymał się przed tablicą, na której podawano, w jakich biurach można załatwić określone sprawy. Zapamiętał kierunek, w którym miał się udać, i ruszył korytarzem. Minąwszy szereg korynckich kolumn, dotarł do pomieszczenia z wysoką metalową ścianą.

Wyglądała jak gęsty ul ze skrytkami pocztowymi.

Wiele z nich było otwartych – wyraźnie nikt ich nie używał – co czyniło z tego miejsca archeologiczny relikw nieistniejącej już epoki. Do tych położonych wyżej docierało się po drabinkach, każda skrytka oznaczona była tabliczką z numerem. Gerber natychmiast zaczął szukać tej, która go interesowała. Przebiegał wzrokiem od lewej do prawej i nie zdając sobie z tego sprawy, odliczał, lekko poruszając wargami. Ale gdy dotarł na sam koniec ściany, z wielkim rozczarowaniem odkrył, że ostatni numer to 9000.

– To niemożliwe – powiedział na głos ze zdumieniem. Jego słowa odbiły się echem w obszernym pomieszczeniu.

Uznał to za kolejny żart. Nadzieje się roztrzaskały, podobnie jak jego cierpliwość. Miał ochotę przeklinać. Rozejrzał się i dostrzegł urzędnika w średnim wieku siedzącego przy biurku, zabierającego się do wypełniania jakiegoś rejestru.

– Przepraszam – rzucił, podchodząc i przyciągając jego uwagę.

– Proszę – odparł mężczyzna, podnosząc wzrok znad papierów. Zdjął okulary do czytania.

– Czy wszystkie skrytki są w tej sali, czy też są inne, rozlokowane może w innych urzędach pocztowych miasta?

– O ile wiem, wszystkie są tutaj.

– Szukam numeru dziewięć tysięcy jeden. Ale nie mogę znaleźć.

– Bo nie ma takiej skrytki – powiedział urzędnik.

– Została usunięta?

– Nigdy nie istniała. – Mężczyzna wskazał długopisem na ścianę. – Były zawsze tylko te, które ma pan przed sobą.

Gerber odwrócił się w stronę metalowej ściany i westchnął ciężko. Znowu spudłował. I był niewiarygodnie naiwny. Ktoś, kto dwadzieścia dwa lata wcześniej prowadził śledztwo w sprawie A.D.V., na pewno tu był, żeby zweryfikować słowa chłopca dotyczące orka, i zderzył się z tą samą odpowiedzią. Nie istniała skrytka 9001, więc nie było też człowieka, do którego dzięki niej można by dotrzeć. A co za tym idzie, dwunastoletni chłopiec kłamał, tak jak twierdził pan B.

– Tak czy owak, dziękuję – zwrócił się do urzędnika, po czym ruszył do wyjścia. Zamierzał udać się do gabinetu na poddaszu i spróbować zapomnieć o sprawie, skupiając się na małych pacjentach.

– Ale w latach dziewięćdziesiątych istniała agencja matrymonialna o tej nazwie – oznajmił nagle mężczyzna za jego plecami.

Gerber zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na niego uważnie.

– Co takiego, przepraszam?

Urzędnik zastanowił się przez chwilę.

– W tamtych czasach we Florencji był duży popyt na skrytki pocztowe, a ponieważ wszyscy wiedzieli, że do dyspozycji jest ich tylko dziewięć tysięcy, jedna z agencji matrymonialnych przyjęła właśnie tę nazwę, Skrytka Pocztaowa 9001, żeby zrobić sobie w ten sposób reklamę: jakby chciano dać do zrozumienia, że istnieje inny sposób przekazywania wiadomości... zwłaszcza jeśli chodziło o wiadomości natury uczuciowej.

Usypiacz dzieci nie mógł w to uwierzyć.

– Stokrotne dzięki – powiedział tylko i opuścił budynek.

52

– Jak to możliwe, że po tym, jak w dwa tysiące trzecim roku zamknięto działalność agencji, pomieszczenia pozostały niewynajęte? – zapytał Gerber kobietę z kotem syjamskim, która prowadziła go na górę po schodach szarej kamienicy przy via delle Porte Nuove.

Sześćdziesięcioletnia portierka w różowym szlafroku w kwiaty, z papierosem zwisającym z kącika warg i z wałkami, które z trudem utrzymywały puszyste rudawe włosy, szła przed nim, trzymając się poręczy z kutego żelaza.

– Mieszkanie stanowi część spadku nieżyjącego od lat księcia. Spadkobiercy procesują się i dopóki się nie pogodzą, nikt nie może niczego ruszyć.

Kobieta z kotem mieszkała na parterze; Gerber przekupił ją banknotem o nominale zaledwie dwudziestu euro, by pozwoliła mu zwiedzić opuszczone mieszkanie. Adres agencji C.P. 9001 znalazł w starej książce telefonicznej pochodzącej jeszcze z lat dziewięćdziesiątych, którą miał w gabinecie. Mimo pojawienia się internetu i telefonów komórkowych pan B. ociągał się z usunięciem książek telefonicznych, a syn nie chciał ich po jego śmierci wyrzucać: w odróżnieniu od spadkobierców księcia nie zamierzał mieć dłużej nic wspólnego z rzeczami ojca. Prawdę mówiąc, udając się na via delle Porte Nuove, miał nadzieję, że zbierze jakieś informacje na temat działalności agencji; nie spodziewał się, że zastanie jej siedzibę nietkniętą.

– Może mi pani coś powiedzieć na temat właścicieli? – zapytał po drodze na górę.

– Nic poza tym, że zniknęli z dnia na dzień, pozostawiając za sobą sporo długów, w tym zaległy czynsz za kilka miesięcy – odparła kobieta.

– Ale powiedziała pani, że ich rzeczy wciąż tu są...

– Tak. – Dotarli na trzecie piętro. – Niczego ze sobą nie zabrali i wszystko zostało tak, jak to zostawili prawie dwadzieścia lat temu.

Na drzwiach była jeszcze tabliczka z nazwą agencji, otoczona czerwonymi serduszkami.

Portierka włożyła rękę do kieszeni jedwabnego szlafroka i wyjęła ciężki pęk kluczy.

– Niech pan potrzyma Lilla – powiedziała, podając mu syjamczyka.

Wziął kota, by umożliwić jej otwarcie zamka. Rozległ się trzask, ale zawiasy stawiały opór i drzwi zadrapały podłogę. Gerber oparł się ramieniem o framugę, żeby ułatwić operację. W końcu zdołali otworzyć drzwi na tyle, by dało się wejść.

Zatakował ich odór zastałego kurzu i stojących w rurach ścieków. Z korytarza niewiele było widać, bo wewnątrz pograżone było w ciemności.

Gerber oddał kobiecie kota i już miał się przeciskać do środka.

– Czy będzie panu przeszkadzać, jeśli nie będę panu towarzyszyła? – powstrzymała go sześćdziesięciolatka. – Zostawiłam wosk na gazie.

– Nie ma problemu – odparł. Nawet lepiej, że nikt nie będzie mu się plątał pod nogami w trakcie przeszukiwania mieszkania.

Portierka wręczyła mu klucze.

– Kiedy pan skończy, proszę dobrze zamknąć i może pan zostawić klucze na wycieracze.

– Dobrze – zapewnił ją Gerber. – I dziękuję za pomoc.

Odczekał, aż kobieta zejdzie piętro niżej, po czym wszedł do ciemnego pomieszczenia.

53

Pomacał ścianę w poszukiwaniu włącznika. Znalazł, ale ten nie zadziałał. Na pewno nie było tu światła, bo od lat nikt nie płacił rachunków. Rolety były opuszczone, niektóre nie do końca i przez szpary przeświecało mgliste światło.

Począł, aż oczy przyzwyczają się do mroku.

Z długiego korytarza wchodziło się do innych pomieszczeń. Gerber, idąc nim, zerkał do otwartych pokoi. Były to w większości gabinety z biurkami, telefonami i materiałami biurowymi. Stare komputery, faksy i drukarki: nieużywana już technologia pochodząca z lat dziewięćdziesiątych. Miał wrażenie, że czas zastygł w oczekiwaniu na to, że jakiś człowiek przybędzie odkrywać ten zawieszony w czasie świat.

Dookoła pełno było serduszek i amorków: na plakatach, naklejkach umieszczonych na szybach okien, na ściankach działowych między boksami, na różnych bibelotach. Były też gadżety z nazwą i logo agencji: notesy, kalendarze, breloki. Zaciekawiony Gerber przystanął obok jednego z biur i wziął do ręki długopis z napisem *C.P. 9001*, przyjrzał się mu i zobaczył, że przezroczysta górna część napełniona jest gęstym płynem, w którym pływa srebrzysty brokat; gdy trzymało się je czubkiem do dołu, skrzące drobinki tworzyły napis *Love*.

Gdzie on się znalazł? Te przedmioty były świadectwem wymarłej cywilizacji, opartej na miłości i kiczu.

Przeszedł obok małego dźwiękoszczelnego pomieszczenia, gdzie stała kamera wideo umieszczona na statywie i skierowana na stół, za którym wisiał zielony

ekran. Domyślił się, że służyła do realizacji wiadomości wideo kandydatów albo kandydatek na narzeczonych, którzy w ten sposób przedstawiali się idealnym partnerkom bądź partnerom, by zapoczątkować znajomość mogącą przeobrazić się w prawdziwy związek.

Pod ścianą walały się worki z korespondencją, która nie doczekała się realizacji, co musiało być jedną z konsekwencji nagłego przerwania działalności, pomyślał Gerber. Pojawienie się internetu z siłą wybuchu nuklearnego uderzyło w pracę agencji, ale też w oczekiwania dziesiątek mężczyzn i kobiet poszukujących partnerki lub partnera, z którymi mogliby spędzić resztę życia. Patrząc na tę skumulowaną pocztę, Gerber wyobraził sobie koperty wypełnione romantycznymi wyznaniem, które nigdy nie zostały odczytane, a co za tym idzie, samotne serca strawione daremnym oczekiwaniem. To wszystko wydawało mu się groteskowe. Ale prawda była taka, że drwiąc z tego, próbował oddalić złowrogie przecucie, które ogarnęło go, gdy przestąpił próg tego miejsca.

Coś groźnego zamieszkiwało te pokoje i na przestrzeni lat zajęło miejsce wszystkich nadziei i miłosnych uniesień. Coś w rodzaju czającej się w ciszy istoty, żywiącej się urazą, że jej nie uwierzono.

Istoty, która na niego czekała.

Dotarł w końcu do wejścia do pokoju, który go interesował. Schowka bez okien, w którym znajdowało się kilka metalowych szafek.

Było to archiwum z nazwiskami klientów agencji matrymonialnej.

Gerber wyjął z kieszeni smartfon i zapalił latarkę. Następnie otworzył jedną z szuflad, wybraną przypadkowo. Na jego szczęście teczki osobowe ułożone były w porządku chronologicznym.

Od razu zaczął szukać tych z 1999 roku.

Zakochanych zarejestrowanych w tym roku było około setki, a ich akta znajdowały się w dwóch przegrodach. Gerber wyjął wszystkie teczki i położył je na podłodze, po czym usiadł na niej po turecku i rozpoczął przeglądanie. Nie znając nazwisk, dokładnego opisu wyglądu orka ani twarzy rudowłosej z polaroida, nie bardzo wiedział, czego szukać. Zastosował metodę na chybił trafił.

Szperając w papierach, pomyślał, że jeśli jest tu gdzieś dowód na to, że „wujek” naprawdę istniał, a nie był tylko wymysłem dwunastolatka, który zabił rodziców, to został bardzo dobrze ukryty.

Gerber otwierał kolejne teczki i przekładał dokumenty. Zazwyczaj na pierwszej stronie było zdjęcie klienta lub klientki, a obok wiek, wzrost, waga, zawód i znak zodiaku, po czym następowała krótka prezentacja. Drugą stronę zajmował kwestionariusz wypełniony przez osobę szukającą partnera; wpisywano tu upodobania, przyzwyczajenia i zainteresowania. Gerber doszedł do wniosku, że na podstawie tego testu agencja łączyła potem profile singli i singielek według jakiegoś niezgłębianego kryterium.

Jeśli dopasowanie się powiodło, na czwartej i ostatniej stronie pojawiała się zdjęcie kandydata.

Nie wszystkich jednak dało się połączyć w pary i wtedy ostatnia kartka pozostawała pusta. Zauważył, że do agencji zwracało się znacznie więcej mężczyzn niż kobiet, dlatego dla wielu osób próba znalezienia partnera od samego początku była daremna.

Minęło około pół godziny, odkąd tu wszedł, i otwierając kolejne akta, zobaczył twarz, która przykuła jego uwagę. Zatrzymał się, by lepiej się jej przyjrzeć.

Mężczyzna z grubą szyją. Starannie ogolony, kruczoczarne włosy z przedziałkiem na bok, żółta koszula, rozpięta pod szyją tak, że widać było owłosioną klatę. Gdy robiono mu fotografię, pokazywał z dumą dwa rzędy krzywych zębów, częściowo wyszczerbionych lub poczerniałych. Z jego uśmiechu wynikało, że specjalnie się tym nie przejmował. Jak wszyscy pozostali, przygotował się, żeby wypaść przed obiektywem jak najlepiej.

Rodolfo Perrini, przeczytał nazwisko. Trzydzieści dziewięć lat. Metr osiemdziesiąt dwa wzrostu, waga dziewięćdziesiąt kilogramów. Bezrobotny. Koziorożec. To on, pomyślał Gerber, nie wiedząc, skąd wzięła się ta pewność.

Tak jakby ktoś zasiał ją w jego głowie.

To nie jest dowód, upomniał się od razu. To tylko owoc wpływu z zewnątrz na mój umysł. Tak jak z głosem Silvii przez telefon: fabularz wdrukował mi tę twarz w umysł i teraz chce, bym uwierzył, że chodzi o osławionego „wujka”. Nie, tym razem nie dam się nabrać.

Ten człowiek mógł nie mieć żadnego związku z historią, którą opowiedział mu Nikolin, ani ze śledztwem w sprawie wybuchu domu sprzed dwudziestu dwóch lat.

To kolejne oszustwo.

Rodolfo Perrini mógł być kimkolwiek i prawdopodobnie był nieświadomy, że ktoś posługuje się jego twarzą i tożsamością, by potwierdzić stare kłamstwo małoletniego mordercy, który tymczasem dorósł.

Gerber miał już zamknąć teczkę, kiedy coś go tknęło, by zobaczyć, co jest na ostatniej stronie, poświęconej partnerce dopasowanej do tego profilu przez agencję matrymonialną. Przełożył szybko nieliczne kartki i zobaczył zdjęcie z polaroida przedstawiające rudowłosą kobietę, która upozowała się z zamiarem znalezienia męża. W tym samym barze, z piwem w ręce i w białym bezrękawniku podkreślającym jej kształty. Fotografia została wykonana sekundę przed tamtą albo sekundę po tej, którą Gerber podarł i wyrzucił, bo na tym ujęciu kobieta nie wznosiła toastu, a ręka ze szklanką była opuszczona.

Czy wierzy pan w diabła, doktorze? – zapytał fabularz głosem Nica podczas sesji. Wierzy pan czy nie, istnieją tylko dwa zdjęcia demona. To jest jedno z nich... Jego prawdziwe imię nie ma znaczenia. Ale kiedy diabeł przyjmuje wygląd tej kobiety, musisz go nazywać „mamą”.

Pierwsza myśl Pietra Gerbera na widok polaroida w teczce była taka, że znalazł drugie zdjęcie demona.

Ale tym razem twarz na fotografii nie była spalona.

Miał wrażenie, jakby serce przestało mu bić. Druga myśl, która przeszła mu przez głowę, była taka, że chłopiec z 1999 roku powiedział prawdę na temat orka, i Gerber miał przed sobą na to dowód. Trzecia myśl była taka, że rudowłosa kobieta zrealizowała swoje pragnienie macierzyństwa, choć musiała poczekać wiele lat, by mieć dziecko tylko dla siebie. Czwartą myślą było słowo.

Mamãe.

Mirbana Xhuljeta Laci, zwana Mirą, teraz miała siwe i krótkie włosy, ale kiedyś była ruda. Ork powiedział fabularzowi, kiedy ten był dzieckiem, że jest bezpłodna, ale bardzo pragnie mieć rodzinę.

Ma problem tam na dole, ze swoimi jajeczkami i całą resztą.

„Wujek” zapewnił A.D.V., że z czasem przyzwyczai się do nowych rodziców, zapominając o prawdziwych, którzy odeszli, pozostawiając go z nim. I że kobieta, która miała przyjechać do domu, była gotowa ofiarować mu całą miłość, jakiej chłopiec w jego wieku potrzebował.

Będiesz mógł mówić do niej „mamo”.

Gerber zastanawiał się, dlaczego fabularz czekał dwadzieścia dwa lata z rozpoczęciem planu zemsty. Teraz to wiedział. Przez cały ten czas szukał rudowłosej kobiety z polaroida.

I w końcu ją odnalazł.

Los, którego w wieku dwunastu lat udało się uniknąć fabularzowi, potem przypadł w udziale Nikolinowi. Czy jakie jest jego prawdziwe imię, pomyślał Gerber. Nie był nawet pewny, czy jest Albańczykiem, jak kobieta podająca się za jego matkę. Istniało duże prawdopodobieństwo, że jest Portugalczykiem. Dotknięty syndromem uczuciowej niewoli, zapomniał jednak o swoim prawdziwym pochodzeniu i tożsamości. Dopiero we śnie wyłoniła się pozostałość życia, z którego został siłą wyrwany.

– *Mamãe* – powtórzył Gerber, zdając sobie sprawę, że przyczynił się do oddania chłopca jego porywaczce. Dokładnie tak, jak zrobił strażnik leśny z fabularzem, zwracając go orkowi po próbie ucieczki.

Nikt nie jest skłonny wierzyć historiom opowiadanym przez dzieci.

Osiem miesięcy temu fabularz nie porwał Nikolina po to, żeby ten opowiedział mi jego historię. Zrobił to, żebym mógł ocalić chłopca, pomyślał Pietro Gerber, widząc wreszcie jasno cały plan. I porwał też matkę, żeby została ukarana tak, jak na to zasługiwała, ale my puściliśmy ją wolno. Nie zorientowaliśmy się, że ta mała nieszczęsna rodzina ukrywa tajemnicę. Nie zdali sobie z tego sprawy sąd dla nieletnich, pomoc społeczna ani karabinierzy. I ja też tego nie zrozumiałem. A on tak.

Dla wszystkich Nikolin i Mira byli tylko dwójką żyjących z dnia na dzień biedaków. Tymczasem w świetle dnia dokonywała się straszliwa zbrodnia. Która powtarzała się każdego dnia, od lat.

Gerber podniósł się gwałtownie z zimnej podłogi. Może był jeszcze sposób, by zatrzymać ten horror.

54

Hodowczyni koni powiedziała, że pomoc społeczna ulokowała matkę i syna w Luco. Gerber prowadził defendera, wciskając gaz niemal do dechy, żeby jak najszybciej dostać się w okolice Mugello.

Po dotarciu na miejsce natychmiast zaczął szukać baru, w którym Mira znalazła pracę. Ile może być barów w tak małej miejscowości? Zapytał jakiegoś przechodnia, czy przypadkiem nie zna tej kobiety, a ten wskazał mu lokal na końcu głównej ulicy.

Gdy Gerber tam doszedł, rolety były opuszczone i wisiała kartka informująca o dniu wolnym.

Hodowczyni powiedziała jednak, że matka i syn mieszkają nad lokalem. Obchodził dwupiętrowy budynek w poszukiwaniu wejścia, aż znalazł drzwi. Na domofonie nie było żadnego nazwiska, ale i tak dzwonił uporczywie.

Nikt mu nie otworzył.

Wiedziony nagłym przymusem, by się dowiedzieć, a może szaleństwem, Pietro Gerber zaczął walić w drzwi. Na ulicy nie było nikogo, więc postanowił wymierzyć kilka kopniaków na wysokości zamka.

Po paru próbach drzwi ustąpiły, otwierając się na schody.

Wbiegał po stopniach, przeskakując po dwa naraz i wołając:

– Nico! Nico! Gdzie jesteś?!

Jego głos odbijał się echem, a gdy Gerber dotarł na górę, musiał cofnąć się o krok na ponury widok poprzewracanych krzesel kuchennych, zepchniętego w kąt

stołu, zastawionego butelkami i brudnymi talerzami. Z otwartej wyłączonej lodówki wydobywał się zjeżdżały odór, mimo że była pusta. Upaprana kuchenka i zlew z kapiącym kranem. Wszedł do pokoju obok, gdzie stała wytarta kanapa, a przed nią pokryty kurzem telewizor. Z łazienki bez okna dochodziło bulgotanie z zapchanego odpływu. W sypialni dwa złączone ze sobą stelaże z gołymi materacami i szafa, w której wisiały puste wieszaki, każdy z innej parafii.

Odeszli, pomyślał, godząc się z oczywistością. Choć słuszniej byłoby powiedzieć, że nie zdążył ich zatrzymać.

Powinien pojawić się tu o wiele wcześniej. Biorąc pod uwagę stan tego miejsca, spóźnił się o kilka miesięcy.

Oparł się plecami o ścianę, bo kręciło mu się w głowie, i osunął się na podłogę. Pozostał w bezruchu, próbując odzyskać oddech. Przed oczami pojawił mu się pan B. Oskarżył ojca o brak wiary w wersję chłopca, który pojawił się u niego dwadzieścia dwa lata temu. Zamiast mu pomóc, skazał go na ponoszenie przez całe życie konsekwencji tego, co przytrafiło mu się bez jego winy.

Ale ja postąpiłem jeszcze gorzej, uznał. Chciałem za wszelką cenę uwolnić Nikolina, żeby udowodnić swoją wyższość nad fabularzem.

A prawdę miał cały czas przed oczami. Zarozumiałość nie pozwoliła mu jednak jej dostrzec.

Usypiacz dzieci usłyszał ponownie krzyk wydany przez Nica, gdy obiecał mu, że połączy go znów z Mirą. To wycie będzie go już zawsze prześladować. To cena, jaką zapłaci za popełniony błąd w ocenie sytuacji.

Zagubiony pokój, w którym uwięziony był Nico, nie znajdował się w jego umyśle. Był nim cały świat.

Tamtego niedzielnego poranka w sierpniu Elisę Martins bardzo wczesnie obudziło wilgotne objęcie upału, w którym skąpana była Lizbona. Koszula nocna kleiła jej się do pleców, a włosy, czarne niczym krucze pióra, przesiąknięte były potem. Odwróciła się w stronę żaluzji, przez które przenikało blade światło słońca, i wyobraziła sobie niebo przesłonięte matowymi i cienkimi chmurami.

Obok niej głęboko spał Dario, z brzuszkiem do góry, z otwartą buzią i rączką trzymającą jedną z jej piersi, która wysunęła się z dekoltu. Mimo skończonych trzech lat synek nie pozbył się jeszcze nawyku szukania pocieszenia w matczynym mleku, zwłaszcza nocą. A ciało Elisy nadal zaspokajało tę potrzebę. Ale w gruncie rzeczy miała egoistyczną nadzieję, że ten wyjątkowy związek jeszcze trochę potrwa. Zresztą mały Dario miał tylko ją na świecie. A ona miała tylko jego. Mimo że wydawali się tak różni.

Chłopiec miał blond włosy i niemal przezroczyste oczy.

Wstając powoli, by go nie zbudzić, Elisa sprawdziła, czy niebieskie majteczki synka i prześcieradło pod nim są suche. Przynajmniej udało jej się przyzwyczać go, żeby nie robił siusiu w łóżku, dzięki czemu uwolniła się od pokaźnego wydatku związanego z zakupem pieluszek.

Przed wyjściem z sypialni ułożyła wokół niego poduszki, bo wciąż obawiała się, że szukając jej objęcia przez sen, synek mógłby spaść na podłogę. Nigdy tak się nie stało, ale wystarczyła myśl.

Miała ochotę dać mu całusa, ale spał tak spokojnie, więc z bólem serca zrezygnowała z tego. Było to śmieszne, miała tego świadomość, ale tylko matka może wiedzieć, jak bolesne może być powstrzymywanie się od nawet drobnego odruchu uczucia.

Przymknęła drzwi, poszła do łazienki; dla uniknięcia hałasu nie pociągnęła spłuczki. Umyła twarz i ręce, po czym ruszyła bosą do kuchni. Związała włosy, przygotowała sobie filiżankę rozpuszczalnej kawy i otworzyła okno, by wpuścić trochę powietrza. Przypomniała sobie, że powinna zdjąć pranie rozwieszony na balkonie poprzedniego wieczoru, bo inaczej gołębie, które zadomowiły się na podwórzu kamienicy, pobrudzą odchodami czyste rzeczy.

Najpierw jednak usiadła przy stole, by napić się kawy, i wyglądała przez okno.

Od dziecka marzyła o mieszkaniu na poddaszu z pięknym widokiem. Tymczasem przypadały jej w udziale odrapane fasady podwórza. Ona i Dario urządzili się w tym małym mieszkaniu w dzielnicy Mouraria, zanim jeszcze chłopczyk przyszedł na świat, po tym, jak rodzice zerwali z nią wszelkie kontakty; wyrzucili ją z domu, bo nie akceptowali jej związku z ojcem niewinnej istotki, którą nosiła w łonie. Okolica na pewno nie była najlepszym miejscem do wychowywania dziecka, a mężczyzna, który przysięgał, że ją kocha i zaopiekuje się nią i dzieckiem, ulotnił się. A może to ona łudziła się, że pięćdziesięciolatek opuści żonę i trójkę dużych już dzieci, by zamieszkać z nową rodziną.

W ciąży, bez grosza, Elisa Martins musiała wymyślić dla siebie nowy świat.

Nie tak wyobrażała sobie swoje życie w wieku dwudziestu dwóch lat. Ale bardzo się starała. Doprowadziła do przyzwoitego stanu zaniedbane mieszkanie, którego poprzednim lokatorem był diler odsiadujący wyrok w więzieniu, i znalazła pracę na pół etatu jako sekretarka adwokata. Kiedy była w kancelarii, Dariem zajmowała się sąsiadka. Ale przez resztę czasu był tylko jej. Mimo trudności z samotnym macierzyństwem synek był wszystkim, czego chciała od życia, nie potrzebowała niczego więcej.

Miała potwierdzenie tego za każdym razem, gdy Dario rozkładał szeroko rączki, nazywając ją *mamãe*.

Po wypiciu kawy wstawiła pustą filiżankę do zlewu, wyszła na balkon i zaczęła zdejmować pranie. Okna mieszkań dookoła miały zamknięte okiennice albo opuszczone rolety. Poza latającymi nad głową ptakami panowała całkowita cisza. Była dopiero siódma, ale w inne dni o tej porze słychać już było głosy i hałasy z sąsiedztwa. Pomyślała, że wszyscy skorzystali z tej upalnej letniej niedzieli, by zrobić wypad nad morze. Ona nie mogła sobie na to pozwolić. Ale na pewno wymyśli coś, żeby spędzić z Dariem przyjemnie czas. Może wybiorą się do parku. Wsiądą w tramwaj i jadąc Avenida De Brasilia, dotrą do Jardim da Estrela. Zabiorą ze sobą kanapki i zjedzą je obok jeziora z łabędziami i kaczkami, które tak bardzo lubił Dario. Cieszyła się już na entuzjastyczną reakcję dziecka na tę propozycję. Na szczęście jej synek nauczył się czerpać radość z drobnych rzeczy. Ale kiedy odpinała klamerki z różowej bluzki, ta szczęśliwa myśl się ulotniła, zastąpiona nietypową wizją. Na pustym podwórzu pod balkonem wydłużały się cienie filarów, tworząc coś w rodzaju kolumnady okrążającej cały budynek.

Elisa przysięgłaby, że za jednym z nich dostrzegła jakąś postać.

Stała całkowicie nieruchomo, więc naszła ją wątpliwość, czy się nie pomyliła. Ale potem cień się poruszył. I jakby ten ktoś wyczuł na sobie jej spojrzenie, cofnął się i zniknął.

Ten obraz wprowadził ją na chwilę w nieuzasadniony niepokój. Nie zastanawiała się nad powodem, ale postanowiła natychmiast o tym zapomnieć i dokończyć prace domowe, zanim synek się obudzi.

Tak jak przewidziała, Dario był bardzo zadowolony na wieść o czekającej go wycieczce. Zjadł śniadanie w kilka minut i o dziesiątej byli już oboje gotowi do wyjścia. Elisa miała na sobie pomarańczową sukienkę i sandały z korka i sznurków.

Dario czerwone spodenki, skórzane sandały i koszulkę w biało-niebieskie paski. Przed wyjściem zapytała go, czy chce ze sobą zabrać jakąś zabawkę.

Synek wybrał komórkę, która zapalała się i wydawała dźwięki.

– Jesteś pewny, że chcesz właśnie to? – zapytała. Kupiła mu ją na czas, gdy była w pracy, a on zostawał z sąsiadką; w ten sposób Dario mógł udawać, że do niej dzwoni, i miał wrażenie, że mama jest wciąż obok niego.

– Tak – odparł chłopczyk.

Elisa przypięła go pasami w wózku, wzięła płócienną torbę, do której włożyła też koc do rozłożenia na trawie, i zamknęła drzwi mieszkania. Zamierzała, zanim wsiądą do tramwaju, wejść do minimarketu na rogu i kupić produkty na kanapki. Na szczęście wbrew jej obawom sklep był otwarty. Ona i jej synek byli jedynymi klientami.

Właścicielem był siedemdziesięcioletni mężczyzna stojący za kasą, a stare radio, które miał obok siebie, było zawsze ustawione na stację z popularnymi piosenkami. Mężczyzna był bardzo miły dla Daria, czasem dawał mu w prezencie lizaka. Elisie nie podobał się jednak sposób, w jaki zwracał się do dziecka; w jego tonie zawsze wyczuwała nutę współczucia. Miała świadomość, że Dario jest trochę opóźniony w rozwoju w stosunku do rówieśników, ale to nie usprawiedliwiała zachowania niektórych osób. Była pewna, że z czasem ta różnica się zatrze i syn wyrośnie na wspaniałego chłopca.

Po kilku minutach Elisa miała już bułki oraz pieczoną szynkę i plasterki sera na kanapki. Przy wejściu nie wzięła koszyka, więc wepchnęła tymczasowo zakupy do płóciennej torby. Gdy kierowała się do kasy, przypomniała sobie o majonezie, bo Dario nie znosił zbyt suchego pieczywa. Musiała przejść dwie alejki dalej, więc żeby było szybciej, zostawiła Daria samego w wózku i poszła po majonez.

– Zaraz wracam – powiedziała uspokajająco.

Znalezienie właściwej półki nie zajęło wiele czasu. Kiedy sprawdzała ceny na słoikach, szukając najtańszej marki, jej uwagę zwrócił śmiech Daria mieszający się

ze starym fado Amálie Rodrigues dochodzącym z włączonego radia. Przystanęła zdziwiona.

Kto tak rozśmieszał jej synka?

Pomyślała, że to pewnie właściciel minimarketu, ale gdy wychyliła się z alejki, zobaczyła, że siedzi wciąż na swoim miejscu. Elisa chwyciła więc pierwszy z brzegu majonez i wróciła natychmiast do dziecka, spodziewając się, że zostanie przy nim jakiegoś klienta, który wszedł do sklepu.

Ale Dario był sam.

Rozejrzała się zagubiona.

– Skarbie, czy ktoś tu z tobą był? – zapytała synka z uśmiechem, w taki sposób, żeby pytanie nie zabrzmiało jak nagana.

– Spadł mi telefon i jakaś pani mi go oddała – wyjaśnił chłopczyk, pokazując jej na dowód komórkę zabawkę, która wróciła do jego rączek. – Połaskotała mnie, bo byłem trochę smutny, że nie wracasz. Ale już sobie poszła. – Wskazał kierunek, w którym oddaliła się nieznajoma.

Elisa ruszyła na koniec alejki, mając zamiar podziękować, ale też zobaczyć nieznajomą, która zatrzymała się przy jej synku. Lecz gdy skręciła za róg, nie znalazła tam żadnej pani. Szukała jej między alejkami, ale nikogo tam nie było.

Wracając do Daria, zauważyła, że drzwi służbowe wychodzące na zaplecze małego sklepu są uchylone.

Elisa Martins przypuszczała, że kobieta, o której mówił Dario, była złodziejką i wślizgnęła się do sklepu przez tylne wejście, które nierozważnie pozostawiono otwarte. Biorąc pod uwagę, że była miła dla Daria i podniosła z podłogi jego ulubioną zabawkę, i może była biedaczką, która, jak ona, nie miała czasem pieniędzy na zakupy, Elisa postanowiła nic nie mówić właścicielowi sklepu.

Kiedy matka i syn dotarli w końcu do Jardim da Estrela, była już prawie jedenasta i temperatura sporo się podniosła. Za każdym razem, gdy była w dużym miejskim parku, Elisa przypominała sobie, jak w dzieciństwie zabierał ją do parków dziadek. Jeśli się skupiła, to nawet po wielu latach czuła jeszcze swoją małą rączkę w dłoni tego dobrego człowieka idącego obok niej. Pachniał wodą kolońską i brylantyną. Ale zmarł, zanim mogła pokazać mu Daria.

W parku było dość pusto. Odwiedzający go ludzie przyjeżdżali z różnych części miasta w poszukiwaniu odrobiny ochłody w ten duszny dzień. Elisa pchała wózek zadrzewionymi alejkami, ale co jakiś czas zmuszona była się zatrzymać, by poprawić pasek płóciennej torby, który zsuwał się jej z ramienia. Przeszli obok „muzycznego kiosku”, starej altany z kutego żelaza, gdzie w niektóre letnie wieczory odbywały się koncerty małych zespołów, i minęli konną karuzelę, chwilowo nieczynną.

Matka i syn kierowali się nad staw.

Przechodząc obok małej fontanny, Elisa napełniła wodą pustą butelkę, którą zabrała z domu, zmoczyła rękę i przetarła nią rozgrzany kark Daria. Chłopczyk zaprotestował z powodu tej niespodziewanej lodowatej pieśczoży.

Wybrała miejsce w cieniu wiekowego platana i wyjęła synka z wózka. Gdy pobiegł szczęśliwy między drzewa, rozłożyła koc na trawie i zaczęła szykować kanapki z szynką, serem i majonezem, bo zbliżała się pora obiadu.

Zjedli wszystko i wypili prawie całą wodę. Rzucili kilka okruchów chleba kaczkom i łabędziom, które podpłynęły zwabione jedzeniem.

Reszta przedpołudnia upłynęła dosyć szybko, a potem przytuleni do siebie usnęli na trawie. Zbudzili się tuż po czwartej. Wokół nie było żywej duszy, powietrze stało nieruchomo i gdyby nie dźwięk cykad, Elisa zastanawiałaby się, czy czas się przypadkiem nie zatrzymał.

– Spójrz, mamusiu! – zawołał Dario, pokazując coś na trawie jakieś dziesięć metrów od nich.

Była to tania niebieska piłka, której ktoś musiał zapomnieć.

– Mogę się nią pobawić?

Elisa rozejrzała się, by sprawdzić, czy ktoś, kto zostawił tam piłkę, jest jeszcze gdzieś w pobliżu, ale nikogo nie dostrzegła.

– Pogramy razem – zaproponowała, zrzucając sandały.

Z braku partnera, a przede wszystkim męskiego wzorca dla Daria, była czasem zmuszona spróbować swoich sił w zajęciach, które zwykle łączyły ojców i synów. Jak na przykład gra w piłkę, gdy wcielali się za każdym razem w takiego czy innego słynnego piłkarza.

Elisa Martins nigdy nie czuła się gorsza od mężczyzn; przecieży udowodniła, że jest lepsza od tego tchórze, który ją zapłodnił, a potem się zmył i teraz zapewne cieszy się tym słonecznym dniem w basenie w swojej pięknej willi w Setúbal. Ale jako matka była też świadoma, że prawdopodobnie chłopiec wolałby niektóre rzeczy robić z ojcem.

Na szczęście Dario był jeszcze za mały, by zrozumieć różnicę. Choć któregoś dnia zaskoczył ją, gdy rozmawiając przez telefon zabawkę, zwrócił się do swojego rozmówcy „tato”.

– To co, jesteś gotowy? – zapytała synka, ustawiając się między dwoma drzewami. – Ja będę wielkim bramkarzem Vítozem Baía. A ty kim chcesz być?

– Cristiano Ronaldo – padła oczywista odpowiedź i Dario włożył telefon zabawkę do tylnej kieszeni czerwonych spodenek.

Elisa już miała powiedzieć, żeby rozstał się z nią choć na czas meczu, ale tym razem postanowiła nie matkować i oszczędziła mu tej rady.

Chłopiec nie był zbyt skoordynowany, tak że kopana przez niego piłka najczęściej trafiała obok wyimaginowanej bramki. Ale dawał z siebie wszystko. Kosmyki blond włosów ociekały potem, a policzki były niczym dojrzałe jabłka; mimo że był wykończony, jego płomienny uśmiech mówił, że nie ma ochoty przerywać gry.

Elisa Martins podziękowała w duchu i pobłogosławiła tego, kto zostawił tam tę tanią piłkę, bo od dawna nie widziała, żeby synek był tak szczęśliwy.

Gdy udawany Cristiano Ronaldo postanowił strzelać karnego, który miał mu zapewnić zwycięstwo w pucharze Jardim da Estrela, Elisa obserwowała synka ustawiającego piłkę i biorącego długi rozbieg. Było oczywiste, że niezależnie od kierunku, w jakim polecą piłka, Vítor Baía ją przepuści.

Dario podskoczył, rzucając się w stronę niebieskiej piłki. Przyłożył prawą nogę i kopnął czubkiem. Piłka wzniosła się i przeleciała pięknym łukiem po lewej stronie od jego matki. Elisa wyciągnęła ręce, by sprawić przynajmniej wrażenie, że próbuje ją złapać, ale nawet gdyby robiła to na serio, i tak nie dałaby rady. Napełniło ją to dumą: synek popisał się właśnie doskonałym strzałem.

Zaczął podskakiwać i krzyczeć:

– Gooooo!!!

A ona mu wtórowała, bijąc brawo.

Kiedy przestali wiwatować, odwróciła się i zobaczyła, że piłka potoczyła się jakieś pięć albo sześć metrów od niej, w pobliże brzegu jeziora. Ruszyła tam, żeby ją podnieść. Pokonując ten krótki odcinek, pomyślała, że to piękny dzień i może zapamiętają go na zawsze; będą o nim rozmawiać, kiedy Dario będzie już dorosły, a ona stara. Elisa Martins wzięła piłkę i odwróciła się do synka z pytaniem:

– Co powiesz na...? – Ale zdanie zamarło jej w gardle i natychmiast zapomniała, o co miała go spytać.

Jej synka nie było.

– Dario! – zawołała głośno. Żadnej odpowiedzi. – Dario! – powtórzyła. Ale i tym razem nie było żadnego odzewu.

Gdzie on mógł się podziać?

Zaczęła go szukać, ale wokół niej był tylko rozległy zielony trawnik, na którym gdzieś rosnęły drzewa. Wydawało jej się to dziwne, że chłopiec mógł oddalić się tak bardzo i tak szybko, że nie była w stanie go dostrzec. Jak długo była odwrócona do niego plecami? Dziesięć sekund?

– W porządku, wygrałeś – powiedziała, myśląc, że schował się za jednym z pni, ale w środku ogarniała ją rozpacz.

Zza drzew nie wyłoniło się żadne dziecko.

– Jeśli to żart, nie jest śmieszny – oświadczyła. Jej głos, zamiast brzmieć surowo, przybrał piskliwy ton niepokoju przechodzącego w strach.

Nigdy tego nie robił, myślała, przeczesując okolicę. Mój Dario nigdy się tak nie zachowywał. To posłuszne dziecko.

Jedyne wyjaśnienie było takie, że ziemia go w jakiś sposób wessała. Przypuszczając, że doszło do wypadku, zaczęła badać trawę w przekonaniu, że znajdzie jakiś otwarty właz albo studzienkę. Ale niczego takiego tam nie było.

– Dario! – wrzasnęła na całe gardło, wracając w stronę jeziora w obawie, że wpadł do wody. Z oczu płynęły jej łzy i czuła, że opuszczają ją siły.

To nie dzieje się naprawdę, pomyślała. A przede wszystkim coś takiego nie może przytrafić się mnie.

Przemknęło jej przez głowę, że do tej chwili tylko sobie wyobrażała, że jest matką ślicznego trzyletniego blondynka o imieniu Dario. Bo rzeczywistość, jaką miała teraz przed oczami, była o wiele gorsza od ewentualności, że zawsze była wariatką. Ale Elisa Martins dobrze wiedziała, że nie znajdzie tak łatwo wytłumaczenia, które ją pocieszy. I choć nie była zdolna przewidzieć przyszłości, zrozumiała od razu, że jej cierpienie dopiero się zaczęło.

Gdy ogarniała ją panika odbierająca oddech i chęć do życia, nagle przypomniała sobie cień na podwórzu domu, który pojawił się dziś rano, i tajemniczą kobietę z minimarketu. Opuściła głowę i spojrzała na niebieską piłkę, którą wciąż bezsensownie ścisnęła w rękach.

Ktokolwiek ją tam zostawił, zrobił to celowo. I przyniósł ją do Jardim da Estrela specjalnie dla Daria.

Elisa Martins w jednej chwili postarzała się o wszystkie te lata, które pozostały jej do przeżycia, i jednocześnie zrozumiała bez cienia wątpliwości, kto zabrał jej dziecko i jego zabawkę, telefon komórkowy.

Ta niebieska piłka była prezentem od diabła.

Dziewczyna nie wiedziała jednak jeszcze czegoś, o czym wkrótce miała się przekonać: że zaginione dziecko to coś gorszego niż martwe dziecko. Bo w przypadku zmarłych przynajmniej wiesz, że nikt nie może zrobić im krzywdy.

Nie miała też świadomości, że w tym momencie najtrudniejszą rzeczą będzie samotny powrót do małego mieszkania w Mourarii z pustym wózkiem. Zaginiony bez śladu synek skaże ją na spędzenie reszty życia w domu bez wspomnień.

Pamięć o przeszłości jest bolesna. Pamięć o przyszłości nie ma żadnego sensu.

Dostrzegła go w szybie kawiarni Gilli. Szedł ulicą szybkim krokiem, z jak zwykle zmierzwionymi włosami, w pomiętym trenczu Burberry. Pogrążony w myślach. Tak rozkojarzony, że niemal nie dostrzegął otaczającego go świata.

Ani jej.

Hanna Hall wiedziała już, że za chwilę Pietro Gerber znajdzie się w jej polu widzenia. Zamówiła cappuccino i czekała, siedząc przy jednym ze stolików. Wróciła do Florencji w lutym, ale nie miała jeszcze odwagi mu się pokazać. Zbyt wiele spraw pozostawionych w zawieszeniu przed półtora rokiem, zbyt wiele niezbadanych uczuć. Przez cały ten czas wielokrotnie się zastanawiała, co tak naprawdę czuje. A przede wszystkim czy w jego przypadku jest tak samo.

Zniknęła w chwili, w której on być może najbardziej jej potrzebował. I potrzebował odpowiedzi.

Ale nie czuła się na siłach, by ciągnąć to w taki sposób: zastanawiając się, czy to właściwe poddać się całkowicie temu, co wzajemnie do siebie czuli. Nie po tym, jaką prawdę przed nim odkryła.

Nie po domu głosów...

Miała świadomość, że wstrząsnęła życiem Pietra Gerbera, rozbijając jego małżeństwo i życie rodzinne. Ale co innego mogła zrobić? Być może mogłaby zachować tajemnicę na zawsze, ale on i tak miał niewyrównane rachunki z panem B. z powodu kłamstw, których ten naopowiadał mu w dzieciństwie.

Historie nigdy nie powinny pozostawać w zawieszeniu, powtarzała sobie zawsze Hanna Hall. Jeśli tak się dzieje, nie przestają pełzać w cieniu pod naszymi stopami. I zarażają cię. Historie niedopowiedziane z czasem stają się toksyczne. I wszystko zatruwają.

Opowiadając jednak Gerberowi historię o ich wspólnej przeszłości, nie przewidziała, że mogą się w sobie zakochać. O tym naprawdę nie pomyślała.

Dlatego wróciła, by zrozumieć i wyjaśnić z nim tę kwestię. Wynajęła pokój w hotelu i powiedziała sobie, że poczeka na właściwy moment, do niczego się nie

zmuszając. Gdyby nie poczuła się na siłach, zamierzała wyjechać, a on nigdy by się o niczym nie dowiedział.

Jakie wrażenie zrobiłby na niej jego widok?

Początkowo zadowalała się, patrząc na niego z daleka. Za pierwszym razem, gdy zobaczyła go na ulicy idącego w stronę gabinetu na poddaszu, poczuła się zagubiona. Nagle jakby uszła z niej cała energia. Nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęła płakać. Była szczęśliwa. Ale kiedy jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, by się ujawniła, coś się stało. Dostrzegła w Gerberze jakąś zmianę, wtedy gdy w jego gabinecie pojawił się nowy pacjent.

Dziecko w białym kombinezonie, z kajdankami na nadgarstkach, eskortowane przez strażników w mundurach.

Od tego momentu Pietro Gerber zaczął się zmieniać: był coraz bardziej niespokojny, zatroskany i spięty. Próbowano zrozumieć, co się dzieje. Zastanawiała się, czy do niego nie podejść i nie zapytać, co jest nie tak. W końcu jednak, walcząc sama ze sobą, zrezygnowała i ukryła się w cieniu. Choć pewnego wieczoru, w pobliżu Santa Maria del Fiore, zauważył ją.

Ich spojrzenia spotkały się w odbiciu sklepowej witryny.

Pojawienie się grupki księży i zakonnic zapobiegło ich spotkaniu i Hanna zniknęła, zanim zdołał się zorientować, co właśnie się zdarzyło.

Historie nigdy nie powinny pozostawać w zawieszeniu, powtórzyła sobie znowu Hanna Hall. Ale był jeszcze inny powód, który powstrzymywał ją przed wyjawieniem Gerberowi swojej obecności.

Nie ona jedna go śledziła. Był jeszcze jakiś mężczyzna.

Po tym, jak wpadła na tego człowieka co najmniej trzy razy z rzędu, pomyślała, że nie może chodzić o zwykły przypadek. I że ona i nieznajomy z pewnością mają ze sobą coś wspólnego.

Łączył ich usypiacz dzieci.

Tajemniczy mężczyzna nosił eleganckie garnitury i zawsze wyglądał nienagannie. Może próbował tylko odwrócić w ten sposób uwagę ludzi od starych

blizn pokrywających jego dłonie, szyję i część twarzy. Poparzenia, pomyślała od razu Hanna. Jakby dawno temu uratował się z pożaru albo eksplozji.

Gerber też widział go dziesiątki razy, kiedy mijał go na ulicy albo siedł w jakieś miejsce. Spotykał tego człowieka przy różnych okazjach, nie zauważając go i nawet się nie zastanawiając, kim jest ten nieznajomy. Ale potem Hanna zrozumiała, że nie wynikało to z roztargnienia Gerbera.

Wyglądało to tak, jakby człowiek z bliznami znalazł sposób, by wymazać się na zawsze z pola widzenia usypiacza dzieci.

Natomiast Hanna Hall go zauważyła.

I właśnie go obserwowowała, choć nie miał o tym pojęcia. Siedział parę stolików od niej i tak jak ona zajęty był podglądaniem Gerbera przechodzącego ulicą przed kawiarnią Gilli.

Hanna zamierzała wykorzystać przewagę swojej anonimowości, by odkryć, kim jest ten mężczyzna, dokładnie tak, jak on robił to z Pietrem Gerberem. Na razie jedyną informacją, jaką zdobyła, były inicjały wyhaftowane na idealnie wyprasowanej koszuli nieznajomego.

A.D.V.

Miał zwyczaj bawić się dziwną kartą do gry, przerzucając ją niczym prestidigitator między palcami, gdy był zamyślony.

Karta przedstawiała człowieczka bez oczu podziwiającego rozgwieżdżone niebo.

Gerber skręcił za róg, jak zwykle niczego nieświadomy. Po zakończonym spektaklu nieznajomy wstał i rzucił na stół dwadzieścia euro, żeby zapłacić za swoje zamówienie. Kierując się w stronę wyjścia, przeszedł obok Hanny Hall. Ta spuściła wzrok na pustą filiżankę po cappuccino, którą trzymała w dłoniach, i udała, że pije.

Nawet na nią nie spojrział.

Hanna Hall nie miała pojęcia, co może się wydarzyć ani co powinna zrobić. Wiedziała tylko jedno.

Historie nigdy nie powinny pozostawać w zawieszeniu, powtórzyła w myślach po raz ostatni.

Nota autora

Praktyki hipnotyczne, o których mowa w tej historii, są stosowane w terapiach, a wywołane efekty wyglądają dokładnie tak, jak zostało to opisane. Podczas przygotowań do tej książki mogłem skorzystać z pomocy i przychylności doktor R.V. i doktora G.F. (na ich prośbę podaję tylko inicjały): dzięki ich opowieściom i długiemu doświadczeniu zdobytemu w tej dziedzinie usypiacz dzieci stał się rzeczywistą postacią.

Podziękowania

Stefano Mauri, wydawca i przyjaciel. A wraz z nim wszyscy wydawcy publikujący mnie na świecie.

Fabrizio Cocco, Giuseppe Strazzeri, Raffaella Roncato, Elena Pavanetto, Giuseppe Somenzi, Graziella Cerutti, Alessia Ugolotti, Patrizia Spinato, Ernesto Fanfani, Diana Volonté, Giulia Tonelli, Giacomo Lanaro, Giulia Fossati i moja droga Cristina Foschini.

Simona Lari za uśmiechy, uprzejmość i troskę.

Moja drużyna. Andrew Nurnberg, Sarah Nundy, Barbara Barbieri i nadzwyczajne współpracowniczki agencji w Londynie.

Tiffany Gassouk, Anais Bakobza.

Vito. Ottavio. Achille. Antonio Padovano.

Gianni Antonangeli.

La Setta delle Sette.

Antonio i Fiettina, moi rodzice.

Chiara, moja siostra.

Sara, moja „obecna wieczność”.